

ZBIORY ŒRODKA KARTA

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŹ

Nr 4/499

1989

Wydanie krajowe

MYSL



• « *La Culture* » • *Revue mensuelle* •

G. POMIAN I M. TABIN:

EMIGRACJA Z SOCJALIZMU (ANKIETA "KULTURY")

W. GIEŁŻYŃSKI: **TRZECIOŚWIATYZACJA**

E. SKALSKI: **PIĘĆ PO DWUNASTEJ**

R. KACZMAREK:

SIŁY ZBROJNE ZSSR W OBLICZU REWOLUCJI

P. LIDA: **ZAGROŹENIE KOŚCIOŁA**

NA BIŁORUSI I KR. INIE

SPIS RZECZY

Grażyna Pomian, Marek Tabin, (opr.):	<i>Emigracja z socjalizmu (Ankieta „Kultury”: Dlaczego jestem na Zachodzie?)</i>	3
Wojciech Giełżyński:	<i>Trzeciowiatyzacja, czyli o polskim marzu wstecz</i>	27
Ernest Skalski:	<i>Pięć po dwunastej</i>	43

WIERSZE

Piotr Bakal:	<i>Nad Narwią</i>	51
Tomasz Jastrun:	<i>Umierający mój anioł; Mickiewicza; Ostatni atak husarii</i>	51
Maciej Strzembosz:	<i>Z Pratinasa</i>	53
Jacek Bierzwin:	<i>List pisany nocą</i>	54

ARCHIWUM POLITYCZNE

Robert „Mateusz” Kaczmarek:	<i>Sily zbrojne ZSSR w obliczu rewolucji</i>	55
-----------------------------	--	----

WYWIADY „KULTURY”

Józef Darski:	<i>Wywiad z Antanasem Terleckim, przewodcą Ligi Wolności Litwy</i>	70
---------------	--	----

SPRAWY I TROSKI

Paweł Lida:	<i>Zagrożenia Kościoła katolickiego na Białorusi i Litwie</i>	78
Benedykt Heydenkorn:	<i>Selekcja uchodźców w Kanadzie</i>	86

K R A J

Jerzy Wyskiel:	<i>Trzeba by cały głaz usunąć...</i>	89
Halina Kuczyńska:	<i>Rolnictwo — szanse i zagrożenia</i>	98
—	<i>Archiwum Wschodnie</i>	103
—	<i>Groby na Suwalszczyźnie</i>	103

SĄSIEDZI

Jerzy Skoczylas (opr.):	<i>W litewskim tyglu</i>	106
Berlińczyk:	<i>Niemcy bez Straussa</i>	112
Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	115
Andrzej J. Chilecki:	<i>Kronika niemiecka</i>	121

KRONIKA KULTURALNA

Renata Gorczyńska:	<i>Archipelag New York (III)</i>	124
Krzysztof Czabański:	<i>Pina nie ma</i>	133

CI, CO ODESZLI

M. Broński:	<i>Teodor Parnicki, 1908-1988</i>	138
-------------	---	-----

KSIĄŻKI

Mikołaj Ruszkowski:	<i>Rozrywał mi się świat...</i>	142
Leszek Szaruga:	<i>Nowe opracowanie Instytutu w Darmstadt</i>	150
—	<i>Nadane nowe wydawnicze</i>	153



—	<i>Wydarzenia miesięca</i>	156
---	----------------------------------	-----

Z OSTATNIEJ CHWILI

Redaktor:	<i>Potrzeba jasności</i>	158
-----------	--------------------------------	-----



R. Krynicki:	<i>List do Redakcji</i>	159
—	<i>Odpowiedź Redakcji</i>	159
Redakcja:	<i>Wyjaśnienie</i>	160

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Kwiecień - Avril

1989

wydanie krajowe

MYŚL

INSTYTUT



LITERACKI

WPLĄTY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Wiesław Brodowski, Spartanburg, S.C. (USA) — \$ 83,00	F. 519,00
Zamiat kwiatów na grób Idy Jurys-Spira, zmarłej w Paryżu 3 stycznia 1989, przyjaciele ze Stockholmu — Krs 550,00	F. 550,00
Lech Kozłowski, Göteborg (Szwecja) — Krs 100,00	F. 100,00
Walter Łuszczak, Thunder Bay, ON (Kanada), po raz 14-ty ..	F. 141,76
Pamięci serdecznej przyjaciółki Idy Neufeld, 1 ^o v. Jurysiowej, 2 ^o v. Spira, zmarłej 3 stycznia 1989 — Ignacy Henner (Kopenhaga) i córka Ola (Manchester)	F. 150,00
Dr Danuta M. Podkomorska, Winnipeg MB (Kanada), po raz 38-my — \$ US 100,00	F. 625,00
Edward L. Salamoński, St. Petersburg, FL (USA), po raz 10-ty — \$ 20,00	F. 130,00
Wacław i Jadwiga Stawny, Berlin — zamiast kwiatów na grób Marii Kureckiej — DM 50,00	F. 169,00
W pierwszą rocznicę śmierci żony mojej, Alicji, dla uczczenia Jej pamięci — Aleksander Kotlicki, Effretikon (Szwajcaria)	F. 300,00
W rocznicę śmierci Janki Piaseckiej, zmarłej w Kopenhadze — zamiast kwiatów na Jej grób — Maryla, Andrzej, Siuna	F. 100,00
Zamiast kwiatów na grób śp. Heleny Jakubowskiej — Zofia i Jan Hempel z Australii — £ 10,00 i Helena Rankowicz z Wielkiej Brytanii — £ 5,00 — razem: £ 15,00	F. 162,00
Beata i Robert Żywny, Londyn, po raz 5-ty — £ 10,00	F. 108,00

DZIĘKUJEMY!

WPLĄTY NA POMOC DLA WALCZĄCYCH W KRAJU „ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ”

Zygmunt Czerwiński, Ozone Park, N.Y. (USA), złożył w Re- dakcji „Listów do Polaków” na rzecz Demokratycznej Opo- zycji w Kraju (nadesłał C. Maliszewski) — \$ 200,00	F. 1.250,00
E.M., Paryż — na rzecz przesładowanych w Polsce	F. 200,00
Henryk Krzeczowski, Queens Village, N.Y. — na cele walki o niepodległość i niezawisłość Polski — \$ 25,00	F. 156,00
Aleksander Moskala, Farsta (Szwecja) — na pomoc studen- tom pobitym i aresztowanym w Krakowie 24 lutego 1989	F. 2.000,00
◆	
Prezes Rady Uchodźstwa Polskiego w Szwecji, dr Zygmunt Stan- kiewicz — sumę zebraną na spotkaniu z Janem Józefem Lipskim 26 stycznia 1989 w Stockholmie przekazuje na Fundusz Interwencyjny — Krs 900,00	F. 900,00
◆	
Szwedzki robotnik G. K. Eklund, Stockholm, przekazał na rzecz NSZZ „Solidarność” za pośrednictwem Rady Uchodźstwa Polskiego w Szwecji — Krs 300,00	F. 300,00

Emigracja z socjalizmu

(ANKIETA „KULTURY”:
DLACZEGO JESTEM NA ZACHODZIE)*

Wstęp

Emigracja Polaków stała się ponownie problemem narodowym. Bezpowrotne wyjazdy czy spektakularne ucieczki nieprzerwanie towarzyszyły istnieniu PRL, ale zjawiska, które obserwujemy od kilku lat, nie podobna z nimi porównywać. Nie można go również porównać z emigracją z lat 1967 i 1968, gdyż tę ostatnią spowodowały określone przyczyny polityczne, wśród których antysemityzm odgrywał rolę decydującą. Masowe wyjazdy są niewątpliwie łatwiejsze dzisiaj niż kilkanaście lat temu, choć — co warto podkreślić — zaczęły się przed zmianą polityki i praktyki paszportowej.

Nie istnieje wszelako żadna zorganizowana akcja emigracyjna. Każdy sam podejmuje decyzję, a przecież emigrują przedstawiciele wszystkich kondycji społecznych, młodzi i starsi, samotni i całe rodziny, mieszkańcy dużych miast i małych miasteczek. Odpowiedź na pytanie, ilu Polaków bezpowrotnie opuściło kraj, nie jest jednakże łatwa. Wszystko zależy od definicji.

Jednoznaczną grupę stanowią ci, którzy zgłaszają się do władz polskich o wydanie paszportu emigracyjnego. Są to przede wszystkim osoby, które odwołują się do swojego „pochodzenia nie-

* Serdecznie dziękujemy Annie Morawieckiej i Piotrowi Lasoście za okazaną pomoc.

mieckiego". W 1987 roku — wedle informacji MSW — było ich 58 tysięcy. Jednak nie ta grupa określa rozmiar zjawiska. Trzonem emigracji są osoby wyjeżdżające z Polski z paszportem turystycznym lub służbowym. Kiedy stają się emigrantami? Czy już wtedy, gdy nie powrócili do kraju w terminie często przez siebie samych określonym, czy wówczas, gdy przebywają na Zachodzie bez ważnego dokumentu polskiego? Do faktycznych emigrantów można również zaliczyć osoby, które co prawda dbają o zachowanie paszportu polskiego, ale od lat mieszkają na Zachodzie i w przewidywalnej przyszłości nie zamierzają wrócić do kraju. Zależnie więc od przyjętej definicji, która nie jest obojętna politycznie, liczba emigrantów rośnie lub maleje. Ale fakt pozostaje bez zmian: od 1980 roku setki tysięcy Polaków opuściły kraj, a wielu następnym nosi się z podobnym zamiarem.

Wedle informacji wiceministra MSW przedstawionej Radzie Konsultacyjnej w kwietniu 1988 roku, a poświęconej emigracji w ostatnich latach — nie sprecyzowano jakich — z Polski wemigrowało blisko 600 tysięcy osób. Józef Klasa — sekretarz towarzystwa „Polonia” — na teźże Radzie przewidywał, iż dekada lat osiemdziesiątych zamknie się utratą ponad miliona obywateli. O rozmiarach polskiej diaspory świadczą fakt, iż w skład szeroko rozumianej Polonii, ponoć 13-milionowej (ci, którzy w spisach narodowych deklarują swoje polskie pochodzenie) wchodzi 2,5 miliona osób, które się urodziły w Polsce po 1945 roku i przeżycie tamże się wychowały i wykształciły.

Polityczne i społeczne skutki emigracji są dla kraju ogromne. Nic więc dziwnego, że dyskusje wokół emigracji pogłębiły się i zaostrzyły zarazem, gdyż każdy na swój sposób usiłuje powiedzieć, kto i dlaczego opuszcza kraj. O wyjeżdżających pisze się w prasie rządowej, kościelnej i niezależnej. Odzywa się także prasa podziemna. Wypowiadają się czynniki oficjalne, zabierają głos autorytety moralne. Jest to nieustający temat rozmów prywatnych. W tym chórze nie ma głosów obojętnych. Emigrantom współczuje się, czasem zazdrości lub wręcz przeciwnie — lekceważy się ich, potępia wyjazdy, a nawet uważa się emigrantów za odszczepieńców. Rozumie się raczej skłaniające ludzi do wyjazdów, niekiedy się je aprobejuje, nawet jeśli samemu nie ma się zamiaru wyjechać, albo też uważa się, że nie ma takich przyczyn, które by usprawiedliwiały emigrację.

Ważkim głosem w toczącej się dyskusji było oświadczenie Prymasowskiej Rady Społecznej, ogłoszone w marcu 1988 roku. Oto kilka podstawowych stwierdzeń zawartych w oświadczeniu: „Kaźda decyzja o opuszczeniu Polski to odrębny problem. Rozstrzygnąć go musi w sumieniu człowiek zastanawiający się nad dylematem: zostać czy wyjechać; nikt nie ma prawa decydować

za niego. Bywają niewątpliwie przypadki emigracji uzasadnionej, co nie znaczy, że przestają one być bolesne. Wspólnota narodowa ma jednak prawo dokonywać moralnej oceny podejmowanych decyzji opuszczenia kraju, a także zwracania uwagi na ich konsekwencje dla Polski. (...) Los Polski rozstrzyga się w Polsce. Złudzeniem jest, że Polacy mogą wpływać w znaczący sposób na los kraju ojczystego z zagranicy. (...) Polska, jakiej pragną młodzi, jakiej pragnie całe społeczeństwo dla siebie i następnych pokoleń, nie może być zbudowana bez trudności, nie może także powstać w innym miejscu świata". Rada zajęła więc stanowisko jednoznacznie niechętne wobec emigracji, aczkolwiek widzi w niej następstwo ekonomicznej i społecznej sytuacji kraju. Wyrażając niepokój o los młodego pokolenia, Rada stara się zrozumieć motywy wyjazdów, ale jednocześnie przypomina o obowiązkach obywatela wobec ojczyzny. Odmawiając emigrantom możliwości wpływania na los Polski, Rada nadaje obecnej emigracji charakter wyłącznie ekonomiczny, w czym jest zresztą zgodna z opinią publiczną.

W ocenie emigracji panuje skądinąd dziwna jednomyslność między rządem a opozycją. Jedni i drudzy sprowadzają obecnych emigrantów do roli migrantów goniących za dobrami materialnymi i dążących za wszelką cenę do urządzenia się w krajach zachodnich. Jedni i drudzy widzą w nich osoby, u których postawa roszczeniowa wobec społeczeństwa i państwa góruje nad obowiązkami wobec nich. Czytając i słuchając niektórych wypowiedzi można by pomyśleć, że wyjeżdżają ci, którzy chcą *mieć*, a w kraju pozostają ci, dla których *być* jest sprawą najważniejszą. Rząd i opozycja częściej osądzają wyjeżdżających niż analizują warunki, które spowodowały wyjazd. Różnica w ocenie emigracji między jednymi a drugimi, niezależnie od sposobu formułowania ocen, polega na tym, że pierwsi, choć nie zaprzeczają istnieniu kryzysu, uważają panujący system za najlepszy z możliwych, za taki, który zapewnia jednostce wszelkie możliwości rozwoju, podczas gdy opozycja nie żywi żadnych złudzeń co do funkcjonowania systemu.

Aczkolwiek opinie o wyjeżdżających wypowiedziane w 1988 roku znacznie złagodniały w porównaniu z 1987, niewykluczone, że pod wpływem ofensywy uśmiechów wobec Polonii, ale nadal o emigrantach wie się niewiele, i na ogół informacje są tendencyjne, a opinie nieprzychylnie.

Decyzja Redakcji *Kultury* o przeprowadzeniu ankiety wśród najnowszej fali emigrantów była powzięta z myślą uzyskania, choćby w zarysie, jej pełnego obrazu. Publikując tekst ankiety „Dlaczego jestem na Zachodzie”, chcieliśmy się dowiedzieć, kim są emigranci (miejsce zamieszkania w Polsce, przygotowanie zawodowe, sytuacja rodzinna), jaka była ich sytuacja materialna w kraju, czy i jakim podlegali represjom polityczno-policyjnym.

w jakich warunkach podejmowali decyzję o wyjeździe, co skłania ich do pozostania na Zachodzie, gdzie i z jakich względów zamierzają osiedlić się na stałe, a także jaki mają pogląd na emigrację i Polskę. Ankieta miała zatem odpowiedzieć na pytania: czy emigracja ostatnich lat jest rzeczywiście emigracją ekonomiczną? Czy i w jakiej mierze może być uznana za emigrację polityczną? Celowo nie zadawaliśmy żadnych pytań dotyczących konfrontacji zamierzeń i wyobrażeń emigrantów z rzeczywistością świata zachodniego. Oczywiście jest rzeczą, że jest to problem ważny, ale wymagający oddzielnego badania.

Ankieta została opublikowana w marcu 1988 jako osobny druk oraz w kwietniowym numerze *Kultury*. Była również jednorazowo przedrukowana w polonijnej prasie codziennej: w Australii, Kanadzie i USA. W obozach przesiedleńczych we Włoszech, Grecji i Niemczech ankieta została przeprowadzona w sposób bardziej zorganizowany. (Rozdano egzemplarze, które jednak z Niemiec i częściowo z Włoch były odsyłane indywidualnie). Z tymi trzema wyjątkami ankieta *Kultury* jest typową ankietą prasowo-pocztową. Odpowiedzieć na nią mógł ten, kto się z nią zetknął (krąg czytelników pisma), kto miał ją ochotę wypełnić (nikt nikogo nie namawiał, a nawet nie przypominał o ankiecie), a następnie, kto pamiętał o tym, by ją do redakcji wysłać. W sumie nadeszło ponad 850 ankiet, do opracowania zostało zakwalifikowanych 837. Czy jest to dużo czy mało? W stosunku do liczby osób, które wyemigrowały — niewiele, w stosunku do reguł ankiety pocztowej — wynik jest więcej niż zadowalający. Trudno mówić o statystycznej reprezentatywności badanej grupy, wydaje się natomiast, że można ją uznać za typową dla najnowszej emigracji. Wskazywałby na to wiek uczestników ankiety, poziom ich wykształcenia i miejsce obecnego zamieszkania. Z jednym wyjątkiem: w badanej grupie nie ma osób, które opuściły Polskę ze względu na swoje „pochodzenie niemieckie”.

Ankieta była skierowana do osób, które wyjechały z Polski po 13 grudnia 1981 roku. Nadeszły jednak odpowiedzi również od wcześniejszych emigrantów. Postanowiliśmy włączyć tych, którzy wyemigrowali po sierpniu 1980 roku, wychodząc z założenia, że z późniejszymi uchodźcami stanowią jednorodną grupę. Największa liczba odpowiedzi pochodzi od osób, które opuściły Polskę w 1987 i na początku 1988 roku (47,3 %) i które w momencie przeprowadzania ankiety mieszkały w większości przypadków w obozach przesiedleńczych. Odpowiedzi nadeszły z 19 państw. Najliczniej są reprezentowane Włochy (262 odpowiedzi), Niemcy (111), Grecja (107), USA (76), Australia (78), Kanada (59) i Szwecja (58). Nie ma prawie państwa w Europie Zachodniej,

nie ma chyba kontynentu, na którym nie osiedliliby się polscy emigranci. Odpowiedzi, które nadeszły, były często opatrzone dopiskami, niekiedy bardzo obszernymi. Wiele listów nadeszło z adresami zwrotnymi. Wielu ankietowanych wyrażało wdzięczność, że wreszcie ktoś się nimi zainteresował, że chciał poznać ich wizję emigracji. Byli jednak tacy, którzy wypełniali ankietę z lękiem. Na szczęście było ich niewiele. Wyrażali niepokój o wiarygodność anonimowości, nie wypełniali danych osobistych lub wypełniali je tylko częściowo. Można powiedzieć, że swój strach przywieźli ze sobą.

Uczestnicy ankiety: próba opisu

Na ankietę odpowiedzieli przede wszystkim mężczyźni — 73,4 %. Około dwóch trzecich uczestników ankiety to osoby w wieku 26-40 lat, czyli urodzone i wychowane w PRL, ale były wśród nich i osoby starsze: powyżej 50 lat — 6,7 %, powyżej 60 lat — kilkanaście osób.

Stosunkowo niewiele osób ma wykształcenie podstawowe lub zawodowe — 10,8 % — co jest zrozumiałe z uwagi na krąg czytelników *Kultury*. Prawie połowa ankietowanych to osoby z wykształceniem wyższym i wyższym niepełnym — 47 %. Wśród nich największą grupę stanowiły osoby z wykształceniem technicznym — 30,4 %, następnie humaniści, przyrodnicy i matematycy oraz ekonomiści, ale były reprezentowane prawie wszystkie kierunki studiów. Liczebność osób z dyplomami wśród ankietowanych nie oznacza, że stanowią oni większość wśród emigrantów. Niemniej bezpowrotne wyjazdy z kraju absolwentów wyższych uczelni, które są cechą charakterystyczną najnowszej fali emigracji, stanowią autentyczny problem.

Na wspomnianej już Radzie Konsultacyjnej w oparciu o materiały Ministerstw Spraw Wewnętrznych i Spraw Zagranicznych podano, że za granicą przebywa około 3 tys. lekarzy, 22 tys. inżynierów i techników, 3 tys. ekonomistów i 1,5 tys. pracowników naukowych. Co znaczy dla kraju taki wpływ inteligencji i to w stosunkowo krótkim okresie czasu, nie wymaga specjalnych komentarzy. Bardzo liczna jest grupa z wykształceniem średnim ogólnokształcącym, szczególnie wśród młodych kobiet (emigracja przez małżeństwo — ?). Miarą desperacji jest fakt, że wśród osób mających ponad 45 lat — czyli tych, które już z racji wieku mają praktycznie zerowe szanse znalezienia pracy — 6 % ma jedynie wykształcenie podstawowe, a 28 % — średnie ogólnokształcące.

Prawie 70 % uczestników to osoby pozostające w związku małżeńskim i przebywające za granicą wraz z całą rodziną. Tylko

17,8 % małżeństw było bezdzietnych, najliczniejsze są małżeństwa z dwojgiem dzieci, z których wiele urodziło się już na obczyźnie.

Źródła utrzymania ankietowanych w Polsce były bardzo urozmaicone. Jedynie 49 % spośród nich poprzestawało na oficjalnej pracy w sektorze państwowym, spółdzielczym lub prywatnym, choć czasem na dwóch posadach. Takich, którzy łączyli pracę oficjalną z różnymi rodzajami prac nielegalnych i wykonywanych na czarno było 17 %. Aż 29 % stwierdza, że źródłem ich utrzymania była także pomoc od rodziny z Polski lub z zagranicy; dla 6 % było to jedyne źródło utrzymania. Osób, które pracowały w sektorze państwowym, a oprócz tego albo miały inne źródła dochodów, albo nie — było 86 %. „Czarne” prace były źródłem utrzymania dla 30 % ankietowanych, dla niektórych spośród nich było to źródło wyłączne, inni zaś łączyli je z pracą oficjalną i pomocą od rodziny.

Pytanie o przynależność organizacyjną przed 13 grudnia 1981 roku wywołało pewne zakłopotanie — 12 % osób uchyliło się od odpowiedzi. Wśród tych, które odpowiedziały, 41 % nie należało nigdzie (czasem odpowiedzi były zaopatrzone dopiskami: „broń Boże!”, „tata mi zakazał”, „ja — nigdzie!”), 48 % to członkowie „Solidarności”, inne organizacje były reprezentowane w dużo niższym stopniu: do PZPR przyznał się 1 % osób, a do innych organizacji prorządowych (stronnictwa, związki zawodowe) — 6 %. Znikoma liczba osób należała do Niezależnego Związku Studenckiego (4 %) oraz do KPN (1 %). Liczba niezrzeszonych musi budzić zdziwienie. Wiele z nich z pewnością było za młodych, by przed 13 grudnia należeć do jakichkolwiek związków zawodowych lub partii (12,2 % osób miało w 1988 roku najwyżej 25 lat), ale większość — jak można przypuszczać — nie chce się obecnie przyznać do swojej poprzedniej przynależności organizacyjnej. Czy i gdzie faktycznie należeli — trudno powiedzieć.

Działalność społeczna po 13 grudnia miała z reguły następstwa policyjne. Trzeba podkreślić, że ankietowani nie robili z siebie ani bohaterów, ani męczenników. Tylko połowa spośród nich stwierdziła, że była w Polsce w jakiś sposób prześladowana. Stopień i nasilenie represji polityczno-policyjnych były bardzo zróżnicowane: tak 16,1 % przebywało w więzieniach, 6,6 % — w internowaniu. Najczęstszą formą — wymienia ją 35,5 % osób — było szykanowanie policyjne: rewizje, zatrzymywania, kolegia orzekające, pogroźki wobec ankietowanego lub jego dzieci. Inną formą prześladowania, znacznie mniej wyrazistą, ale równie dookliwą, a w pewnym sensie groźniejszą społecznie, było karanie za postawę polityczną w miejscu pracy. Przyjmowało ono bardzo różne formy, do zwolnienia włącznie. 10 % ankietowanych zostało wyrzuconych z pracy. Tendencja do bagatelizowania

skutków wprowadzenia stanu wojennego, tak widoczna w prasie oficjalnej, pozostaje w sprzeczności z doświadczeniem społecznym. Skutki 13 grudnia nie wyrażają się tylko w liczbie ofiar, ale również w liczbie emigrantów politycznych.

Wśród ankietowanych znaleźli się mieszkańcy każdego prawie regionu, jednak najwięcej ich pochodziło z terenów najgęściej zaludnionych (Górny Śląsk, Wrocławskie), najmniej zaś — z najsłabiej zaludnionych. Do rzadkości należały osoby z południowo-wschodnich województw. Niemniej krąg potencjalnych emigrantów rozszerza się i zapewne wkrótce obejmie także i wieś. W pierwszym rzędzie emigruje się z miast, im większe, tym więcej wyjazdów: z województwa stołecznego pochodziło 21,3 % osób, ze stolic dawnych województw, a więc miast liczących co najmniej ćwierć miliona mieszkańców — 48,7 %, ze stolic nowych województw — 24,8 %, z pozostałych miejscowości — zaledwie 6 %. Wśród osób wyjeżdżających z dużych miast osoby z wykształceniem wyższym stanowią połowę. Wśród wyjeżdżających z małych miast i miasteczek stanowią jedynie 1/4, ale oznacza to, że prowincja może wkrótce odczuć brak ludzi z wyższym wykształceniem. Z regionów — dużą liczbą wyjazdów wyróżniają się dawne Ziemie Odzyskane, centrum — głównie Warszawa, Lubelskie, Poznańskie oraz środkowa część Polski północnej (Gdańskie i Bydgoskie). Większość mieszkańców wymienionych regionów to ludność napływowa, pochodząca bądź z dawnych ziem wschodnich Rzeczypospolitej, bądź ze wsi. Można więc przypuszczać, że drugim obok zaludnienia czynnikiem, mającym wpływ na decyzję o emigracji, jest brak zasiedziałości, a tym samym silnych więzi społecznych łączących ludność danej miejscowości.

Sytuacja prawna większości ankietowanych w 1988 roku była ciągle tymczasowa: w obozach przesiedleńczych przebywało 23,8 %, krótkoterminowe karty pobytowe miało — 22,1 %, wize turystyczne — 23,8 %. Pozostali już uzyskali obywatelstwo państwa, w którym zamieszkali bądź legitymowali się papierami uchodźczymi. Bez względu na sytuację prawną 70,3 % osób uważa swój wyjazd za definitywny, 8,8 % chciałoby przebywać na Zachodzie do kilkunastu lat, a 20,9 % nie miało zdecydowanego zdania. Inne odpowiedzi wskazywałyby jednak, że zdecydowana większość ankietowanych chce żyć na Zachodzie i tak układa swoje plany.

Warunki materialne

Mieszkanie jest w ocenie warunków bytowych jedną z naj-

ważniejszych spraw. Wśród naszych respondentów 36 % mieszkało u rodziców, teściów lub rodziny; dalsze 9 % — w mieszkaniu wynajętym, zaś 4 % — w hotelu robotniczym lub domu studenckim. A więc 49 % nie miało własnego mieszkania. Innymi słowy, 51 % je miało, w tym 13 % własne lub nawet domek i nie zawahało się go porzucić. Trudno się zdecydować, czy bardziej podziwiać efekty polityki mieszkaniowej, widoczne na przykładzie pierwszej połowy naszej próby, czy ogólne efekty ostatniego czterdziestolecia, widoczne na przykładzie determinacji drugiej połowy tej próby.

Im wyższe wykształcenie, tym sytuacja mieszkaniowa w Polsce była lepsza. Wśród emigrantów z wykształceniem średnim ogólnokształcącym aż 65 % nie miało w Polsce własnego mieszkania.

Wśród młodych (poniżej 30 lat) 32,2 % uważa swe warunki mieszkaniowe w Polsce za straszne, natomiast wśród mających ponad 45 lat takich osób jest 12 %. Nie można więc powiedzieć, że wieloletnia praca dała duże efekty. Wśród naszych respondentów było nawet 8 takich osób, które miały powyżej 45 lat i nie miały samodzielnego mieszkania. Aż 21,4 % ankietowanych to ludzie żonaci z dziećmi (w połowie przypadków więcej niż jedno) nie mający samodzielnego mieszkania. I znów — obrazuje to zarówno sytuację mieszkaniową w Polsce, jak i fakt, że emigrującym nie tylko o mieszkanie chodzi.

Na tle ogólnych warunków panujących w Polsce swoją sytuację materialną oceniło jako dobrą 23 % ankietowanych, jako złą lub beznadziejną — 27 %. Odsetek tych, którzy uważają swą sytuację materialną za dobrą, rośnie z wykształceniem: od 9,3 % dla wykształcenia zawodowego do 31,5 % dla wyższego. Z ogólnopolskich danych statystycznych wiadomo, że taka właśnie jest w Polsce prawidłowość: im wyższe wykształcenie, tym średnio wyższe płace. Wiadomo jednak także, że te różnice w skali ogólnopolskiej są niewielkie i że istnieją bardzo duże grupy ludności, których wyższemu wykształceniu towarzyszy raczej niższa płaca, lub na odwrót. Grupa emigrujących jednak, jako całość, jest odbiciem prawidłowości z *Rocznika Statystycznego*. Nie jest więc tak, że wyjeżdżają słabo zarabiający o różnych poziomach wykształcenia (emigracja zarobkowa) ani tak, że wyjeżdżają — bez względu na wykształcenie — ci, którzy chcą mieć jeszcze więcej, choć mają już sporo (emigracja pazernych — wątek często spotykany w publicystyce krajowej). Wśród wyjeżdżających są z pewnością i jedni i drudzy, ale ton nadają ci, których sytuacja materialna odzwierciedla ogólnokrajową prawidłowość statystyczną. Oznacza to, że trzonem grupy emigrujących — przynajmniej w naszej próbie badawczej — są ludzie przeciętnie uzdolnieni w zakresie umiejętności urządzania się w życiu i wy-

szukiwania sobie — przy danych kwalifikacjach — dobrze płatnej pracy. Są to ci, którzy raczej nie umieją — a może ze względów moralnych nie chcą — dobrze się „ustawić”, a jeśli im już zupełnie nie starcza na życie, chwytają się zajęć dodatkowych. Wyjeżdżają ci, do których ewentualnie mają jeszcze szanse trafić apele „pracujmy więcej, zaciśniemy pasa!”: wyjeżdża elita morale pracowniczego.

Z czasem zjawisko to jednak słabnie. Wśród osób, które wyjechały niedawno więcej jest określających własne wynagrodzenie jako niższe, a własną sytuację bytową i mieszkaniową jako gorsze od przeciętnej niż wśród wyjeżdżających w okresie stanu wojennego lub zaraz po nim. Stopniowo emigracja upodobnia się do klasycznej emigracji zarobkowej.

Zjawisko to widać także przy zestawieniu wykształcenia i daty wyjazdu. W naszej próbie osoby z wykształceniem wyższym stanowiły 41 %. Wśród wyjeżdżających w okresie stanu wojennego było ich 78,2 %, wśród wyjeżdżających w latach 1983-1986 — 45,8 %, a wśród wyjeżdżających w latach 1987-1988 — 28,3 %. Jednocześnie jednak liczba bezwzględna emigrantów z wyższym wykształceniem rośnie w czasie. Dowodzi to rozszerzania się postaw proemigracyjnych na całe społeczeństwo. Udział osób z wykształceniem wyższym maleje tylko dlatego, że gwałtownie rośnie liczba emigrantów nie mających wykształcenia wyższego. Wśród osób wyjeżdżających ostatnio jest mniej członków „Solidarności” niż wśród emigrantów z okresu stanu wojennego (odpowiednio 42,2 % i 59,6 %), co również jest dowodem rozszerzania się kręgu potencjalnych emigrantów — w tym przypadku przede wszystkim na młodzież.

Znajomość Zachodu

Decyzja o wyjeździe — jeśli założymy, że była przemyślana — powinna być podjęta w oparciu o co najmniej dwa elementy: ocenę własnej sytuacji w Polsce oraz ocenę własnych możliwości egzystencji na Zachodzie. Ta ostatnia wymaga jakiejś, choćby powierzchownej, wiedzy o warunkach życia na Zachodzie ze szczególnym uwzględnieniem znajomości praw i obowiązków należnych imigrantowi. Na pytanie, jaka była ta wiedza, trudno wprost odpowiedzieć, natomiast można ją określić na podstawie oceny źródeł, z jakich emigranci ją czerpali.

Utrwalony w ojczyściej literaturze stereotyp emigranta z początku wieku, człowieka ciemnego, niewykształconego, wygnanego z ojczyzny przez głód, wyjeżdżającego z nędznym tobołkiem i poduchą pod pachą, którego życie zachodnie z jego bogactwem

i różnorodnością ogłuszało i onieśmiewało, należy na szczęście do przeszłości. I dzisiaj zdarza się, że kandydat na emigranta zjawia się w wybranym przez siebie kraju z pustawą walizką, ale częściej przyjeżdża zasobny w rzeczy, a przede wszystkim z przekonaniem, że zna Zachód i będzie się umiał dostosować do panujących w nim reguł ekonomicznych, społecznych i kulturalnych.

Jego wiedza o Zachodzie nie jest wiedzą telewizyjno-filmową, choć zapewne i ona odgrywa istotną rolę w kształtowaniu wyobrażeń o tutejszym życiu. Emigranci w szczególności, a w dużej mierze wszyscy współcześni Polacy są powiązani z Zachodem więzami rodzinnymi i przyjacielskimi. Jedynie 19,2 % ankietowanych stwierdziło, że nie miało nikogo bliskiego na Zachodzie, natomiast osób, które miały najbliższą rodzinę (współmałżonka, dzieci, rodziców, rodzeństwo) było 26 %, krewnych (wujostwo, kuzyni, dziadkowie) — 21,3 %, bliskich znajomych, którzy w większości wyemigrowali z Polski po 1979 roku — 30,5 %. Od lat osiemdziesiątych zanikać zaczęły uprzywilejowane grupy wyróżniające się swoimi zachodnimi kontaktami, a co za tym idzie i możliwościami polepszenia własnej sytuacji życiowej. Obecnie bliską osobę na Zachodzie może mieć inteligent z Warszawy czy Krakowa, chłopo-robotnik z Podhala, były lub obecny działacz „Solidarności”, a także członek aparatu władzy. Posiadanie „kogoś” na Zachodzie jest traktowane przez wszystkich jako swoista polisa ubezpieczeniowa. Do takiej osoby można się zwrócić o pomoc np. o przysłanie lekarstwa, poprosić ją o zaproszenie, liczyć na jej poradę lub opiekę w momencie instalowania się na Zachodzie. Najprościej wyraziła tę potrzebę jedna z ankietowanych: „moja rodzina nie miała nikogo na Zachodzie, więc mnie wydelegowano jako najmłodszą i jako wykształconą”.

Nie ma oczywiście automatycznego związku między kontaktami z osobami mieszkającymi na Zachodzie a wiedzą o tymże Zachodzie, niemniej 58,2 % ankietowanych stwierdziło, że otrzymane informacje wpłynęły na ich poglądy. Kontakty są zróżnicowane: od korespondencji (najczęściej) poprzez wzajemne wizyty do pomocy rzeczowej. Nie zawsze najsilniejsze więzy są między krewnymi. Po 13 grudnia paczki nadchodziły nawet od osób nieznanymi, z którymi nierzadko zawiązała się zażyłość. Obecność bliskich osób na Zachodzie, zwłaszcza z ostatniej fali emigracyjnej, staje się niejednokrotnie bodźcem do wyjazdu. Im ich sukces jest większy, im bardziej wymierny, tym chęć wyjazdu jest silniejsza.

Znajomość obcego języka jest nie tylko wskaźnikiem zainteresowania Zachodem, lecz pozwala na określenie stopnia łatwości, z jaką emigrant włączy się w tutejsze życie. Otóż większość wyjeżdżających była pod tym względem źle przygotowana. Zachodzą zresztą zasadnicze różnice między osobami posiadającymi

dypłom wyższej uczelni a pozostałymi. Żadnego obcego języka nie znało 7,1 % magistrów i 47,5 % osób bez wyższego wykształcenia, biegle nim władało w analogicznych grupach: 34,6 % i 6,2 %.

Innym, niezmiernie istotnym źródłem znajomości Zachodu są własne podróże — 43,5 % ankietowanych. Podróże były służbowe, turystyczne, handlowe, rodzinno-towarzystwie, ale miały również charakter zarobkowy (kontrakt, praca na czarno) lub naukowy. Im wyższy poziom wykształcenia, tym częściej i na dłużej się wyjeżdża. Z grupy osób z wyższym wykształceniem było na Zachodzie przed emigracją — 61,4 % osób. Jakkolwiek nie byłaby ograniczona wartość bezpośredniego doświadczenia zdobyta w czasie tych podróży, przyczyniły się one niewątpliwie do przełamania obcości wobec Zachodu, obniżenia bariery lęku, a przede wszystkim utwierdziły w przekonaniu — jakże często złudnym — że się zna Zachód.

Wiedzy o Zachodzie dostarczały ankietowanym także rozgłosnie zagraniczne, głównie nadające po polsku (46,7 %), prasa i książki wydawane na Zachodzie, przeważnie polskie (37 %) oraz propaganda rządowa (12,7 %!). Z publikacji korzystały przede wszystkim osoby z wyższym wykształceniem. Nie tylko dlatego, że w każdych warunkach więcej czytają, ale miały łatwiejszy do nich dostęp choćby z tego względu, że częściej wyjeżdżały z Polski. Stosunkowo najuboższą wiedzę o Zachodzie opartą o informacje od osób tam mieszkających reprezentowali najsłabiej wykształceni, mieszkańcy głębokiej prowincji oraz osoby nie należące do żadnej organizacji.

Własne doświadczenie, przekaz od osoby wiarygodnej, informacje radiowe i literatura niewątpliwie pozwoliły na wytworzenie własnego obrazu Zachodu. Nieważne, czy był on prawdziwy czy fałszywy, istotne, że okazał się atrakcyjniejszy od życia, jakie się miało i jakie nadal miało się mieć w Polsce. Wiedza o Zachodzie nie przesądza o późniejszym powodzeniu lub klęsce. Ułatwia jednak aklimatyzację i łagodzi pierwsze, negatywne skutki emigracji.

Motywy wyjazdu z kraju, motywy pozostania na Zachodzie

Oceną decyzji o emigracji byłaby niepełna bez zaznajomienia się z motywami, które mają uzasadnić wyjazd. Na pytanie: Dlaczego Pan(i) chce pozostać na Zachodzie odpowiedziało ponad 80 % ankietowanych. Wypowiedzi miały bardzo zróżnicowany charakter; od dwóch słów: „z powodu komuny” po kilkustronicowe traktaty. Stosując najprostszy schemat, można stwierdzić: 69 % ankietowanych jako przyczynę swojego wyjazdu po-

dało powody polityczne, 40,1 % — sytuację rodzinną i względy osobiste, 36,5 % — własne warunki materialne.

Co się kryje za hasłem „powody polityczne”? W pierwszym rządzie niechęć do socjalizmu jako systemu regulującego życie ludzkie. Wielu ankietowanych nie kryło się ze swą nienawiścią do komunizmu, do socjalizmu, do wszystkiego, co się wiąże z „czerwonym”. Z kolei wielu opisywało przede wszystkim skutki codziennego funkcjonowania realnego socjalizmu, w tym — represje stosowane wobec nich lub najbliższej rodziny. (Z powodu represji wyjechało 6,5 % osób). Inni opuścili kraj, bo byli „zmęczeni życiem w PRL”, bo przerażał ich „bezsens tego wszystkiego, co widziało się naokoło”, bo nie chcieli żyć w ciągłym strachu. Dla wielu jak gdyby mniej ważna była rzeczywistość polska, niż możliwość życia na Zachodzie. Zachód to nie tylko dobrobyt, demokracja i okazja zrealizowania swoich pragnień, ale przede wszystkim pewien model życia. „Chcę żyć jak człowiek wolny”, „tylko na Zachodzie mogę być wolny”, „chcę korzystać z należnej mi wolności”, „Zachód to wolność” — takie lub podobne uzasadnienia, w których padało słowo „wolność”, wymieniło 18,9 % ankietowanych. Na czym polega brak czy też ograniczenie tak pożądanej wolności? Na przekonaniu, że nie ma się tych samych praw co obywatele demokracji zachodnich. Ankietowani rzadko wspominali o wielkich sprawach, np. o wolnych wyborach, o cenzurze, o swobodzie stowarzyszeń itp.; raczej zwracali uwagę na sprawy mniejszej wagi, które określały ich życie codzienne, np. swoboda wyboru gazety („wolę czytać *Kulturę* niż *Trybunę Ludu*”), uzależnienie awansu zawodowego, premii czy otrzymania mieszkania od prorządowej postawy politycznej, nieustanna kontrola policyjna, zmuszanie do uczestnictwa w oficjalnych organizacjach i manifestacjach, np. 1 maja.

Ocena sytuacji polityczno-społecznej w kraju, nawet najbardziej krytyczna, nie zawsze wystarcza do podjęcia decyzji o wyjeździe. Współdecydują o niej także plany zawodowe i zamierzenia osobiste zainteresowanego, jego postawa życiowa, sytuacja rodzinna i warunki bytowe.

13,7 % ankietowanych wyjechało, bo nie widziało możliwości urzeczywistnienia w kraju własnych zamierzeń. Niekiedy były one związane z wykonywaniem własnego zawodu, niekiedy z chęcią rozpoczęcia nowego życia, w którym wszystko zależeć będzie od własnej inteligencji, inicjatywy i energii — nic od państwa. W innych przypadkach decydowała żyłka awanturnicza. Marzenia o przygodzie nie wygasły, a nikła jest szansa na ich realizację w kraju. Zupełnie przeciwstawną grupę (11,2 %) stanowią osoby pragnące stabilizacji i życia bez stressów. Chcą żyć w spokoju społecznym, który jest dla nich gwarantem szczęścia osobistego. Marzy się więc o kraju, w którym życie byłoby uregulowane jak

zegarek szwajcarski. Jest to głównie pragnienie kobiet. Wyjeżdża się również ze względu na dzieci i dla dzieci. Ich choroby i możliwości leczenia na Zachodzie, zatrute środowisko w kraju i pragnienie życia w nieskażonym środowisku, a także zapewnienie im znośniejszych warunków bytowania były głównym powodem wyjazdów tej grupy osób.

Jedynie 36,5 % ankietowanych podkreśliło, że wyjechało ze względów materialnych. Stanowią licznieszą grupę niż te osoby, które określiły swoją sytuację materialną w Polsce jako złą lub beznadziejną, ale w żadnym wypadku nie są wśród wyjeżdżających grupą dominującą. Możliwości poprawienia własnych warunków życiowych były zapewne brane pod uwagę przy każdym prawie wyjeździe, ale byłoby znacznym uproszczeniem, gdyby podjętą decyzję wyłącznie od nich uzależniać. Wyniki naszych badań pozostają zatem w sprzeczności z obiegową opinią krajową, dla której głównym, jeśli nie jedynym motywem wyjazdu są przyczyny ekonomiczne.

Dysponowaliśmy jeszcze innym źródłem informacji o przyczynach wyjazdu. Są to dopiski, komentarze, a czasem obszernie wypowiedzi respondentów. Ich kategoryzacja jest niezupełnie spójna z przyczynami, które wymieniliśmy powyżej, choć nie jest też z nimi sprzeczna. Nie jesteśmy też w stanie scharakteryzować tych przyczyn ilościowo i poprzestaniemy na samym ich wyliczeniu.

1. *Zagrozenie osobiste*: Często są to działacze „Solidarności” lub organizacji opozycyjnych, ale także niepokorni członkowie nowych związków. Odbierają telefoniczne i listowne pogróżki, są stale wzywani na SB, widzą skrytobójstwa i pozorowane samobójstwa członków rodziny lub kolegów. (Głucho o tych skrytobójstwach w statystykach ofiar stanu wojennego). „Chcę spokojnie spać”. „Córka mnie pytała: „mamo, czy to Niemcy?, czy będą do nas strzelać?”.

Są też ludzie prześladowani od dawna, grubo przed „Solidarnością”. Na przykład może to być taksator rolny PZU, który znakomicie może pogodzić pracę z obserwowaniem odwiedzanych chłopów. Jest więc namawiany przez SB do współpracy, odmawia i... wtedy dopiero się zaczyna. Z naszych ankiet wynika, że przez cały okres PRL Służba Bezpieczeństwa miała jednak dużo pracy. Trzeba się sporo napracować, by każdego niepokornego — w małych, lokalnych lub zakładowych sprawach zwykle — ósaczyć pogróżkami, doprowadzić do skazania przez sąd za niepopełnione przestępstwo itp., itd. Olbrzymia większość takich życiorysów nie zostanie prawdopodobnie nigdy zarejestrowana przez historię, ale

ich znaczenie dla atmosfery społecznej w Polsce wydaje się olbrzymie.

2. *Przepętlenie się czary.* Są to ludzie, których zarzuty wobec władz są znane: korupcja, kradzieże, kłamstwo, policja będąca narzędziem mordy i bezprawia, system przywilejów dla partyjnych (okres Gierka dostarcza największej liczby przykładów), stała beznadziejność ekonomiczna. Wszystko to jednak nie powoduje decyzji o emigracji, dopóki człowiek nie zostanie uderzony osobiście — na przykład za działalność w „Solidarności”. Jedno takie uderzenie powoduje całkowitą utratę nadziei i decyzję o wyjeździe.

3. *Poczucie życia nie u siebie:* „Czułam się, jakbym żyła nie w swoim kraju”. „Czułem się, jakbym żył w więzieniu”. „Każdego dnia, słuchając radia lub czytając gazetę, czułam się poniżana”. Ludzie ci szczególnie chętnie wybierali wyjazd do Stanów Zjednoczonych. Niektórzy stwierdzali, że tradycje kultury polskiej można tam kontynuować w gruncie rzeczy lepiej i łatwiej niż w Polsce. Szybko też zyskują podwójną tożsamość narodową — zaczynają czuć się Amerykanami, nie rezygnując z polskości.

4. *Brak perspektyw.* We wszystkich niemal wypowiedziach z tej grupy podkreślano, że nie chodzi o perspektywy dorobienia się, lecz godziwego życia. Dotyczyło to szczególnie młodej inteligencji, a przede wszystkim tych grup, które zarabiają najmniej — np. lekarzy. Podkreślano też w wypowiedziach, że ważna jest nie tyle obecna, zwykle fatalna sytuacja, ile całkowity brak perspektyw i nieefektywność własnych starań, jeżeli przy tym odmawia się wchodzenia w układy partyjne lub szukania pracy w takich instytucjach, jak MSW.

5. *Ucieczka od wszystkiego.* Jest to jedyna kategoria, do której nie pasuje nazwa naszego artykułu. Ci ludzie emigrują nie tylko z socjalizmu, lecz właśnie z socjalistycznej Polski. Uciekają nie tylko od władzy, ale i od zawistnych współrodaków, od wódki, także od opozycji. „Jeśli w takiej sytuacji opozycja nie potrafi się zjednoczyć w walce o nadrzędny cel, to można tylko powtórzyć słowa Bismarcka o Polakach”. W gruncie rzeczy ich niechęć wobec współrodaków i wobec opozycji jest większa niż wobec komunistycznych władz, o których przecież i tak wszystko od dawna wiadomo.

6. *Wyjazd czasowy.* Ci ludzie wyjeżdżają, by „pomóc rodzinie”, „pomóc opozycji”, „zabezpieczyć się materialnie”, „wy-

kształcić dzieci" i wrócić. Praktycznie — to już nie z ankiet wynika — oznacza to, że przeżyją za granicą całe swe aktywne życie.

Wyjazd

Ostateczną decyzję o emigracji poprzedza okres przygotowawczy, w którym jeszcze raz rozważa się wszystkie „za” i „przeciw”. Decyzja rzadko zapada w samotności. Na ogół towarzyszą jej rodzinne i koleżeńskie dyskusje. Ankietowani nie spotkali się we własnym środowisku z ostrym zdecydowanym potępieniem — wręcz przeciwnie. Na pytanie, „jaka w Pana(i) otoczeniu panowała opinia o emigracji” padły następujące odpowiedzi:

— za emigracją	42,1 %
— przeciw emigracji	14,4 %
— zdania na ten temat były w rodzinie podzielone	8,8 %
— nikt nie miał zdecydowanego zdania	34,7 %

Dla porównania podajemy wyniki sondażu, przeprowadzonego w lutym 1988 roku na próbie ogólnopolskiej przez CBOS: 18 % osób wyrażało aprobatę dla wyjeżdżających, ponad połowa ich usprawiedliwiała, około 20 % krytykowało ich i odnosiło się do nich niechętnie. Nie ma zasadniczej różnicy w wynikach obu badań: z jednych i drugich wynika bowiem, że emigracja jest na ogół akceptowana przez społeczeństwo.

Opinie o emigracji ewoluują w czasie i w dużym stopniu zależą od wykształcenia, miejsca zamieszkania i wieku. Im późniejszy wyjazd, tym słabszy sprzeciw własnego środowiska wobec emigracji. Tak, jakby narastający kryzys osłabiał dotychczasowy system wartości i niszczył nadzieję wszystkich, zarówno wyjeżdżających jak pozostających, na pozytywne zmiany w kraju. Im niższe wykształcenie ankietowanych, a tym samym, jak można przypuszczać, ich własnego środowiska, tym prawie dwukrotnie większe przyzwolenie na emigrację ze strony tego ostatniego. W rodzinach inteligenckich — a zapewne większość osób z wyższym wykształceniem w nich się wychowała — przywiązanie do wartości takich jak służba ojczyźnie, wierność tradycji, obowiązek pozostania na ojczystej ziemi ostro koliduje z pragnieniem wyjazdu. Nic dziwnego, że środowisko osób z wyższym wykształceniem w mniejszym stopniu niż pozostałe przyzwala na emigrację. Inną już jest sprawą, w jakim stopniu te opinie mogą przeciwdziałać wyjazdom.

Niechętny stosunek do emigracji nabiera szczególnego znaczenia, gdy kandydat rozpoczyna rozmowę o swoim własnym

wyjeździe. Byli tacy, którzy nie mieli odwagi jej podjąć — 20,4 % ankietowanych wyjechało z Polski bez rozmowy z kimkolwiek. Niewykiuczone, że wielu z nich zdecydowało się dopiero po przyjeździe na Zachód. Ważne jednak jest nie tylko, czy się rozmawia, ale także z kim się rozmawia. Uprzywilejowaną osobą jest niewątpliwie współmałżonek lub kandydat na takiego. Niemniej — co trzeba podkreślić — 19,3 % ankietowanych pozostających w związku małżeńskim podjęło decyzję wyjazdu bez takiej rozmowy. Przyczyn może być wiele: ucieczka od małżeństwa, lęk przed odmową z nadzieją, że z czasem wszystko się ułoży, wreszcie zwykła lekkomyślność. Na przykład niespodziewane pozostanie na Zachodzie.

Innym zjawiskiem wskazującym również na osłabienie więzi rodzinnych jest unikanie rozmów z rodzicami. Zaledwie 13,9 % ankietowanych ujawniło się przed nimi z zamiarem emigracji. Im ankietowani byli starsi, im bardziej obrońnięci własną rodziną, tym mniej takich rozmów odbywali. Warto przypomnieć, że większość ankietowanych to ludzie młodzi (33,7 % nie przekroczyło 30 lat), trudno zatem przypuszczać, by wszyscy byli sierotami. Nie rozmawia się z rodzicami, bo taka rozmowa musi być przykra jeśli nawet obie strony są zwolennikami emigracji. Wiele osób nie rozmawiało, bo nie chciało myśleć o obowiązkach, jakie przy tej okazji mogły im być przypomniane. Bez względu na przyczyny fakt pozostaje faktem: na ogół rodzice są zaskoczeni wyjazdem swoich dzieci. Wyjazd, nawet niespodziewany, nie musi oznaczać zerwania stosunków. Często nadchodzi szybka i istotna pomoc materialna. Czy rana się zabliznia, to już zupełnie inna sprawa.

Częściej niż z rodzicami (nie mówiąc już o rodzeństwie) ankietowani (28,1 %) rozmawiali z przyjaciółmi i kolegami. Zapewne z rówieśnikami rozmawia się łatwiej niż z osobami starszymi i tym łatwiej, że z pewnością mniej wśród nich było przeciwników emigracji, a jeśli nawet tacy byli, to ich opinia dla kandydata na wyjazd miała mniejsze znaczenie niż opinia bliskich mu osób.

W pewnym momencie kończą się dyskusje i rozważania — decyzja zostaje podjęta. Stosunkowo niewielu ankietowanych wyjechało w charakterze legalnych emigrantów (15,4 %), zdecydowana większość opuściła Polskę z paszportem turystycznym (79 %) a więc z góry była skazana na dodatkowe kłopoty. Kilkadziesiąt osób spośród ankietowanych pozostało na Zachodzie po uprzednio zawartych kontraktach i po stypendiach naukowych. Jeżeli tylko mogli — ankietowani wyjeżdżali wraz z rodziną, czasem jednak mężczyzna wyjeżdżał pierwszy i kiedy tylko stworzył elementarne warunki bytowania, ściągał żonę z dziećmi, niekiedy

narzeczoną. Samotni, przeważnie mężczyźni, starają się wyjeżdżać w grupie koleżeńskiej lub dojechać do znajomych już przebywających na Zachodzie, ale przeważnie emigracyjne życie rozpoczynają w pojedynkę i niewątpliwie im jest najtrudniej. Nieznośna lekkość bytu wkrótce wszystkim zaczyna ciążyć, najbardziej daje się we znaki mieszkańcom obozów przesiedleńczych, ale ciągle pozostaje nadzieja.

Państwo z wyboru

Jak już wspomnieliśmy, większość ankietowanych znajduje się w sytuacji tymczasowej (obozy przesiedleńcze, wize turystyczne, krótkoterminowe karty pobytowe) i nie może, względnie nie chce pozostać w obecnym państwie. Dlatego wprowadziliśmy kategorię „państwo wybrane”. Jest to albo państwo, w którym emigrant przebywa i jest z tego zadowolony, albo też państwo, do którego chce wyjechać, nawet jeśli aktualnie nie znajduje się już w obozie dla uchodźców.

Zdecydowanie największym powodzeniem cieszą się trzy tradycyjne kraje emigracyjne: USA (27,5 %), Kanada (25,8 %) i Australia (14,2 %). Na czwartym miejscu znajduje się Republika Federalna Niemiec (11,2 %) mimo, iż przesiedleńców ze Śląska i Mazur, określających się jako Niemcy, w zasadzie w naszej próbie nie było. Szwecja i Francja zdobyły po 3 %, reszta zaś emigrantów rozprasza się po innych krajach Europy zachodniej i Afryki. Trzy kraje emigracyjne grupują więc łącznie 67,5 % emigrantów. Emigranci sprzed pierwszej i drugiej wojny światowej niemal w 100 % udawali się do krajów emigracyjnych — wówczas były to głównie Stany Zjednoczone i Argentyna. (Pomijamy tu stosunkowo niewielkie grupy, które wyjeżdżały z zamiarem powrotu i były zainteresowane głównie Niemcami i Francją). Tak więc przybyło na świat państw, do których wyjazd na stałe jest interesujący dla Polaka. Na szczęście, ciągle jeszcze nie są to wszystkie państwa świata.

Najczęstszym uzasadnieniem chęci wyjazdu z kraju aktualnego pobytu jest „tu nie mogę zostać” — odpowiedź dawana przez mieszkańców obozów dla uchodźców. Poza tym spotyka się trzy typy uzasadnień: a) „tu jest bezrobocie”, b) „tu jest nieprzychylna atmosfera, niechęć do imigrantów”, c) „tu jest za dużo komuny”. Wyjaśnienie tej ostatniej kategorii czytelnikowi krajowemu wymagałoby oddzielnego artykułu. Faktem jest jednak, że pewna część emigrantów stwierdza, iż w kraju, w którym się znaleźli, stan pewnych spraw bliższy jest temu, co znają z Polski, niż ich marzeniom. To właśnie przede wszystkim określają terminem „za dużo komuny”: widoczna w niektórych krajach dzia-

łalność partii komunistycznych gra zapewne znacznie mniejszą rolę.

Zauważa się jednak pewną zależność wyboru kraju od sytuacji emigranta w Polsce. Stany Zjednoczone są państwem wybranym przez 24 % respondentów, którzy uważają swą sytuację materialną w Polsce za średnią i przez 39 % respondentów, którzy swą sytuację w Polsce określili jako beznadziejną. Podobnie Stany Zjednoczone częściej występują jako wyróżnione państwo sukcesu wśród tych, którzy uważają, że w Polsce nie mogliby zrealizować swych pragnień życiowych niż wśród osób, które widziały pewne szanse realizacji tych pragnień.

Ankietowani nie tylko tłumaczyli powody, dla których opuszczają aktualny kraj osiedlenia, lecz przede wszystkim uzasadniali wybór nowego. Takie uzasadnienia padały także od osób, które były zadowolone z wybranego kraju i nie zamierzały go opuścić. Ogółem 61,4 % ankietowanych podało przyczyny, dla których wybrało dane państwo; czasem przystań z konieczności, czasem kraj marzeń. Nie ulega wątpliwości, że przyczyny wyboru nowego kraju osiedlenia w znacznym stopniu odzwierciedlają także przyczyny wyjazdu z Polski.

Na pierwszym miejscu wyboru nowego, często ostatecznego miejsca pobytu znajdują się przyczyny o charakterze ustrojowym: „tam jest naprawdę antykomunizm”, „jest to kraj najbardziej demokratyczny”, „daleko od ZSSR” itp. Tego rodzaju uzasadnienia podało 22 % osób.

Na drugim miejscu znalazła się bliskość rodziny, przyjaciół lub Polski. „Mam tam znajomych, rodzinę”. „Tam jest wielu Polaków”, „kraj kulturowo bliski Polsce”, „blisko do Polski” — tak motywowano ten wybór. Dokonało go 17 % osób.

Na trzecim miejscu — 16 % — znalazła się grupa osób nie dających żadnego wyraźnego uzasadnienia: „najbardziej odpowiadają mi warunki”, „chcę tam być na stałe”. Do tej grupy zakwalifikowaliśmy również uzasadnienia oczywiste, dawane przez mieszkańców obozów dla uchodźców: „bo tu nie mogę zostać”, „bo tam nie wymagają dokumentacji, że byłem prześladowany za swoje poglądy”, „bo jest to jeden z niewielu krajów, które nas przyjmują”.

Stabilizacja i normalność znalazły się na czwartym miejscu. „Chcę wreszcie normalnie żyć”, „spokojny kraj”, „dobry system świadczeń socjalnych”, „ułatwienia na początek”, a także „znam już język”, „tam łatwiej o pracę” i wreszcie też „ile razy można zmieniać, wszędzie jest to samo”. Osób podających to uzasadnienie było 15 %.

Na piątym miejscu (12 %) znalazł się sukces zawodowy: „tam będę mógł pokazać swoje kwalifikacje”, „tam uczciwa i solidna praca to sukces”, „to jest kraj z przyszłością, kraj dynamicznie

rozwijający się". Z innych pytań ankiety wiemy, że sukces zawodowy należy rozumieć przede wszystkim jako realizację swych możliwości, a nie jako dorobienie się. Wśród osób dążących do sukcesu zawodowego aż 70 %, będąc jeszcze w Polsce, nie dążyło do kupna takich rzeczy, jak magnetowid czy samochód, choć ich nie miało.

Na szóstym miejscu znalazła się niechęć bycia obcym (ponad 7 %): „tam otrzymuje się szybko obywatelstwo”, „tam każdy jest obcy”, „tam będzie moja druga ojczyzna”. Uzasadnienia te dawały przede wszystkim osoby, które znajdowały się w Europie zachodniej, w tym także w obozach dla uchodźców.

Na siódmym miejscu (7 %) znalazła się grupa tych, dla których zmianą kraju miał być powrót do Polski. Ludzie ci dzielili się wyraźnie na trzy odrębne grupy. Jedni chcieli wracać do Polski bezwarunkowo, prawdopodobnie w najbliższej przyszłości, drudzy — chcieli na Zachodzie przeczekać najgorsze czasy („wróć, gdy sytuacja się ustabilizuje, gdy zawrą nowe porozumienia”), trzeci, pryncypialni, mieli zamiar wracać, „gdy z Polski wyjdą komuniści”.

Wśród przyczyn wyboru nowego kraju osiedlenia motywacja związana bezpośrednio ze standardem życia („wysoki poziom życia”, „duże możliwości zarobkowe” itp.) znalazła się na ostatnim miejscu. Wspomina o niej 4 % osób. Jest to wynik nieporównywalny z odsetkiem ankietowanych (36,5 %), którzy wśród przyczyn emigracji z kraju wymieniali warunki materialne. Skąd taka różnica? Na pytanie o uzasadnienie wyboru kraju odpowiedziało o 20 % mniej ankietowanych niż na pytanie o motyw wyjazdu z kraju i zapewne wśród nieobecnych jest wielu takich, dla których względy materialne w każdym przypadku odgrywają rolę zasadniczą. Ale jest jeszcze jeden powód. Na to pytanie odpowiadały osoby, które już są na Zachodzie i albo chcą zmienić kraj, albo mówią nam, dlaczego są zadowolone z aktualnego miejsca pobytu. Te 4 % to prawdopodobnie osoby, dla których sprawy materialne są rzeczywiście jedną z podstawowych motywacji wszelkich decyzji życiowych, podczas gdy wśród tych 36,5 % ankietowanych było bardzo wiele osób, które nie mogły znieść sytuacji w Polsce, ale polepszenie, które uzyskały wyjeżdżając na Zachód, całkowicie im wystarcza.

Poglądy emigrantów

Powodem wystarczającym do emigracji nie jest sytuacja materialna, nawet najgorsza, ani prześladowania polityczne czy realne możliwości urzędzenia się na Zachodzie. Z dwóch osób mających identyczne warunki życiowe jedna pozostaje w kraju, druga wy-

jeżdża. Decyzja emigracji, nie jest także prostą konsekwencją poglądów antykomunistycznych, bo przecież w kraju pozostaje znacznie więcej przeciwników obecnego reżymu niż go opuszcza. Nie można również twierdzić, że wyjeżdżają osoby o nikłym poczuciu narodowym, gdyż emigranci wielokrotnie dawali dowód swego przywiązania do kraju, nie wspominając już o tym, że wśród emigrantów każdej fali znaleźć można najświetniejsze nazwiska polskiej kultury i sztuki oraz wybitnych polityków. Nie jest również tak, by wyjeżdżały osoby najbardziej samodzielne i energiczne, a w kraju pozostawały same fajtlapy i niezguły.

Co zatem powoduje decyzję o emigracji? — Jest ona niewątpliwie następstwem sytuacji życiowej wyjeżdżającego, równie ważną rolę odgrywa sposób, w jaki on ją widzi, jak ocenia własne możliwości i aspiracje, ale przede wszystkim jest pochodną jego światopoglądu. Przypadek odgrywa rolę znikomą. Poglądy wyjeżdżającego na system polityczny w jakim mu przyszło żyć, na rodzinę, na społeczeństwo, wreszcie na własną osobę ułatwiają lub utrudniają decyzję emigracji. Jakikolwiek byłyby wahania poprzedzające decyzję, wyjazd ostatecznie określa nadrzędność jednych wartości nad drugimi.

Jakie więc poglądy zadecydowały o emigracji? W ankiecie przytoczyliśmy osiem obiegowych opinii dotyczących praw i obowiązków jednostki wobec społeczeństwa, zawierających ocenę sytuacji w Polsce i określających stosunek do emigracji tak, aby każda z nich odwoływała się do wartości składających się na światopogląd ankietowanych. Można było podkreślać dowolną liczbę proponowanych opinii. Większość ankietowanych wybrała więcej niż jedną. Rzadko podkreślano wszystkie, najczęściej dwie. Nie były to dwie pierwsze z ogółu proponowanych, czyli pytanie zostało uważnie przeczytane. Czynniki takie jak płeć, wykształcenie, wiek — zwłaszcza ten ostatni — wpływały zarówno na rodzaj, jak na częstotliwość poszczególnych odpowiedzi, ale pominiemy je w obecnych rozważaniach, gdyż najważniejszą sprawą jest ogólna tendencja, która wystąpiła niezależnie od wszystkich możliwych podziałów. Oto wybór odpowiedzi, jakiego dokonali ankietowani:

— każdy człowiek ma prawo żyć tam, gdzie uzna za stosowne	61,2 %
— nie ma żadnego znaczenia, gdzie mieszkam, bo i tak pozostanę Polakiem	44,3 %
— Polska, to kraj strachu i beznadziei, w którym nie zanosí się na jakąkolwiek zmianę	42,9 %
— pierwszym obowiązkiem człowieka jest troska o rodzinę	21,8 %

— tylko na Zachodzie mogę zrealizować swoje marzenia i plany osobiste	16,6 %
— w Polsce wszystko zależy od państwa, tu na Zachodzie — wszystko ode mnie	16,4 %
— emigracja to klęska duchowa, ale jednocześnie poprawa warunków materialnych	12,5 %
— na emigracji można skuteczniej walczyć o interesy Polski niż pozostając w kraju	12,3 %

Uznanie przez zdecydowaną większość ankietowanych wyboru własnego miejsca na świecie za elementarne prawo człowieka oznacza zmianę dotychczasowego systemu wartości, wedle którego pozostanie na ojczyźnie było obowiązkiem i przywilejem. Egzekwowanie prawa do swobodnego wyboru miejsca zamieszkania jest niewątpliwie oznaką niezadowolenia ze stosunków ekonomicznych i społecznych w Polsce, ale także sygnałem słabnięcia więzi społecznych. Dewizą każdego demokratycznego kraju jest uznanie prawa jednostki do dysponowania własnym losem, a więc i jej prawa do emigracji, ale tak się składa, że z wyjątkiem indywidualnych przypadków nie ma masowych wyjazdów z tych krajów. Nie ma, bo porządek społeczny i polityczny jest na ogół przez ludzi akceptowany. Rewindykowanie prawa do emigracji następuje wówczas, gdy organizacja społeczeństwa jest zasadniczo sprzeczna z interesem grup i jednostek, a inne wartości określające życie społeczne tracą na znaczeniu. Wiele osób jest wówczas przekonanych, że pozostaje tylko jedno: wyjazd.

Zdaniem emigrantów nikt — ani władza, ani autorytety moralne, ani rodzina czy koledzy — nie ma prawa zakazywać komukolwiek wyjazdu z kraju. Po latach triumfalnego kolektywizmu nadszedł okres indywidualizmu, którego cechą charakterystyczną jest prymat praw jednostki nad jej obowiązkami wobec społeczeństwa. W odpowiedziach ankietowanych bardzo często padały określenia: „mam tylko jedno życie”, „jak długo mogę się poświęcać”, „jestem wolnym człowiekiem i sam mogę o sobie decydować”, które dałyby się streścić następująco: nie istnieje taki moralny przymus, który zmusiłby mnie do poświęcenia własnej osoby na rzecz ogółu. W imię prawa do osobistego szczęścia i lepszego losu, w imię prawa do życia w systemie politycznym, jaki się samemu wybrało, emigranci odwołują się do prawa, wedle którego każdy powinien żyć tam, gdzie uzna za stosowne. Uzasadnienie jest jednocześnie usprawiedliwieniem: jeśli istnieje prawo wyboru, to dlaczego mam z niego nie skorzystać.

Negatywna ocena sytuacji polityczno-społecznej w Polsce nie jest jedynym czynnikiem kształtującym przekonanie ankietowanych o prawie swobodnego zamieszkania. Decydują o tym również zmiany, które zaszły po drugiej wojnie światowej. Świat

zmienił oblicze i nie ma prawie narodu, który pod względem składu byłby taki, jaki był przed 1939 rokiem.

Wędrówka ludów stanęła znowu na porządku dziennym. Jedni uciekają przed wojną, głodem, więzieniem, inni nie chcą żyć w narzuconym systemie politycznym, jeszcze inni nie akceptują społecznego marazmu i nudy lub chcą po prostu gdzie indziej żyć i pracować. I wszyscy chcą zamieszkać w krajach zachodniej demokracji. Ludzie również podróżują. Turystyka stała się masowa i objęła prawie wszystkie warstwy. Ludzie mogą obserwować i oceniać. Przekonanie, że nie jest się raz na zawsze przywiązanym do miejsca swego urodzenia, że można żyć gdzie indziej nic nie tracąc ze swej narodowej tożsamości coraz bardziej i coraz powszechniej zapada w świadomość ogółu i określa postępowanie jednostek, także Polaków.

Pogląd, że Polakiem pozostaje się bez względu na miejsce zamieszkania zasługuje na szczególną uwagę. Mniej niż można by oczekiwać, bo niewiele ponad 40 % ankietowanych uznało za konieczne podkreślenie tej odpowiedzi. Dlaczego? Dla niektórych wyjeżdżających pozostanie Polakiem jest sprawą mało ważną. Zdarzały się osoby, co prawda nieliczne, które przebywając w obozach przesiedleńczych o swoim przyszłym kraju zamieszkania już pisały „moja ojczyzna”. Dla wielu, przybyłych niedawno, tj. w 1987 i 1988 roku, była to z kolei sprawa tak oczywista, że nie warta wzmianki. Dopiero dłuższy pobyt poza krajem wyzwała nostalgię, a jednocześnie zmusza człowieka do zadawania sobie pytania, kim właściwie jest? Nic więc dziwnego, że ankietowani, im starsi stażem emigracyjnym, tym częściej podkreślali swoją polskość.

Przekonanie, że można pozostać Polakiem bez względu na miejsce zamieszkania oznacza rozerwanie bezpośrednich więzi między ziemią ojczystą a narodem. Cechą wyróżniającą Polaka przestaje być obszar, na którym mieszkali jego przodkowie i będą mieszkali wnuki; dla emigrantów staje się nią wyłącznie język, kultura oraz tradycja. Zaakceptowanie takiego poglądu pociąga za sobą liczne konsekwencje natury politycznej i kulturalnej. Wymaga bowiem ponownego zdefiniowania wzajemnych stosunków między Polakami, mieszkającymi w kraju a polską diasporą rozszarpaną po całym świecie oraz określenia obowiązków tej ostatniej wobec ojczystego kraju.

Dyskusja o aktualnej sytuacji Polski wywołuje zwykle, bez względu na to, gdzie się toczy, kontrowersyjne opinie. O ile panuje dość powszechna zgoda co do skutków kryzysu ekonomicznego, o tyle polityczne i społeczne aspekty życia są postrzegane w tonacji biało-czarnej. Ponad 40 % ankietowanych podzielił najgorsze oceny. Zapewne wielu z tych, którzy podkreślili zdanie: „Polska jest krajem strachu i beznadziei, w którym nie zanosi się

na jakąkolwiek zmianę”, szukało usprawiedliwienia dla swojego wyjazdu, ale dla większości kryzys ekonomiczny jest tożsamy z kryzysem socjalizmu. O politycznym uwarunkowaniu organizacji życia w Polsce myśleli również ci wszyscy, dla których Zachód jest wzorem do naśladowania pod każdym względem, gdyż stwarza szansę dobrobytu i indywidualnego rozwoju, której znaleźć we własnym kraju nie można. Ankietowani podzielający powyższy pogląd wyjeżdżali nie tyle z Polski, co z socjalizmu. Wyjeżdżali, bo stracili nadzieję na zmianę systemu i na powstanie Polski samorządnej, a to znaczy, że przestali wierzyć, że nadejdzie dzień, kiedy pensja wystarczy na utrzymanie rodziny, że ich dzieci będą leczone w przyzwoitych szpitalach i będą miały szansę na pogodniejsze życie. Wyjeżdżali, bo nie chcieli żyć pod kontrolą polityczno-policyjną, bo nie chcieli być ani kolaborantami, ani bohaterami. Wyjeżdżali poganiani strachem. Precyzyjnie określiła tę sytuację jedna z ankietowanych: „co rano budziłam się w przerażeniu, co też oni mogą znowu wymyślić”.

Ankietowani wyjeżdżali z kraju z powodów politycznych, ale nie aspirują do miana emigracji politycznej. Zaledwie 12,3% spośród nich traktuje emigrację jako okazję do aktywnej działalności na rzecz kraju. I w rzeczywistości nie jest ich wiele więcej. Uchylenie się od politycznej działalności na emigracji nie jest niczym dziwnym. W kraju liczba działaczy „Solidarności” w stosunku do ogółu członków jest też niewielka, nie wspominając już o Polakach, których nigdy nic nie obchodzi. Niechętny stosunek do działalności politycznej na emigracji określają jeszcze inne powody. Po pierwsze obawa, że może ona zaszkodzić rodzinie w kraju lub utrudnić zdobycie nowego obywatelstwa; po drugie emigranci wyjeżdżają w pojedynkę, żyją w dość dużym rozproszeniu i na ogół nie spotykają się z pomocą organizacji emigracyjnych; po trzecie dla wielu wyjazd z kraju ma być okazją do całkowitego zerwania z przeszłością i odrzucenia jakichkolwiek zobowiązań. Działalność emigracyjna z konieczności odwołuje się do „starego życia”, przypomina o obowiązkach wobec kraju.

Na pytanie, jakie są więc poglądy emigrantów z ostatnich lat, można odpowiedzieć: zdecydowani przeciwnicy socjalizmu jako systemu organizującego całość życia społecznego, dla których własny los lub dobro rodziny jest naczelną wartością w życiu.

Konkluzja

1. Polacy emigrują przede wszystkim z socjalizmu. Uciekają od chronicznego kryzysu ekonomicznego, w którego zakończenie przestali wierzyć. Ale uciekają również od braku wolności i braku sprawiedliwości. Uciekają wreszcie z systemu, do którego nie

mają zaufania i którego boją się, którego pokojowe przeobrażenie się w pluralistyczną i praworządną demokrację uważają za nieprawdopodobne.

2. Motywy ekonomiczne, zwłaszcza w środowiskach inteligentnych, odgrywają rolę mniejszą od tej, jaką im przypisuje publicystyka krajowa i rząd.

3. Wyjeżdżają ludzie zmęczeni beznadziejnością ekonomiczną i nieefektywnością wieloletnich starań o poprawę własnej sytuacji oraz tacy, którym chodzi o samorealizację, o poczucie robienia czegoś wartościowego, czego dowodem jest między innymi wynagrodzenie.

4. Emigranci są przekonani, że każdy ma prawo mieszkać gdzie chce, układać swoje życie jak chce i korzystać z praw, jakie przysługują każdemu obywatelowi w demokratycznych państwach Zachodu. Naszym zdaniem przekonanie to podziela większość Polaków, co znaczy, że dotychczasowy system rządzenia krajem rozmija się całkowicie z aspiracjami jego mieszkańców.

5. W społeczeństwie, a z pewnością wśród emigrantów, tradycyjny stereotyp Polaka stracił na znaczeniu. Kryzys wartości obejmuje całość życia społecznego, w tym także patriotyzm i obowiązki wobec ojczyzny.

6. Emigracja zaczynała się w wielkich ośrodkach miejskich, ale stopniowo rozszerza się na cały kraj i wszystkie warstwy społeczne. Nie ulega wątpliwości, że w jakiejś mierze narusza podstawowe interesy kraju i przyczynia się do osłabienia więzi społecznej i narodowej.

7. Emigranci wiedzą, co porzucają wyjeżdżając z kraju, ale nie bardzo wiedzą, co ich czeka. Narastająca wola emigrowania z jednej strony, mnożące się bariery antyemigracyjne tworzone przez kraje Zachodu z drugiej powodują, że wielu wyjeżdżających pada ofiarą tego konfliktu.

8. Emigranci powinni pamiętać, że zachowanie polskości jest nie tylko formą spłaty długu wobec ojczystego kraju, ale przede wszystkim środkiem zachowania własnej tożsamości. Zaś z przekonania, że można mieszkać, gdzie się chce, nie wynika pogląd, jakoby wkrótce po przyjeździe można było stać się równoprawnym członkiem innego narodu. Świat uległ pomniejszeniu, ale różnice między narodami pogłębiły się.

Grażyna POMIAN

Marek TABIN

Trzecioświatyzacja

CZYLI O POLSKIM MARSZU WSTECZ

„W Trzecim Świecie zachodzi połączenie wszechwładzy i nieodpowiedzialności”.

Jean-François Revel

I

W nieodległych czasach, kiedy nasi statystycy zaliczali Polskę do pierwszej dziesiątki światowych potęg przemysłowych, Encyklopedia Powszechna PWN (1974) podawała:

„Korea Południowa jest krajem gospodarczo słabo rozwiniętym, uzależnionym ekonomicznie i politycznie od USA. Podstawą gospodarki jest rolnictwo... Wartość importu przewyższa trzykrotnie wartość eksportu”.

Niewykluczone, że Koreańczycy zazdrościli nam wówczas *prosperity* (południowi rzecz jasna, albowiem komunistyczna Korea Północna wedle tegoż źródła należała „do najlepiej gospodarczo rozwiniętych krajów Azji”). Być może jakiś dziennikarz z Seulu głosił wtedy ideę zbudowania „drugiej Polski”? Mobilizował rodaków hasłem „Koreańczyk potrafi”?

Potem Polska z Koreą dokonały roszady. My ciągle nie możemy wspiąć się na poziom z 1978 roku, oni od tamtej pory podwoili z nawiązką dochód narodowy, zaś dynamiką eksportu nas zdeklasowali. Czyżby trysnęła im rona? Nie, Korea jest uboga w paliwa. Może ów dysonans zrządziły pechowe dla Polaków werdykty Nemezis? Nic podobnego. Historia nas wprowadzi nie pieściła, dołujemy od trzech stuleci, ćwiartowali nas i gnębili zli sąsiedzi, straciliśmy wiek XIX, wojny nas pustoszyły niemilosier-

nie — lecz cóż to przy niedolach koreańskich! Oni w ostatnim tysiącleciu niemal bez przerwy cierpieli pod batogiem Mongołów, Mandżurów, Chińczyków i Japończyków (już nie wspominam tyranów-Amerykanów...), nie mieli Złotego Wieku ani doby mocarstwowej, w powstaniach broczyli krwią równie często i obficie, od wielkiej wojny zaś dzieli ich krótszy aniżeli Polaków odstęp czasu.

Generał Jaruzelski na X Plenum KC PZPR zdemaskował (jak mu się wydawało) zatrute źródła sukcesu „azjatyckich tygrysów”, mianowicie wsteczność ich polityki socjalnej oraz antydemokratyzm. Rzeczywiście, nie są to kraje czulej troski o obywateli ani przykładowej demokracji. Generał nie zauważył jednak, jak w sentencji o źdźbłę i belce, że margines ubóstwa oraz praktyki wyzysku kurczą się tam, gdy u nas — rozszerzają. Ponadto oni mają wybory; zazwyczaj podfałszowane, lecz nie całkiem fikcyjne.

Próżno szukamy wymówek. Jesteśmy gorsi, bo jesteśmy gorsi. Dowcip, że należymy do krajów „zwijających się” można już sprawdzić wymiernymi faktami. Wedle Przemysława Wójcika z Akademii Nauk Społecznych właśnie w ostatnich latach stoczyliśmy się na sam koniec listy europejskiej (brak danych o Albanii) pod względem wysokości dochodu narodowego na głowę, a także udziału płac w kosztach produkcji. Podobnie jest z niemal wszystkimi wskaźnikami cywilizacyjnymi, jak liczba łóżek szpitalnych, aparatów telefonicznych, budowanych mieszkań, zwłaszcza zaś umieralności (szczególnie mężczyzn w wieku produkcyjnym). George Shopflin z London School of Economics uważa, że należymy (wraz z Birmą i Bangladeszem, nieco za Rumunią) do czwartej, najniższej grupy w hierarchii państw-eksporterów: wyprzedajemy co się da za byle jaką cenę.

Aby nie narazić się na zarzut pustostowania — szczypta statystyki.

Dochód narodowy podzielony na głowę (przyjmując, że poziom z roku 1970 równał się 100) wynosił w Polsce 177,0 w roku 1977, a tylko 146,3 w roku 1987.

Między rokiem 1970 a 1987 udział Polski w światowym eksporcie spadł z 1,1 % do 0,5 %, zaś Korei Południowej wzrósł z 0,3 % do 1,6 %.

Na jednego mieszkańca Polska (1987) eksportowała za 394 dolary, Portugalia — za 879, Bułgaria — za 1.842, Singapur za 10.951 dolarów!

Średnie spożycie mięsa w 1986 roku: Polska — 66 kg, Bułgaria — 73 kg, Hiszpania — 75 kg, USA — 112 kg.

Liczba aparatów telefonicznych na 1.000 mieszkańców: Pol-

ska — 113, Bułgaria — 217, Hiszpania — 370, Włochy — 448, Szwecja — 890.

Jednak mimo tej gospodarczej degrengolady ośmielam się sądzić, że jądro zła wcale nie leży na skali naszego położenia ekonomicznego względem innych państw światowego peletonu. Nie możemy się uważać za szczególnie pokrzywdzonych materialnie, bo za nami (tu Jaruzelski ma rację) jeszcze ze trzy czwarte ludzkości. Jeśli nawet spadliśmy do Trzeciego Świata, to pedałujemy w jego czołówce.

„Zło większe” tkwi w zmianach uwsteczniających, czyli w regresie życia zbiorowego. Nasz byt społeczny upodobnia się do wzorów dominujących w Trzecim Świecie, przede wszystkim w jego kręgu afrykańskim.

Dotyczy to sposobów tworzenia elit i ich legitymizowania.

Dotyczy metod zniewalania i wyzysku społeczeństwa przez te elity.

Dotyczy zmian uwarstwienia społecznego, hierarchii prestiżu, ścieżek awansu.

Dotyczy to przeobrażeń kultury masowej i narodowego etosu.

Wreszcie dotyczy również usytuowania Polski w bloku komunistycznym (i tego bloku w świecie), lecz tę problematykę pomiję, ażeby niezdarnie nie powtarzać tego, co z pasją i ze znanstwem demaskuje Jadwiga Staniszkis.

II

Tracimy kontakt cywilizacyjny z Koreą, za to upodobniamy się do Birmy. Ten sympatyczny kraj indyjsko-chińskiego pogranicza kulturowego (jak Polska pogranicza łańcisko-bizantyjskiego) żył-był sobie ongiś — eksportując drewno i ryż — we względnym jak na Azję dostatku; ot, jak kiedyś sarmacka Polska w merkantylnej Europie. Podczas drugiej wojny Birma także zaznała rozkoszy wyzwalań, nawet w zwiększonej dawce. Kolonialistów angielskich przepędzili japońscy, po nich weszły (na szczęście tylko na peryferie) dywizje Kuomintangu, te zaś wygnali wojska Przewodniczącego Mao, którzy kwaterują do dziś w przygranicznych regionach, buszując po nich jeszcze bardziej bezceremonialnie niż sowieccy sąsiedzi we wschodnich województwach PRL. Koniec końców Birma wstąpiła na „birmańską drogę do socjalizmu”...

Pomińmy przypadkowe zbieżności. Ciekawsze, że ustrój Birmy definiowany jest jako „autarkiczny socjalizm temperowany buddyzmem osadzony na biurokracji o strukturze wojskowej”. Wystarczy zmienić buddyzm na katolicyzm, a będziemy w domu,

bo spadek naszego udziału w handlu światowym oznacza właśnie zwrot ku autarkii.

Warto więc Birnie przyrzeć się dokładniej.

Wojskowi, którzy 2 marca 1962 roku dokonali tam przewrotu, ogłosili ludowi, że Rada Rewolucyjna (prototyp WRON) będzie władać niedługo, a celem jej jest tylko ocalenie państwa, zagrożonego anarchią, przywrócenie ładu i porządku tudzież rządów prawa. No i rozwiązanie trudnych problemów gospodarczych, spiętrzonych w poprzednich dwóch latach.

Prędko jednak rządy wojska prolongowano, w praktyce — w nieskończoność. Wojskowi ideolodzy oznajmili, że Birma zmierza do rewolucyjnych reform socjalistycznych, których istotą ma być jedność inicjatyw indywidualnych i grupowych oraz centralnego kierowania społeczeństwem. (Dystans geograficzny duży, a jakże znajoma nam retoryka!). Demokratyczny socjalizm i wolność jednostek miały się wzajemnie uzupełniać i harmonijnie wytwarzać społeczeństwo postępowe i dostatnie. Josef Silverstein w książce „Birna — rządy wojskowe i polityka stagnacji” zauważył: „Teoretycy ci argumentowali, że jedynie wtedy, gdy żołądek jest pełen, może powstać zdrowa moralność”. Ciepło, ciepło... Nie ważne, czy stół jest okrągły, ważne, by był suto zastawiony — byle była micha i łach na grzbiecie.

Miały lata, dziesięciolecia. Raz po raz ogłaszano reformy i nowelizacje reform; a kraj, któremu dawniej zazdrościli sąsiedzi, zeslizgiwał się po równi pochyłej. Pod sztandarami Birmańskiej Partii Programu Socjalistycznego, od góry do dołu naszpikowanej generałami i pułkownikami, w kraju pojawił się głód. Inflacja wyrażała się liczbami trzycyfrowymi. Handel zagraniczny spadł poniżej wskaźników przedwojennych. Jedynym ratunkiem dla spauperyzowanych mieszkańców okazał się czarny rynek, zasilany gigantycznym przemysłem. Szacuje się, że w ostatnich latach „równoległa gospodarka” *vel* „szara strefa” obejmuje ponad połowę handlu zagranicznego i cztery piąte obrotów detalicznych. Birna spadła do dziesiątki najbiedniejszych krajów świata. Protesty ludności tłumi się salwami wojska, jedynej podpory kolejnych ekip generalskich.

III

Doświadczenia podobne do birmańskich — czasem trochę mniej, czasem jeszcze bardziej fatalne — miało kilkadziesiąt państw Trzeciego Świata, przeto Samuel E. Finer („The Man on Horseback”) uważa, że dziwny jest nie tyle fakt dominacji wojska w tylu krajach, co fakt, że w wielu rządzą jednak bezbronna cywile...

Aliści inne soldateski azjatyckie (tajwańska, indonezyjska, tajlandzka, pakistańska) nauczyły się samoograniczeń: ciągną z gospodarki haracze, lecz stopniowo odchodzą od bezpośredniego zarządzania, rozplývają się w cywilności. Tolerują enklawy swobód politycznych, a nawet przekazują władzę tym, co wygrali wybory! Nikt oczywiście nie zareczy, że długo wytrwają w legalizmie, a pani premier Benazir Bhutto osiągnie wiek sędziwy.

Soldateski latynoskie wyraźnie już sflaczały, pośpiesznie uczą się schodzić ze sceny, chyba nawet twardy Pinochet uznał kres epoki caudillizmu.

Jeszcze tylko w Czarnej Afryce jedynym sposobem obalenia mundurowej elity pozostaje pucz innego garnizonu.

W Europie, odkąd w Grecji padł reżim „czarnych pułkowników”, ostatnią enklawą militarystyki pozostały rządy generała w czarnych okularach. Co prawda nie jest to klasyczna dyktatura wojskowa, nie była taką nawet w okresie stanu wojennego. Ale ośrodkiem decyzji, jądrem władzy pozostała jednak po 13 grudnia grupa generalska i z głów otoczonych wężykiem emanują na cały aparat państwa militarystyczne fluidy. To one zmaterializowały się w stan, dla którego najlepszym określeniem jest ANARCHIA Z PRZEREGULOWANIA.

Taki obrót spraw nie był niespodzianką dla nikogo; kto choćby poprzez bogatą literaturę przeszedł losy wojskowych puczów oraz specyfikę myślenia korpusów oficerskich w Trzecim Świecie. Z jego doświadczeń z militarystyką można wyciągnąć kilka pouczających wniosków.

Po pierwsze, w Trzecim Świecie, a przynajmniej w jego najbardziej zacofanych krajach, wojsko jest jedyną siłą zdolną do efektywnego sprawowania władzy, bo dysponuje narzędziami przymusu bezpośredniego, infrastrukturą techniczną (łączność i transport), a także elementarną rutyną organizacyjną, wymuszaną przez samo istnienie armii.

Dzięki temu — po drugie — armia jest zdolna zagwarantować istnienie państwa tam, gdzie nie stanowi ono jeszcze spójnej organizacji bytu narodowego, lecz zbiór luźnych grup w przypadkowych granicach.

Po trzecie, armia nie umie poprowadzić zbiorowości, nad którą objęła władzę, drogą postępu gospodarczego, nie mówiąc już o społecznym. Próby organizowania przez generałów prac mniej lub bardziej przymusowych (elegancko zwanych w zachodnim piśmiennictwie „inwestycjami ludzkimi”) bodaj nigdzie nie przyniosły pomyślnych efektów.

W tym punkcie, poprzez analogię z praktyką „grup operacyjnych” i „komisarzy wojskowych”, otarliśmy się o *casus* PRL; w punktach następnym podobieństwa sytuacji polskiej z trzecioświatową są jeszcze bardziej wyraziste.

Otóż, po czwarte, przechwycenie władzy przez wojsko oznacza, że na szczycie społecznej hierarchii umieszczają się ludzie, stanowiący produkt selekcji negatywnej; karierę oficerską wybierają zazwyczaj ci, którzy nie wrożą sobie sukcesu na uniwersytetach, a szeregi żołnierskie zapełniają marginesowe grupy warstw plebejskich, którym służba wojskowa (najlepiej w ZOMO!) pozwala uciec z wiejskiej podrzędności albo wegetacji w slumsach.

Po piąte, każda armia wytwarza w swych szeregach poczucie własnej ważności, rekompensujące dolegliwą izolację koszarową, a na szczeblach dowódczych *esprit de corps*, ducha kastowej wspólnoty. To owocuje arogancją, butą i skłonnością do pogarżania „cywilbandą”, to jest przedsiönkiem totalizmu.

Szósty pewnik polega na tym, że wojskowi z natury swej służby są fanatykami „ładu i porządku”; ta kategoria stanowi alfę i omegę mentalności oficerskiej. I właśnie w tym sedno szkodliwości dyktatur generalskich. Ład i porządek są niewątpliwie przydatne w hierarchicznym organizmie, jakim jest armia, ale — podniesione do rangi absolutu — są a n t y w a r t o ś c i ą z punktu widzenia potrzeb gospodarki, społeczeństwa cywilnego, kultury. To bowiem są królestwa zjawisk żywiołowych, spontanicznych, samorodnych, których korygowanie jest możliwe — niekiedy wskazane — jedynie w wąskim zakresie i raczej bodźcami pozytywnymi aniżeli ulubionymi przez wojskowych (i policjantów) restrykcjami. „Ład i porządek” to antyteza ciągłego ruchu, ścierania się myśli i interesów, walki sprzeczności, z której — akurat w tym punkcie marksizm się nie pomylił — wytopia się nowa i doskonalsza jakość.

Chilijczyk Hector Vera napisał, że hasło „ładu i porządku” sprzeciwia się idei walki o zmianę, zaś wezwania o „spokój społeczny” pożądane są przez burżua, lecz sprzeczne z pragnieniami ludu. Nie jest to jedyne podobieństwo między Chile a Polską.

IV

Skoro padło słowo „marksizm”, to warto nieco uwagi poświęcić dziejom jego niedługiej, ale jakże dynamicznej kariery na Czarnym Kontynencie, który ledwie stał się niepodległy na mapach — stał się też socjalistyczny w mowach przywódców. Doszło tam do istnej erupcji „socjalizmów” — jednolicie totalitarnych, lecz ozdabianych przymiotnikami: afrykański, humanistyczny, plemienny, komunalistyczny, muzułmański, otwarty. Dopiero w jakiś czas później, pod hasłami odnowy i sanacji tegoż socjalizmu, do gry włączyli się rywale w mundurach.

Afrykański model socjalizmu mógłby i powinien być źródłem ideowej inspiracji dla lektorów KC, oficerów polowych oraz działaczy OPZZ. Szczególnie bezlitosny jest on dla pluralizmu. Madeira Keita, minister spraw wewnętrznych b. Sudanu Francuskiego (później Mali) już dawno rozwiązał pryncypialne pytanie teoretyczne: „Czy demokracja koniecznie wymaga wielości partii? Odpowiadamy — NIE!”. W uzasadnieniu myśliciel ten dowiódł, że jeśli nawet w Afryce istnieją klasy, to nie mają one zróżnicowanych, a tym bardziej rozbieżnych interesów, przeto nie zachodzi potrzeba „obdarzania się luksusem jałowej opozycji”.

Myśl Miodowicza szybuje równie wysoko.

Odkrycia te rozwinął Sekou Touré, dyktator skrajnie postępowej Gwinei. Objawił, że lud, partia i naród są tym samym, ale zjednoczona partia — będąc Formą Najwyższą — uosabia zarazem państwo; dlatego do partii zapisano wszystkich obywateli, nawet dzieci mające się urodzić, co było dowodem absolutnego demokratyzmu. Później Sekou Touré dokonał poprawki: otóż naród gwinejski nie istniał w ogóle aż do 2 października 1958 roku, w którym to dniu władzę objęła jego Demokratyczna Partia Gwinei, inicjując tworzenie narodu. Wprowadzony ustroj zwał socjalizmem, czasem komunizmem (choć zaznaczał, że w Gwinei marksizm-leninizm nie ma zastosowania), ale koniec końców doszedł do wniosku, iż najważniejszym określeniem ustroju gwinejskiego jest „narodowa demokracja” w postaci dyktatury, realizowanej przez państwo, działające w podwójnej formie: Biura Politycznego i rządu. Znamienne, że urzędowa myśl polityczna w PRL ewoluuje w podobnym kierunku! Końcowy wniosek filozoficzny wóldarza Gwinei polegał na ustaleniu, że jednostka jest niczym — państwo wszystkim, albowiem dopiero ono ucłowiecza indywidualnych osobników.

Koźniewski, Górnicki, Urban mogliby być wybitnymi intelektualistami gwinejskimi.

Nkrumah w pierwszych latach swej władzy dopuszczał możliwość istnienia w Ghanie „konstruktywnej opozycji”, lecz szybko zmienił zdanie. Ogłosił, iż partia, której przewodzi, nie może powierzonego jej przez lud mandatu dzielić z inną partią, gdyż to by oznaczało pogwałcenie woli ludu, ergo — zejście z drogi demokracji. Konsekwentnie, w konstytucji zapisano dwie fundamentalne zasady: jednopartyjności oraz socjalizmu naukowego.

Inicjatywa ustawodawcza za Gjerka biegła równoległym torem i podobnie odcisnęła się na tekście ustawy zasadniczej. Przyjęła się także afrykańska metoda ścigania opozycji za samo nawet, i to powściągliwe, krytykowanie jedynowładców.

Nyerere, który wymyślił dla Tanzanii socjalizm *ujamaa* (co się tłumaczy jako wspólnotowy lub solidarnościowy), zapisał się w historii afrykańskich doktryn politycznych śmiałym krokiem ku

demokracji: pozwolił wyborcom głosować na jednego z pary kandydatów, oczywiście wytypowanych przez partię kierowniczą. To *novum*, inspirujące Europę Wschodnią, pomogło jednak nie za bardzo. Katastrofa socjalizmu tanzanijskiego była spektakularna. Nyerere zachował się jednak przytomnie: krajowi dał szansę ratować się kapitalizmem, a sam w glorii odszedł na pobocze, skąd nadal to i owo doradza rodakom i całemu światu.

· Szkoda, że pozostał bez naśladowców.

V

Ilekróć marksiści-leniniści chcą sobie poprawić samopoczucie, nadwerżone krachem, w który się sami wprowadzili — wyszydają pozorność „demokracji burżuazyjnej”. Ich orężem jest aksjomat siernieznego materializmu, że władzę daje własność środków produkcji: *ergo*, w kapitalizmie demokratycznej równości być nie może — bo kto ma pieniądze, ten trzyma cugle.

Jeśli nawet przyjąć, że okruszyna racji w tym jest, to przecież inaczej było w każdej z pozostałych formacji, jakie wylicza marksistowska historiozofia. Reguła dziejów polega na tym, że kto zagarnął władzę — ten rozporządza środkami produkcji i wszelkimi z nich profitami; twierdzenie odwrotne jest bezpodstawne.

Szczególnie wyraziście widać to w Trzecim Świecie.

Demiurgami nowych państw tamtejszych nie stały się tradycyjne, legendarnie bogate elity — indyjscy maharadzowie, arabscy emirowie, afrykańscy kacykowie — lecz zwykli chudopachołkowie: wiejscy nauczyciele, kolonialni biuraliści niskiej rangi, sierżanci, mizerni dziennikarze i biedujący na paryskim bruku adwokaci. To oni zakładali ruchy i partie wyzwolencze, które otrzymały (czasem wywalczyły) niepodległość, gdy imperialne metropolie likwidowały swe zamorskie włości. Chwała za to tym inteligentkim oraz pół- i ćwierćinteligentkim bidusiom, którzy z dnia na dzień zostali prezydentami, premierami, ministrami, marszałkami i zaczęli w sztucznych granicach postkolonialnych, metodą nakazową, tworzyć swoje narody z plemiennego misz-maszu. (Tak było w Afryce; Azja na ogół miała już narody mniej więcej świadome swej tożsamości oraz załączki elit politycznych).

Innego tytułu do chluby przypisać tym ludziom nie sposób. Raz zdobytej władzy postanowili nie oddać nikomu; to łączyło ich z wyznaniem wiary komunistów. Łączyła ich także z nimi technologia wyzysku, przemocy oraz sakralizacji własnej „misji”. Samozwańcze elity-kliki pod szczytnymi sloganami przekształciły swe państwa w prywatne folwarki, zaś poddanych uznały za motłoch, który należy perswazją, nakazem albo siłą przymuszać

do folwarcznych obowiązków. Wszędzie powstały warstwy rządzące, które René Dumont („Czarna Afryka źle wystartowała”) trafnie ochrzcił „burżuazją funkcji publicznych”, albowiem załączenie władzy — i tylko ono — umożliwiło im osiągnięcie bogactw, pysznie błyszczących na tle afrykańskiej nędzy. Marek Szczepański, świetny znawca Afryki obliczył, że byle biuralista zarabia 100-200 razy więcej niż niewykwalifikowany robotnik czy drobny kupiec, Dumont zaś stwierdził, że chłop przez całe życie nie osiągnie dwumiesięcznej pensji czarnego parlamentarzyisty. Niektóre państwa jedną czwartą budżetu asygnowały na utrzymanie ministerstw i parlamentu; w Nigerze pół budżetu szło na urzędników. Normą jest przy tym nieodróżnianie majątku państwa, partii rządzącej i własnego. Ekonomista indyjski A. D. Moddie napisał: „Kiedy polityk zdoła wejść do rządu lub rządzącej partii, ma swobodne pole i wszelkie środki działania w administracji i organach lokalnych. Inwestowanie środków w gospodarkę planową staje się, wedle tej praktyki, zorganizowanym systemem podziału łupów, nepotyzmu, faworyzowania swych kast oraz nadużyć — wszystko za konstytucyjną fasadą”.

Baśniowe Kathmandu obrosło w ostatniej dekadzie dzielnicami luksusowych willi urzędniczych (w Polsce zwą takie dzielnice „złodziejówkami”). Dyplomata nepalski G. P. Lohani ujawnił, że 10 tysięcy urzędników królewskich zdefraudowało blisko miliard dolarów z darowizn międzynarodowych, czyli z górą jedną trzecią całej pomocy, jaką światowa społeczność ofiarowała biednemu kraikowi himalajskiemu.

Identyczne praktyki w Afryce są regułą („rządy, służąc swym interesom klasowym, wykorzystują pomoc dla zwiększenia swej władzy” — sprezyował J. F. Revel), ale tam na dodatek małwersanci obwołują się szermierzami socjalizmu.

Nkrumah, jak przystało w „socjalizmie naukowym”, proklamowanym w Ghanie, szczególnie dbał o kadry. Liczbę ministerstw szybko podniósł z ośmiu do trzydziestu, a także powołał kilkuset „wysokich komisarzy”. Szeregowych towarzyszy partyjnych tysiącami kierował, żeby się dorobili, do Zjednoczonej Rady Spółdzielczości Rolniczej. (Identyczne szanse dają w Polsce GS-y i WZGS-y, kto tu kogo podpatrzył i naśladuje?) Na wyższych szczeblach hierarchii wypadało ozdabiać kanty — teoretyzowaniem. Minister transportu Krobo Edusie (wślawiony tym, że jego żona próbowała zaimportować łoża ze szczerego złota) oświadczył publicznie: „Socjalizm nie oznacza, że jeśli ktoś zarobił mnóstwo pieniędzy, nie może ich sobie zachować”. Zbliżoną świadomość zaprezentował minister przemysłu PRL, multimilioner Mieczysław Wilczek, któremu — jak wyznał — socjalizm kojarzy się tylko z dobrobytem i który partyjnym kompanom rzucił hasło „bogaćcie się!”.

Weszliśmy w uderzające paralele. Zairski filozof Ki-Mana stwierdza, że w Afryce, w świadomości indywidualnej i zbiorowej, panuje „tragedia odosobnienia i niemocy”; socjologowie polscy postrzegają u nas „klimat marazmu i apatii”, który zaczął się przecierać dopiero w 1988 roku. Ki-Mana opisuje syndrom afrykańskiego kryzysu psycho-społecznego, w szczególności korupcję, niemoralność, nepotyzm, trybalizm, panujący brak odpowiedzialności oraz permanentną i poszerzającą się biedę; zamienić „trybalizm” na „partykularyzm” i pasuje do Polski jak ulał. Pisze też Ki-Ma, że w biernych warstwach ludu (u nas „milcząca większość”) panuje „psychologia rozterki”, natomiast w elitach politycznych, zajętych pomnażaniem swego stanu posiadania, zakorzenia się „psychologia obojętności” na losy ludu.

Afrykańskie elity już przestały się troszczyć o pozorowanie ideologicznego posłannictwa. Dygnitarze bez zenady inwestują swoje „ciemne” dochody i legalne pensje (co najmniej równą gażom ich kolegów-ministrów w najbogatszych państwach Zachodu) w rozmaite spółki, które — tak się składa — korzystają ze szczególnych ulg podatkowych, przywilejów licencyjnych i celnych, dotacji. Najkorzystniej jest włączyć się w zarządy wielkich firm „multinacjonalnych”, które stworzyły fikcyjne stanowiska dyrektorskie dla czarnych figurantów.

Gdybyż jeszcze w Afryce były firmy polonijne!

I tak, na fali modnej filozofii wolnorynkowej, elity biurokratyczne splatają się mafijnie, towarzysko i rodzinnie z nuworyszami, z „burżuazją gorącego pieniądza”, tworząc superstrukturę, w której nie sposób już odseparować władzę partyjną — ideologiczną, od władzy państwowej — politycznej, a obydwie razem — od monopolistycznej finansjery.

„Klasa trójpanów” uformowała się w Trzecim Świecie na długo wcześniej, nim Leszek Nowak odkrył ją w Polsce. Zresztą jego opis dopiero teraz w pełni przystaje do rzeczywistości. „Trójpan” potrafi! Właśnie jesteśmy w wyższej fazie materialnego awansu nomenklatury, na etapie przejścia od intratnego zarządzania majątkiem niby-społecznym do jego bezceremonialnej prywatyzacji. Uliczny dowcip powiada, że socjalizm to najdłuższa droga od kapitalizmu do kapitalizmu, lecz w Polsce to raczej droga z Europy do Afryki.

VI

Państwa komunistyczne transplantaowały wielu krajom Trzeciego Świata ideologię (*recte*: frazeologię) marksistowsko-leninowską, a teraz same się od niej dyskretnie oddalają, skłaniając

się ku nacjonalistycznemu etatyzmowi, który dawniej legitymizował... rządy Trzeciego Świata.

Dla poddanych real socjalizmu jest to tendencja *per saldo* pomyslna. Oznacza przejście od mistyki i bezwzględności rewolucyjnej, od pierwszomajowych portretów Wielkich Klasyków i masowego terroru — do hasel i symboli bliskich uczuciom narodu (Piłsudski *redivivus*, teraz pora na reanimację Dmowskiego), a przede wszystkim do rozrzedzenia się STRACHU. W jego miejsce regulatorem funkcjonowania reżymów autorytarnych staje się KORUPCJA, której należy poświęcić jeszcze trochę uwagi, bo to temat fundamentalny, i u nich, i u nas.

Korupcja jest zjawiskiem ponadczasowym i uniwersalnym, ale jej intensywność w różnych epokach i społecznościach podlega wielkim oscylacjom. Trzeba dodać, iż u wielu ludów pozaeuropejskich korupcja miała (miewa do tej pory) nie tylko sens prymitywnie utylitarny, lecz również głębszą treść kulturalną. Gdzie indziej nie branie, lecz właśnie dawanie świadczyło o statusie, budowało prestiż; ówdzie istniała swoista „filozofia daru”, za który nie oczekiwano żadnej odpłaty — służył jeno komunikowaniu uczuć, przyjaznych intencji. Te szlachetniejsze odmiany korupcji (o ile słowo to pasuje do danych przykładów) szybko zanikają pod naporem westernizacji i całe pole wymiany świadczeń wypełnia prymitywna, europejskiego chowu zasada ekwiwalencji: COŚ ZA COŚ.

Nastąpił zanik typowego dla tradycyjnych elit etosu służebności wobec ziomków; ongiś patriarchalny władca (kacyk, mandaryn) zbierał hołdy i daniny, lecz czuł się odpowiedzialny za poddanych. A u nas? U nas wędnie inteligenckie poczucie służby społecznej, brakuje Judymów i Siłaczek, nie mówiąc już o „dobrym panie” z dworu.

W nowych elitach, afrykańskich czy polskich, upowszechniło się, że „państwo to my”. Nomenklatura, rekrutowana najczęściej z kręgów kulturalnie podrzędnych (lumpeninteligencja, od rzuty chłopstwa z buszu lub z Podlasia, protoproletariat z Tłuszcza bądź ze slumsów Kinszaśy) nie ma żadnych hamulców pazerności, a brak kindersztuby sprawia, że nic nie temperuje jej arogancji wobec ludzi stojących niżej w hierarchii.

Upadającej tradycji patriarchalnej nie zastąpiły żadne instytucjonalne czy nieformalne reguły publicznej kontroli samowładnych władz; co najwyżej fasady niby-parlamentów i bezradnych rad.

Promieniowanie wzorców z krajów światowej czołówki, „efekt demonstracji”, tak samo nad Limpopo jak nad Wisłą gwałtownie zwiększa wśród elit trywialne pożądanie symboli prestiżu, a zatem wymiar haraczy wymuszanych od współobywateli.

Identycznie działa zjawisko „pasożytnictwa rodzinnego”, alimientowania krewnych przez każdego z urzędników, choćby i niskiej rangi, ale namaszczonego służbą państwową. W nepotyzmie widzi się gwarancję bezpieczeństwa osiągniętej pozycji, co skłania do otaczania się zaufanymi z tego samego plemienia, województwa albo *lobby* resortowego.

Degeneracja sfery publicznej, stanowiąca istotę trzecioświatyzacji Polski (i całego bloku komunistycznego) nie polega oczywiście na akceptacji wzorców z Trzeciego Świata, na „zarażeniu się” tamtejszą korupcją. Takie przypuszczenie byłoby pochopne. Rzecz w tym, iż tu i tam istnieją podobne struktury oraz metody sprawowania władzy, co produkuje analogiczne skutki w życiu publicznym. Korupcja „systemowa” jest pochodną rządów autokratycznych. I nie ma większego znaczenia, czy są to rządy charzmatycznego tyrańca, barbarzyńska oligarchia czy też absolutyzm jednej partii — choćby i oświecony, choćby ze stępienymi zębami.

VII

Dla porównania standardu życia w Bangladeszu i Stanach Zjednoczonych, w Szwajcarii i Meksyku, niekoniecznie trzeba studiować tabele dochodu narodowego *per capita*. Można przyjrzeć się mapie szlaków migracji: skąd dokąd ludzie wyjeżdżają, gdzie widzą swe wymarzone Eldorado? Każdy emigrant rozważa jednak nie tylko spodziewane korzyści, ale też łatwe do przewidzenia straty osobiste, które poniesie w efekcie swej decyzji; ostateczny przeto wynik takiej kalkulacji nieźle wskazuje na kraje, w których chce się żyć i na te, gdzie życie jest nie do zniesienia.

Od kilku lat Polacy wysunęli się na poczesne miejsce pod względem przestrzennej ruchliwości, dołączając do milionowych rzesz Pakistańczyków, Turków, Jugosłowian, Portugalczyków, Arabów, Meksykańczyków i Syngalezów. W tej jednej dziedzinie — łatwości emigrowania — Polska stała się krajem niezwykle liberalnym. Początkowo decydowały o tym względy polityczne; pozbywając się „solidarnościowej ekstremy”, rozgłaszając front oporu, władza na jakiś czas kupowała sobie spokój.

Później pęd wyjazdowy trwał, nawet wzrastał się, z powodów trywialnie oczywistych. I nagle emigracja oraz wypady „na saksy” stały się — jak w wielu państwach Trzeciego Świata — ważną gałęzią gospodarki. Szacuje się, że łączna kwota prywatnych wpływów dewizowych przewyższa saldo obrotów handlu zagranicznego z „drugim obszarem płatniczym”. Dopływ dolarów drobnymi kanalikami rozluźnia pętlę polskiego kryzysu.

Gdyby w ruinie po zielone uczestniczyli jedynie posiadacze biletów w dwie strony, sezonowi gasterbeiterzy, nie byłoby powodu do rozdzierania szat. Ale z każdej setki łowców wiz, oblegających zachodnie ambasady, kilkunastu już nie wróci i w końcu roku zapiszemy na koncie strat bezpowrotnych trzydzieści, czterdzieści albo i więcej tysięcy emigrantów — młodych, śmiałych, wykształconych.

Brain drain zubaża każdego z nas. Dziś, gdy wyścig narodów nie odbywa się w konkurencji wytopów stali, lecz programów komputerowych, ubytek szarych komórek jest nie do odrobienia wysiłkiem w tradycyjnych sektorach. Kraj, który został w tyle, nie stwarza najzdolniejszym możliwości wybicia się, więc traci ich, a w konsekwencji tym bardziej pozostanie w tyle. Mechanizm drenażu mózgow, plądrujący Trzeci Świat, zagarnął Polskę i nie widać sposobu jak mu się wyrwać.

VIII

Im większy ruch przez granice, tym bujniejszy czarny rynek, *vel* „sektor nieformalny”, o którym H. Singer powiedział, że „jest jak żyrafa: trudny do opisanania, ale kto go zobaczy — rozpozna”.

Nie ma się czego wstydzić: jeden zarobi milion, drugi dorobi kilkanaście tysięcy, trzeci znajdzie na czarnym rynku co mu do szczęścia potrzeba. Ale nie ma też powodu popadać w ekstazę, gdy obnośne kramikarstwo rozpełza się i bąbuje, jak w Polsce A.D. 1988, bo wcale to nie świadczy o odrodzeniu przedsiębiorczości, o pożytecznej ekspansji (jak można by wnioskować z relacji zachwyconych reporterów *Polityki*); przeciwnie, to symptom dekadencji, gospodarczej atrofii. Setki tysięcy szmuglerów, cwaniaczków i kombinatorów, wypełniających pociągi wszystkich zagranicznych linii PKP i samoloty zagranicznych rejsów LOT, tabuny handlarzyków, wydeptujących alejki gigantycznego jarmarku na stadionie warszawskiej „Skry”, katowickiego szaberplacu, białoostockiego „Newskiego Prospektu”, szczecińskiego Turzyna — są świadectwem, że Polska wypadła poza krąg cywilizacji, w której istnieją XX-wieczne standardy krążenia towarów, rynku pracy, skarbowości, porządku prawnego.

Natura nie znosi próżni, więc przemysł zapycha luki, których nie umie wypełnić handel zorganizowany; skoro z pracy nie udaje się wyżyć, to zaradni postępują racjonalnie, chowając dyplomy uniwersyteckie i zamieniając się w „staczy” i koników.

Ale ekscytować się masochistycznie, gdy popęd „ratuj się kto może” zastępuje normalne kariery zawodowe? Ze szmondactwa

robić cnotę? Doszło już do takiego humbugu, że pewna pani rozprawiała w TV, iż sensem i istotą turystyki po świecie jest właśnie prywatne handlowanie. Slogan „podróże kształcą” trąci zatem myszką, zaś Stanley i Amundsen byli aspołecznymi, śmiesznymi frajerami.

Jest w tym wszystkim coś obrzydliwego; coś, co stawia nas daleko w tyle za Trzecim Światem.

Czy widzieliście kairski bazar Khan Khalili? Byliście na Sunday Market w Bangkoku, gdzie cały kwartał zajmują kramy z rybkami akwariowymi, a jedną z jego alejek sami handlarze niebieskich rybek? Bazary Wschodu są areną walki o dwie rupie, o pół rupii, o byt, lecz mają zarazem powab egzotyki, harmideru, niezliczonych zapachów i barw, zabawy, hazardu, gracji i fantazji.

Daremnie tego wyglądać na naszych smętnych szaberplacach, czyrakach rozspijającego się organizmu.

IX

Sahel pustynnieje, Polska stepowieje. Kurczą się lasy, więc maleje retencja, a rozprzestrzenia się wielopostaciowa erozja. Wody mało — złe plony. Strukturę gleb niszczą w Afryce nowoczesne metody orki, w Polsce zakwaszenie i zatrucie ciężkimi metalami.

Na degradację biologiczną wsi nakłada się jeszcze gorsza — ekonomiczna. Wieś jest nie tylko prymitywna i biedna, jest też bezbronna wobec stolicy, można z niej wypompować podatki więcej niż cały jej mizerny dochód roczny, najwyższej wyrzną bydło, zacisną przepaskę na biodrach, pójdą z torbami do podmiejskich słumsów, na pasożytniczą vegetację. Podatki trzeba zwiększać i egzekwować z determinacją, bo one służą modernizacji całej gospodarki, to znaczy przystosowaniu jej do potrzeb elit, czyli dwóch-trzech procent obywateli.

Plejada szlachetnych organizacji międzynarodowych zaleca reinwestowanie tych podatków na wsi, by rolnictwo mogło żywić kraj i dać nadwyżki eksportowe, lecz to głos wołającego na puszczy. Rządy wołają prosić o żywność Amerykę, Francję, a zwłaszcza szczególnie naiwne Holandię i Szwecję, gotówkę zaś obracać na budowę szykownych lotnisk i sztycydenckich pałaców, do których ogromnymi akweduktami prowadzi się z gór świeżą wodę, żeby Najwyższe Ciało mogło dokonywać miłych ablucji.

Dodatkowo wyciska się wieś przymusowym skupem jej płodów po urzędowych cenach. Te ceny muszą być bardzo niskie, żeby dostarczyć tanie żarcie masom „zmarginalizowanych” we

wspomnianych slumsach, bo gdyby głodowali — mogliby się rzucić elitom do gardła. Ze strony wsi to nie grozi, ona daleko, nie dojdzie na piechotę.

Nie dojdzie groźną masą, ale ciurka do miast stale. Kto tylko z wieśniaków ma trochę energii i pomysłu — „urbanizuje się”, czyli buduje kolejny szalas w podmiejskich *shanty towns*, bo tam przynajmniej nie zemrze — coś dorobi, coś użebrze, coś podkradnie. Na wsi zostają staruch, głupol i nieudacznik. Działa zarazem czynnik *push out*, czyli wypychania ludzi ze wsi presją nędzy, przeludnienia, przymusu pracy, beznadziejności — jak i *pull off*, czyli miejskiego przyciągania magnesem łatwiejszego i weselszego (kino! seks!) życia.

Ale jest też ruch w drugą stronę. Miasto wypływa ku wsi najgłupszych i najpazerniejszych gryzipiórków, nauczycieli-pół-analfabetów, partyjnych aktywistów, którzy się nie sprawdzili w stolicy. Miasto zaśmieca wieś bezużyteczną szumowiną i to ona terroryzuje wieśniaków, degradowuje ich ostatecznie, czyni z nich przedmiot pasożytnictwa.

Taki jest generalny mechanizm w Afryce, podobny w Azji i Ameryce łańciskiej. W Polsce też. Po szczegóły odsyłam do reportażu Kuśmierka, on to potrafi odmalować jak nikt inny.

X

Subkultura ubogich: desperacja przechodząca w nienawiść, skierowaną nie przeciw rzeczywistym winowajcom ubóstwa, lecz przeciwko bezpośrednim rywalom w walce o cokolwiek. Dostrzegł to Jerzy Surdykowski w Peru: „Największym wrogiem każdego biednego człowieka jest drugi biedny człowiek: zarżnie, zadusi, wycisnie soki, aby przetrwać samemu”. P. C. Gutkind na przykładzie Ibadanu opisał zajadły konflikt biedaków, *mekun*, którzy nie mają pieniędzy na nic, z nędzarami, *talaka*, którzy zebrzą o jedzenie. Drudzy uważają pierwszych za klasę wyższą, pierwsi drugich zwą szubrawcami i patałachami. Ani ci, ani tamci nie zlorzeczają bogaczom; bogaci stanowią raczej grupę odniesienia pozytywnego aniżeli obiekt wrogości, klasę antagonistyczną.

Nie słyszałem, by któryś z polskich socjologów badał etos gawiedzi kolejkowej, lecz jestem pewien, że znalazłby podobne postawy. Kiedy Rakowski zdecydował o likwidacji Stoczni Gdańskiej, wielu niewykwalifikowanych robotników cieszyło się, że „zarozumiali gdańszczanie” dostali po nosie. Zatyraną górnika to „panisko” w oczach machającego łopatą kmiota. Drwał głównego wroga widzi w gajowym, jarmarczna baba w handlującym

działkowiczu, pijaczek denaturowy — w bimbrowym. A wszyscy poważają gości z nabitym portfelem. Minister Wilczek objaśnił: „Dżentelmen to ten, co ma pieniądze”.

To prawda, choć tylko w bardziej zacofanych rewirach Afryki. W Azji już nie. Tam „zachowanie twarzy” ceni się wyżej niż pieniądze.

Jeśli już nie mamy szans doścignięcia Europy, równajmy chociaż do Azji.

Wojciech GIEŁŻYŃSKI

Krajowa edycja „Kultury”

Od lipca 1987 roku niezależne wydawnictwo MYSL w Warszawie wydaje *KULTURĘ* paryską. Jest to integralny przedruk każdego numeru w normalnym formacie (w białej, a nie kolorowej okładce ze względu na trudności techniczne). Krajowe wydanie ukazuje z niewielkim opóźnieniem w stosunku do wydania oryginalnego.

Cena numeru 900 zł.

Do nabycia za pośrednictwem kanałów kolportażowych.

Krajowa edycja Zeszytów Historycznych

Niezależne wydawnictwo POMOST w Warszawie rozpoczęło reedycję *ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH*. Ukazał się właśnie rocznik 1988, tj. nry 83, 84, 85 i 86. Cena rocznika w estetycznej sztywnej pochewce wynosił 6.000 zł.

W najbliższych dniach ukaze się rocznik 1987 (nry 79, 80, 81 i 82).

Numery *ZESZYTÓW* w roku 1989 będą wydawane w miarę ukazywania się edycji oryginalnej.

ZESZYTY HISTORYCZNE można nabywać za pośrednictwem kanałów kolportażowych.

Pięć po dwunastej

Władza PRL zachowuje się tak, jakby władzą stała się w wyniku przewrotu. I od dawna się tak zachowuje. W tym roku system obchodzi swoje 45-lecie, lecz nie poczuwał się nigdy do odpowiedzialności za zwycięstwo w „bitwie o handel” i klęskę Planu Sześcioletniego, tak jak nie poczuwa się do odpowiedzialności za zapomniany już drugi etap reformy i oficjalnie krytykowaną zeszłoroczną operację dochodowo-cenową, dzięki której udało się podwoić stopę inflacji. Jakies wredne krasnale nam to zrobiły czy co?

Wiarygodność reformatorów

Fakt, że w międzyczasie mocno się przemeblował gabinet, ale nie on jest najwyższą instancją władzy. A kiedy się zaczynał II etap i odbywała operacja cenowa, w Biurze Politycznym zasiadali pospołu premier Zbigniew Messner, szef OPZZ Alfred Miodowicz, który go „obalił” i Mieczysław Rakowski, który go zastąpił. Gdy zwróciłem na to uwagę w „Wolnej Europie”, rzecznik rządu odpowiedział, że relacje między Biurem a rządem właśnie ulegają zmianie, co zresztą nie jest niczym nowym — „partia kieruje — rząd rządzi” — bo trudno wymyślić coś na prawdę nowego w piątym dziesięcioleciu tego samego. A potem przemeblowano i Biuro.

Czy z rządu i Biura odeszli politycy, którzy byli przeciwni reformie, albo nie byli w stanie jej przeprowadzić? Trudno to stwierdzić skoro jednym i drugim podziękowano serdecznie. Zbigniew Messner wszedł do Rady Państwa, a jego następcą,

występując podczas Barbórki nie szczędził słów uznania poprzedniemu gabinetowi, za to co ten w dziele reform dokonał. Sytuacja zrobiła się zagmatwana.

Nie chodzi bynajmniej o rozprawę z odchodzącymi. Nie grozi im zaliczenie do wrogiej agentury i jakiegokolwiek odchylenia. Jeśli jednak nie jest to rutynowa rotacja, to warto publicznie mówić, kto dlaczego odchodzi, by wiedzieć co na co się zmienia, jeśli się zmienia. Bo to właśnie nie jest zupełnie pewne. Niby się zmienia, ale to chyba ciągle nie ta zmiana, która by była potrzebna.

Nie chodzi nawet o to, że te same słowa i takie same zapewnienia padają z ust tych samych ludzi przez wszystkie lata od oficjalnej inauguracji reformy w 1982 roku. Teoretycznie można założyć, aczkolwiek z coraz mniejszym prawdopodobieństwem, że za którymś razem spełnią się ciągle te same zapowiedzi. Ale przynajmniej punkt wyjścia i sposób podejścia musiałyby ulec zmianie. Trochę więcej determinacji oraz energii tu nie wystarczy. Jednakże dokument o stanie państwa, z którym rząd Rakowskiego wystartował, wśród atutów, jakimi kraj rozporządza, z uporem wymienia wzrost dochodu narodowego, co byłoby — owszem — słuszne, ale nie w gospodarce socjalistycznej. Rząd zdaje się nie dostrzegać że dochód narodowy nic naprawdę nie znaczy przy systemowej niepoliczalności gospodarki, że cztery dziesięciolecia takiego wzrostu doprowadziły kraj do katastrofy, w jakiej się teraz znajduje i że jego dalsza kontynuacja pogłębia tę katastrofę, bo oznacza marnotrawne zużywanie resztek posiadanych zasobów.

We wspomnianym już, barbórkowym wystąpieniu premier stwierdza, że: „*Rozwój gospodarczy kraju w latach obecnej dekady jest bezsporny*”. Jest to „rozwój”, który jakos w żadnej wymiernej perspektywie nie może nas doprowadzić nawet do poziomu końca lat siedemdziesiątych. Można go sobie wykoncytować jedynie przez porównanie z zapaścią lat 1981-1982, kiedy machinę gospodarczą sparaliżowało z wyjątkową siłą. W tej równi pochyłej są — okazuje się — dołki, lecz wyjście z nich oznacza jedynie powrót do procesu staczania się.

O katastrofie i upadku cywilizacyjnym mówi się otwarcie we wszystkich obieгах, jedynie rząd zdaje się tego nie dostrzegać. Trudno się zatem dziwić, że aparat partii rządzącej nie widzi powodu do dramatycznych z jego punktu widzenia ustępstw. Minister Wilczek ma wszak na wszystko sposób. Premier w Wiedniu mówi, że choć nie dostaniemy kredytów, to poradzimy sobie z długami. Jak? W swoim czasie minister Kisiel powiedział, że będziemy płuć krwią, ale spłacać. Do tego jednak, na

szczęście, potrzebny byłby Ceausescu. Mamy — zapewnił premier — za parę lat eksportować za 30-40 miliardów dolarów. Co? Dokąd?

„*Sypie się dosłownie wszystko* — powtarzam zwięźle i trafne sformułowanie Jerzego Holzera („Refleksje noworoczne”, nr 4/89) — *przemysł i handel, górnictwo i rolnictwo, nauka i szkolnictwo, służba zdrowia i ochrona środowiska, koleje i telekomunikacja, budownictwo i konserwacja. ... wszelkim podjętym odcinkowym działaniom towarzyszyć będą niepowodzenia czy nawet katastrofy*”. Mając możliwość dowolnego manipulowania cenami surowców, produktów i środków trwałych można sobie i w takiej sytuacji wyliczać „wzrost” czy ukrywać proces dekapitalizacji, dopóki się materia nie rozpadnie w najbardziej fizyczny sposób. Ale wygląda na to, że manipulanci oszukują przeważnie siebie. Oszukiwanie innych świadczy o nieuczciwości, siebie zaś o głupocie.

Robią to ludzie, uważający się za dobrze poinformowanych dzięki dostępowi do materiałów. Zaznaczają też oni w swych wystąpieniach, iż wiedzą o trudnościach i udręce tzw. prostych ludzi. Lecz co innego wiedzieć, a co innego czuć to, na własnej skórze, jako że cudze kłopoty przeważnie dobrze się znosi. Ten syntetyczny obraz gospodarki tworzą ludzie, nie stojący w kolejkach, pozerających większości kawał życia, nie znający z doświadczenia korytarzy przychodni, szpitali i urzędów, nie tracący czasu i nerwów na dodzwanianie się z normalnych telefonów, a już tym bardziej z automatów, nie mający problemów z kupnem biletów, samochodów, benzyny i części oraz — niechby i nie bogaci, lecz — nie pożyczający przed pierwszym. Nie chodzi tu tylko o pokazanie, że rząd się wyżywi, a „ludzie” mają pod górkę, bo tak było zawsze w PRL, aczkolwiek chyba nigdy aż tak drastycznie. Dzisiaj ważniejsze jest, że do „rządu” nie dociera przemożne odczucie użytkowników normalnej rzeczywistości, nawet tych bardziej zamożnych, iż wszystko wokół faktycznie się sypie. Że wszystkiego jest mniej, że jest to coraz gorsze, że coraz gorzej funkcjonuje itd. Jednostkowe doświadczenia mogą być mylne, lecz wieloletnie doświadczenie praktycznie wszystkich jest nie tylko samoistnym zjawiskiem społecznym, lecz na pewno wierniejszym odbiciem rzeczywistości niż statystyka, niechby nawet liczona uczciwie, lecz oparta na z gruntu fałszywej metodzie.

I dlatego na jakieś zrozumienie i poparcie może liczyć dopiero taka ekipa, która niezależnie od czynionych koncesji politycznych przyzna, że istnieje stan klęski. I że wynika on nie z takich czy innych błędów poprzednich ekip, nie z anarchii przeciwnika, z lenistwa i chciwości społeczeństwa, z knoń światowej finansjery, ale z samej istoty systemu, który należy zastąpić innym.

A jednak się rusza

Co jakiś czas słyszymy, że nie dopuści się do demontażu socjalizmu, czy jednak powstrzymanie demontażowych knołań przeciwnika ideowego pozwoli socjalizmowi rozwijać się i trwać niewzruszenie? Dla ułatwienia odpowiedzi przypomnijmy uwagę prof. Leszka Nowaka o trójpanach, których wyjątkowa pozycja zasadza się na trzech podporach: absolutna władza, własność całej gospodarki (ewentualnie ścisła kontrola tego, co nie jest własnością), monopol ideologiczny. Według Leszka Nowaka demontaż systemu następuje w kolejności odwrotnej do przedstawionej powyżej. Jest to zrozumiałe, ze względu na gradację ważności tych trzech obszarów. Monopolu ideologicznego system nie zawdzięcza wszak sile perswazji, a gospodarczego — zwycięstwu w konkurencji na rynku. Oba te monopole zawdzięcza monopolowi na władzę. Monopolu ideologicznego w Polsce już nie ma, mimo nadal dominującej pozycji państwa, jeśli chodzi o środki: RTV, papier, poligrafia etc. Władza polityczna przy obecnych i przewidywanych koncesjach pozostaje faktycznie niezagrożona. Polem rozgrywki staje się natomiast gospodarka.

Nie zawsze sobie zdajemy sprawę z tego, że się w ogóle odbywają jakieś zmiany o charakterze ustrojowym, gdyż w pamięci mamy sposób stanowienia socjalizmu w ekonomice: rewolucyjne przejęcie środków produkcji i likwidacja ich posiadaczy jako klasy — nie bez likwidacji fizycznej w wielu przypadkach — oraz dekretowany monopol państwa. W związku z tym likwidację socjalizmu wyobrażamy sobie zazwyczaj jako odwrotność tego procesu, głównie w ten sposób, że ktoś wywłaszczy państwo, odbierając mu huty, kopalnie, fabryki etc. Odbywa się to jednak inaczej. Nikt się nie kwapi, by wyrwać państwu Hutę Lenina, ona się po prostu rozpada. Odnosi się to do sektora państwowego jako całości, gdyż sypanie się, o którym wspominał Jerzy Holzer, należy brać całkiem dosłownie. Ten sektor już od drugiej połowy lat siedemdziesiątych nie jest w stanie wypracować środków na reprodukcję prostą. Było to tyle razy mówione, że możemy już potraktować ten fakt jak dżentelmeni, nie dyskutując o nim. Można założyć, że pewne jego ogniwa, mimo wszelkiej protekcji zaczną jednak wypadać, gdyż nie będzie nawet fizycznej możliwości ich utrzymania. Wskazuje na to choćby zapowiedź zamykania najmniej rentownych, czy raczej najbardziej deficytowych kopalń.

Proces rozpadu trwa i nie widać czynników, które by miały go zahamować. A jednocześnie ma miejsce równoległy czy przeciwny proces rozrastania się sektora prywatnego. W dalszym ciągu jego trzonem jest indywidualne rolnictwo, lecz w latach osiemdziesiątych, z trudem, pokonując różnorakie przeszkody, roz-

rastają się jednak i inne gałęzie i inne formy. Nie wygląda ten sektor specjalnie zachęcająco, dominacja sektora państwowego i supremacja administracji państwowej z jej polityką źle nań wpływają, lecz mimo tych wszystkich braków jest on bardziej efektywny od państwowego. Wydajność pracy jest w nim, ogólnie rzecz biorąc, niższa, co wynika z rażących różnic w uzbrojeniu stanowiska pracy. Zaś uwzględniając stosunek nakładów do efektów — podstawowa relacja w gospodarce — przewaga prywatnego jest tak zdecydowana, że nie może tego podważyć nawet sztuczność mierników.

Poza tym, sektor prywatny, przy wszystkich swoich mankamentach, jest prawdziwie rynkowy. Na popyt reaguje nie tylko podnoszeniem cen, lecz i zwiększeniem podaży aż do barier tworzonych przez gospodarkę państwową, która nadal monopolizuje dostawę materiałów, surowców, sprzętu produkcyjnego itp. A najważniejsze, że prywatny sektor, w przeciwieństwie do państwowego, faktycznie rośnie. Stwarza to przeważnie lepsze warunki płacowe i rozwojowe nie tylko przedsiębiorcom, ale i pracownikom. W ten sposób uruchamia się mechanizm przepływu stosunkowo najsprawniejszych ludzi z sektora upadającego do rozwijającego się. Przez długie lata dotyczyło to pracowników najemnych. W latach osiemdziesiątych pojawił się nowy typ prywatnego przedsiębiorcy, człowiek wykształcony, przedsiębiorczy, ambitny, który „na państwowym” nie może zaspokoić swych potrzeb materialnych i ambicji wyższego rzędu. Zaś ostatnio zaczęła się przesuwac do biznesu kadra kierownicza średniego szczebla, przeważnie wchodząc do różnego rodzaju spółek.

To ostatnie zjawisko, zwane niezbyt precyzyjnie uwłaszczeniem nomenklatury, wywołuje niezbyt przychylnie oceny. Generalnie jednak, przy wszystkich zastrzeżeniach do wielu tego rodzaju spółek, nie są one — z punktu widzenia czekających nas przemian — gorsze, mniej elastyczne i bardziej pasożytnicze niż tradycyjne zjednoczenia, centralne zarządy itp.

Zresztą tradycyjne struktury jak dotąd mają się dobrze; mimo rozpadu materii, którą zarządzają. Nawet jeśli to była już tylko masa upadłościowa, to zarząd nią trwa. Rząd się wyżywi zawsze, gdyż jako tzw. centrum będzie miał nieodmiennie wielki obszar gospodarczy do zarządzania. Inne, pośrednie struktury też będą trwały, lecz w stanie postępującej erozji. Już dziś nic ich nie jest w stanie uchronić przed publiczną krytyką. W miarę postępującego upadku zarządzanych gałęzi i stopniowego wzrostu znaczenia instytucji przedstawicielskich, naciski staną się silniejsze, a kamuflujące manewry organizacyjne (komasacja resortów, wspólnoty, gwarectwa — przedsiębiorstwa wielozakładowe) trudniejsze i mniej skuteczne. Najlepsi kierownicy, ci w okolicy czterdziestki i młodszy, już dziś nie widzą swojej kariery w tych

strukturach, a z czasem odpływ się raczej nasili. W każdym bądź razie wpływ aparatu na rzeczywistość gospodarczą będzie się zmniejszał.

Szanse w demontażu

Oba te procesy, upadek sektora państwowego i rozwój prywatnego, znajdują się jeszcze w stadium początkowym. Dominacja pierwszego, wynikająca — przy mniejszej sprawności — z wielkości i „rządowego” charakteru, jest wciąż bezsprzeczna, ale dialektyk wiedziałby, na co stawiać. Można założyć, że krzywa upadku i wzrostu gdzieś i kiedyś powinny się przeciąć, że zmiana proporcji może doprowadzić do dominacji prywatnej gospodarki rynkowej — niechby biednej i prymitywnej — nad wciąż jeszcze wielkim, lecz w dużym stopniu już martwym cielskiem sektora państwowego. Tak by się mogła odbywać zmiana ustroju na obszarze gospodarki.

Wszakże największy nawet przeciwnik gospodarki socjalistycznej i zwolennik wolnorynkowej nie może sobie życzyć takiej drogi przemian. Oznacza ona bowiem nie tylko rozpad socjalistycznych struktur, lecz również narodowego majątku, długi okres regresu cywilizacyjnego, jeszcze większą przepaść między nami a rozwijającym się światem, dalszą demoralizację pracy czy zgoła zdziczenie obyczajów, niewykluczone że i w nowym, tym wstępującym sektorze. Zaś ewentualny start w górę odbyłby się na znacznie niższym poziomie od dzisiejszego.

I co najważniejsze, wcale nie jest powiedziane, że ta restrukturalizacja przez dewastację i pauperyzację pozwoliłaby nam zachować przynajmniej upragniony spokój społeczny. Raczej przeciwnie. O wiele bardziej prawdopodobne są wybuchy niezadowolonia, niewykluczone, że o wielkiej sile niszczyielskiej. A więc realna staje się właśnie ta groźba, przed którą miał nas uchronić stan wojenny i takie reformowanie gospodarki, aby w niej — broń Boże — zbyt wiele nie zmienić, ponoć w trosce o samopoczucie społeczne.

W obliczu takiej perspektywy — powolnego rozkładu i gwałtownych wstrząsów — demontaż socjalizmu w gospodarce, demontaż zorganizowany, kontrolowany, uwzględniający na bieżąco interesy wszystkich zainteresowanych, jawi się jako wyjście trudne, lecz optymalne, choć zarazem nie bardzo możliwe. Mimo to celowość i skuteczność wszelkich reform winny być oceniane pod kątem tego, jak się one mają do takiego właśnie podejścia, na ile zbliżają się do optymalnego modelu przemian.

Jeśli słowo „demontaż” ma niedobre konotacje, niech będzie „deregulacja”. Jeśli i to pachnie anarchią, to „dezagregacja”, i to właśnie w obrębie gospodarki państwowej, łącznie z tą jej częścią,

która udaje spółdzielczość. Jeśli się ten agregat zostawi, tylko go reorganizując i usiłując usprawnić — całość będzie nadal upadać. Jeśli się zaś każdą jednostkę usamodzielnia, czyli zostawi samą sobie, to zaistnieją między nimi stosunki rynkowe, dokona się racjonalny przepływ kapitału i ludzi. Jakaś część tych jednostek upadnie, jakaś rozwinie się. Gospodarka zacznie się uwalniać od nierentownych obciążeń i, w całości zacznie stawać się efektywna. Będzie pewno ciężko i biednie, ale normalnie. I to jest jedyna szansa.

Ale prawdziwie usamodzielnienie oznacza likwidację wszystkich obecnych struktur ponad jednostką produkcyjną, tak czy inaczej zarządzających; oznacza likwidację „centrum” i jego kierownictwa przy pomocy tworzonych przezeń „parametrów” (cena, płaca, zamówienie, podatek, ulga, stanowienie i znoszenie, przydział czegośkolwiek itp.); oznacza likwidację jakiegokolwiek zarządzania jednostkami gospodarczymi przez instancje partyjne, zewnętrzne — komitety — i wewnętrzne — POP. Partia na terenie zakładów jest potrzebna, ale wyłącznie sobie, a nie zakładom, jeśli mają być one naprawdę usamodzielnione. Tego typu trójlikwidacja, nieodzowna dla wprowadzenia systemu rynkowego nie jest, jak dotąd, przewidywana w planach reformy gospodarczej. Nie było jej w drugim etapie, nie ma dla niej miejsca w konsolidacji. To znaczy, że nic istotnego nie zmienia się w gospodarce państwowej, a już na pewno na jej obszarze traktowanym jako centralny; w przemyśle wydobywczym i ciężkim, najdroższym, najbardziej marnotrawnym i najpilniej wymagającym zmian.

Co natomiast zostało zamierzone w obu tych podejściach, to liberalizacja w odniesieniu do sektora prywatnego, możliwość „uspółdzielczenia spółdzielczości”, stworzenie sprzyjających warunków dla kapitału zagranicznego. Czyli pobudzenie aktywności gospodarczej poza sektorem państwowym czy też na jego stykach z gospodarką rynkową. Nieporozumieniem było natomiast — i jest — udawanie, że te zamierzenia to jest właśnie owa całościowa reforma, obejmująca wszystko. W zeszłym roku nie objęła faktycznie niczego: nie musimy chyba udowadniać sobie, że drugi etap rozmył się w ciągu kilku miesięcy, nie osiągając żadnych skutków poza podwojeniem tempa inflacji. Swoje pozycje wybroniłi wszyscy w aparacie władzy, łącznie z prezesami GS-ów, sekretarzami POP i referentami w wydziałach przemysłu i handlu przy nacelnikach.

Wygląda na to, że to, czego się nie udało zrobić za rządu Messnera z Sadowskim, podejmuje rząd Rakowskiego i Wilczka. Przejawia przy tym na pewno więcej determinacji i energii, ale z poprzednim składem licytuje się również w optymistycznych zapowiedziach i to jest cokolwiek irytujące. Niezależnie od tego

wrażenia, przeprowadzenie ustawy o przedsiębiorczości i o kapitale zagranicznym w ich obecnej postaci należy uznać za przekroczenie niezwykle ważnego progu. Ustawa o przedsiębiorczości oznacza pryncypialną rezygnację z monopolu państwa na działalność gospodarczą i z koncesjonowania jej. Jest to uznanie czy przywrócenie po prawie półwieczu podstawowych wolności w działalności gospodarczej, a więc odejście od jednej z konstytucyjnych zasad systemu.

Zbyt późno, zbyt mało

Tyle tylko, że niewiele z tego musi wyniknąć na dzień bieżący, nawet jeśli kiedyś krok ten uzna się za zwrotny w procesie przemian ustrojowych. Upadek jednej, prawda że fundamentalnej bariery, nie oznacza upadku pozostałych, mimo że prawdopodobnie szybko dopasuje się do nowej ustawy prawo podatkowe i inne liczne przepisy. Sektor rynkowy w swojej walce z aparatem uzyskuje bezsprzecznie wielkie atuty, lecz to nie znaczy, że walka się kończy. Prawo jest ważne, lecz rzeczywistość z reguły mocno się odeń różni. O faktycznym podjęciu i prowadzeniu działalności gospodarczej decydują konkrety, a tu pozycje dotychczasowych dysponentów nadal zostają mocne. Raczej będzie lepiej niż gorzej, lecz nie wiadomo na ile.

To, co się obecnie zamierza, sprzyja procesowi rozwoju gospodarki rynkowej, w jakimś też stopniu zatem przyspiesza zmianę proporcji w całej ekonomice. Ale ogromna większość majątku narodowego, w tym urzędzeń produkcyjnych, surowców, zatrudnionych, produkcji — ciągle jeszcze pozostaje w sektorze państwowym, funkcjonującym właściwie na dotychczasowych zasadach. Nic nie wskazuje na możliwość powstrzymania jego rozkładu, ani na jego planowy demontaż. To zaś z góry ogranicza faktyczne możliwości sektora prywatnego, który niewiele ma i niczego nie może rewindykować. Nie widać na przykład nadal żadnych możliwości wymuszenia na państwowym przemyśle przez prywatne rolnictwo większej produkcji tego, co jest mu potrzebne.

Nie musi tak być, ale jest wielce prawdopodobne, że autentyczny tym razem krok we właściwym kierunku okaże się praktycznie zbyt późnym i zbyt małym, aby jego wpływ na tempo i jakość niezbędnych przemian ustrojowych mógł być istotny. Zbyt wielkie jest porażenie i dysfunkcja gospodarki jako całości — na co w przytoczonym cytacie zwracał uwagę Jerzy Holzer — by częściowa poprawa mogła odwrócić dziejącą się już katastrofę.

Ernest SKALSKI

Piotr BAKAL

NAD NARWIĄ

*dobrze mi tutaj w tej samotności
świeca się pali równym płomieniem
i cisza taka, że w uszach szumi
koniak ze szklanki smakuje, grzeje*

*pies gdzieś upada za siódmym lasem
nawiązał dialog ze swoim echem
z dala od bitew, szalu i hasła
sprawdzam, czy jeszcze jestem człowiekiem*

*noc mnie gwiazdami kołysz srebreną
Narew się wiję po dnie doliny
przez chwilę znów mi niczego nie brak
nadziei, wiary, miłości — siły...*

*kilka zwyucznych haustów powietrza
głębokich tak, że aż bołą płuca
kilka kamieni zrzuconych z serca
aby po nowe bezpieczniej wrócić...*

Piotr BAKAL

Tomasz JASTRUN

UMIERAJĄCY MÓJ ANIOŁ

*Przyszedł Anioł Stróż
Nie przestraszył się mojego wieku
Ani sceptycznego uśmiechu*

*Usiadł naprzeciw posępny
I zobaczyłem że nie ma skrzydeł
Jego oddech podejrzanie szybki*

*Cuchnął wódką i papierosami
Był stary i już dawno powinien umrzeć*

*Siedział naprzeciw i milczał
Ale ja zrozumiałem wszystko
Za oknem niebo było puste
I słychać było jak pracują gwiazdy
Martwe pszczoły wszechświata*

1985

MICKIEWICZ

*Wzrost m 69 włosy i brwi czarne
Czoło zastonięte oczy szaroniebieskie
Nos średni usta idem broda czarna
Podbródek okrągły twarz owalna cera zdrowa
Zadnych znaków szczególnych*

*Jak zwykle zapomniano o uczuciach
Zresztą to był zaledwie początek tragedii
Zostawił po sobie wiersze jak góry
Ulice miast i pomniki*

*Góry do dziś wielekroć zdobyte
Ulice szare i smutne
Pod pomnikiem ktoś został zabity*

*Gлуcho wszędzie ciemno wszędzie
Już wszystko było co będzie*

OSTATNI ATAK HUSARII

*Był krzyk
Już po krzyku
Zszyto bliźnię
Po wyrwanym języku*

*Zakleśli w bliźnię
Prowincjonalni idealisci
Husarze bez koni i zbroi
Wysiadują pęknięte jajo Ojczyzny
Pod rozkierzewionymi skrzydłami*

Tomasz JASTRUN

Maciej STRZEMBOSZ

Z PRATINASA

*Nie uprawiając ziemi zaoranej
a niekniętego szukając ugoru
obiegłem ziemię.*

*Lecz ludzkiej ręki ślady odkrywałem
zawsze i wszędzie —*

*gdzie pług nie sięgał tam pozogę niecił
upór człowieczy;*

*gdzie wody brakło tam kielznano rzeki
siecią kanałów albo odbierano
bóstwom i nimfom siedziby tak stare
jak oddech ziemi;*

*samotnym wyspom rafą otoczonym
wraki okrętów i rozbitków chaty
skradły dziewiczość;*

*i w dzikich górach, w przepastnych dolinach
pasterski szałas oraz ciemne groty
które wygnańcom za kryjówki służą
nie były puste;*

*cóż, świat jest jeden,
mały i tak stary, że w każdym miejscu
trud przedwieczny drzemie i każda podróż
staje się powrotem.*

*(Może tułaczki
trzeba bardzo długiej, by ojców ślady
znów odnowić pługiem?)*

Maciej STRZEMBOSZ

Jacek BIEREZIN

LIST PISANY NOCĄ

Zbigniewowi Herbertowi

*Piszę ten list nocą.
W sensie dosłownym,
noc mi służy za pióro.
Piszę ten list serdecznym atramentem,
żeby rozwiąć na zawsze
Twoje wątpliwości.
To, co pozostawisz, Zbyszku,
nie będzie jak płacz kochanków
w małym, brudnym hotelu,
kiedy świtają tapety.
Uczyłeś mnie piękna.
Mówiłeś, że to właściwie
potęga smaku zadecydowała.
Jestem Twoim niedobrym uczniem.
Wierzę głęboko, że te kilkanaście
Twoich wierszy sprawi,
że kilkuset młodych ludzi
pójdzie znowu do więzienia.
Ponieważ trzeba być wiernym.
Ponieważ trzeba bronić
murów Montségur.
Ponieważ trzeba wsiąść
na statek „Argo”.
Ponieważ trzeba płynąć
do Ultima Thule.*

Paryż, październik 1988

Jacek BIEREZIN

Archiwum polityczne

Siły zbrojne ZSSR w obliczu rewolucji

Zwykle dla zrozumienia pokojowych inicjatyw Kremla wskazane było rozważenie zespołu wojennego ZSSR. Również w czasach *pieriestrojki* taka postawa wydaje się metodologicznie najrozsądniejsza, tym bardziej, że nienajlepsza stabilność układów politycznych w kilku obszarach imperium wzmaga zainteresowanie uczuleniem sowieckiej maszyny wojennej na bodźce.

Rzeczywisty stan sił zbrojnych ZSSR budzi zrozumiętą ciekawość nie tylko z uwagi na jego wpływ na sowiecką doktrynę międzynarodową. Oto bowiem beznadziejna mizéria planowej gospodarki znajduje chlubny wyjątek w obrazie imperialnego przemysłu zbrojeniowego który — zdaniem wielu — lepszy jest od amerykańskiego. To działa na wyobraźnię: czy możliwe jest przeniesienie takich doświadczeń do innych działów gospodarki socjalistycznej?!

Przekonanie o oczywistej wyższości sowieckiego systemu wojskowego, przynajmniej w dziedzinie uzbrojenia, jest dość rozpowszechnione i to zarówno pomiędzy zwolennikami „silnej ręki”, jak i wśród politycznych fatalistów. W pierwszym numerze *Kultury* z bieżącego roku znajdujemy od razu dwa artykuły (Kostrzewy i Ungera), zawierające klasyczny zestaw argumentów ofensywnych, gdzie z przytoczonych liczb wynika, że Rosjanie są górą, a wysiłek wojenny Stanów Zjednoczonych jest stanowczo za mały. Zestawienia cyfrowe, przytoczone przez R. Kostrzewę za sekretarzem stanu, mogą łatwo przyprawić o bezsenność: „... w ciągu ostatniej dekady Stany Zjednoczone wyprodukowały 7.600 czołgów na 25.300 czołgów sowieckich (...) w artylerii (...) Stany Zjednoczone 3.200, Sowieci 27.300 (...) dużo gorzej jest w kategorii artylerii przystosowanej do pocisków z ładunkiem atomowym, gdzie USA przegrywają 17 : 1 (...). W innych rodzajach

broni sytuacja wygląda podobnie...”. A obok L. Unger: „... Czołgów na wschodzie (...) 51.500, na zachodzie Europy — 16.300...” itd...

Kolumny powyższych cyfr mają jednak ograniczone znaczenie poznawcze.

Filozofia zbrojeń: podobieństwa i różnice

Według danych CIA, ZSSR wydaje na zbrojenia 15 % produktu narodowego brutto, podczas gdy USA — 7 %. Wymowa tych cyfr byłaby dość beznadziejna, gdyby chodziło o gospodarki o porównywalnym poziomie. Rzeczywistość gospodarcza wprowadza tu jednak czynniki korekcyjne, szczególnie ważne w stanie pokoju. Przede wszystkim obciążenia sowieckie nadają dramatyczne znaczenie klasycznemu dylematowi — armaty czy chleb — co wcześniej czy później może naruszyć wewnętrzną stabilność imperium, osiągniętą na zewnątrz w drodze wysiłku zbrojowego. Jeśli przyjąć, że ZSSR nie szykuje się w najbliższym czasie do podboju świata, to łatwo dojrzeć, że owe 15 %, groźne dla Zachodu, jest niebezpieczne i dla ZSSR, na dłuższą metę będzie zatem nie do utrzymania.

Po drugie, specjaliści amerykańscy oceniają, że wartość produktu sowieckiego brutto jest przeszło dwukrotnie niższa od amerykańskiego, skromnie przemilczając niekiedy tę okoliczność, która cytowanym procentom nadaje zupełnie inne znaczenie. Powściągliwość ekspertów Pentagonu i szefów administracji USA w głoszeniu rzetelnych i wszechstronnych analiz — a przeciwnie, gotowość do cytowania przy każdej okazji cyfr wykazujących sowiecką przewagę — wynika ze złożoności zadania, jakie przed nimi stoi: wydobyć od Kongresu nowe fundusze dla przeciwstawienia się ZSSR, a przy tym nie stwarzać wrażenia, że otrzymanymi dotąd środkami gospodarowano nieskutecznie. W polityce zagranicznej uzyskuje się przy okazji niebagatelną korzyść uspokojenia, choćby pozorowanego, sowieckiego adwersarza, który, bynajmniej nie zakłopotany importowanymi obrazem własnej potęgi, zadowala się ze swej strony głosem osiągniętego „stanu równowagi”.

Zwróćmy uwagę, że w najnowszej historii inicjatywa ataku wychodziła od wojowniczego lecz materialnie SŁABSZEGO przeciwnika (Austro-Węgry 1914, Niemcy 1939, Japonia 1941, Izrael 1967...), który od upływającego czasu oczekiwać mógł jedynie pogorszenia stosunku sił na swoją niekorzyść.

Krótko mówiąc, przywódcy amerykańscy nie mają żadnego interesu w głoszeniu, że ZSSR jest słabszy, ani też, skądinąd,

w zwiększeniu własnego stanu liczebnego tak, żeby czołgów było po równo.

Po trzecie wreszcie, liczby o których mowa obarczone są relatywizmem związanym z jakością „produktu narodowego”. Postawmy od razu tezę, że rzeczywista wartość operacyjna ogromnych armii o przestarzałym sprzęcie, konfliktowych układach narodowościowych, anachronicznych doktrynach oraz o strukturze zniechęconej od góry i pozbawionej inicjatywy od dołu, nie może być rozsądnie oceniana za pomocą gołych cyfr.

Między kompleksami wojskowymi obu krajów istnieje szereg zaskakujących podobieństw, niezależnie od tego, że niektóre z tych cech chętnie przypisałibyśmy tylko jednej ze stron. Podobna, choć nie zawsze chętnie widziana w przedsiębiorstwach, jest dyspozycyjność gospodarki dla potrzeb wojskowych, zbliżona jest koncentracja środków, prowadząca nierzadko do marnotrawstwa, porównywalna wzajemna infiltracja, gdzie skuteczności sowieckiego wywiadu odpowiada penetracja amerykańskiego, wynikająca ze strategicznego okrażenia ZSSR. W obu państwach wydatki wojskowe zasadniczo wpływają na kolosalne deficyty budżetowe, innymi słowy finansowane są na kredyt.

To co odróżnia Rosjan i jest źródłem wyników, ilościowo przewyższających produkcję amerykańską, wynika z sowieckiej doktryny wojennej, która wymaga wysokiej dyspozycyjności ogromnych mas ludzkich dla szybkiego ataku na dużą skalę. Stąd ograniczone zapotrzebowanie na nowoczesną technologię, specjalne materiały, ryzykowne rozwiązania. Serie produkcyjne są długie, nie dopuszcza się zasadniczych modyfikacji w trakcie wytwarzania, używane są głównie składniki wielokrotnie sprawdzone. Łatwość produkcji ważniejsza jest od wyśrubowanych norm eksploatacyjnych, pewność użytkowania od złożoności projektu. Kryterium dodatnim jest zmniejszenie ilości części oraz obfite wymiarowanie systemów zasilania. Ogólnie rzecz biorąc, chodzi o długie serie standardów materiało- i energochłonnych, łatwych w produkcji i w utrzymaniu.

Amykańskie podejście jest dokładnie przeciwne: znaczenie mają technologiczne innowacje, graniczne normy i krytyczne wymiarowanie, natomiast problemy produkcji, utrzymania i operacyjnej eksploatacji rozwiązuje się w drugiej kolejności.

Poza kwestiami czysto produkcyjnymi ogromne znaczenie ma stabilność mechanizmów podejmowania decyzji. W ZSSR programy produkcyjne powstają na najwyższym szczeblu i są wdrażane bez fanaberii na wszystkich poziomach: od licznych ministerstw o niewinnych niekiedy nazwach poprzez instytuty badawcze do fabryk i warsztatów remontowych.

W Stanach kierunek impulsu początkowego nierzadko bywa odwrotny: gotowość produkcyjna jakiejś innowacji technologicznej może stać się oddolnym sygnałem stymulującym powstanie nowej broni, dla której misja zawsze się znajdzie. Prowadzi to niekiedy do zakłóceń: ostatnio kłopotliwa dla Departamentu Obrony jest sprawa języka najnowszej generacji ADA i sztucznej inteligencji, których względna dojrzałość wystarczyła do decyzji o operacyjnych zastosowaniach, zanim ich przydatność została udowodniona; efektem są opóźnienia strategicznych programów. Jest to dla Amerykanów kłopot głównie finansowy — natomiast dla Rosjan poważne ostrzeżenie. Po broni neutronowej, jakiej chyba nie posiadają na poziomie operacyjnym; po Inicjatywie Obrony Strategicznej („wojna gwiazd”), na którą, niezależnie od jej oceny, nie znaleźli jak dotąd żadnej odpowiedzi — czeka ich kolejne jakościowe przyspieszenie amerykańskie, związane z zastosowaniem inteligentnych komputerów.

Lawinowy rozwój systemów-ekspertów, bardzo jeszcze niedoskonałych, jest być może wyrazem doświadczalnej ruchliwości różnych agend Departamentu Obrony, ale rozwój potrzeb i możliwości ośrodków dowodzenia z całą pewnością zmierza w kierunku skutecznego wykorzystania sztucznej inteligencji. Możliwości dostarczają zdumiewające postępy technologii komputerowych oraz rozwój czujników i urządzeń sterowniczych, a potrzeby określone są przez eksplozję informacyjną i rosnące ograniczenia czasowe, jakim sprostać muszą dowódcy akcji wojennych, a skądinąd także kierownicy przemysłu i handlu. Zastosowanie znalazły tu nowe metody programowania, wykorzystujące *heurystyczny mechanizm decyzji logicznych*: to języki sztucznej inteligencji.

Na bazie tych języków powstają liczne systemy (programy) zwane ekspertami, których zadaniem jest szybko przeanalizowanie wielkiej ilości danych i sformułowanie probabilistycznych elementów decyzji. Na przykład „przedmiot na wysokości Rockefeller Center to SS-25 ze współczynnikiem prawdopodobieństwa 0.43”. Albo: „cienie na dnie fjordów norweskich nie przypominają hiszpańskich karawel z prawdopodobieństwem 0.84”. Jeden z systemów opracowanych w laboratoriach US Navy, zwany BATTLE, oblicza optymalne rozlokowanie posiadanych aktualnie broni dla zniszczenia zadanych celów. Program używa 55 współczynników wagi, takich jak zasięg, gotowość obsługi, doświadczenie wrogiej ekipy, zdolność do kontruderzenia, warunki fizyczne itd. Dla dokonania wyboru konfiguracji 8 broni mających zaatakować 17 celów trzeba przeanalizować ilość opcji wyrażających się liczbą 18 do potęgi 8. Klasyczny język programowania być może nie zdążyłby się zapoznać z danymi. Heurystyczny mechanizm szukania programów sztucznej inteligencji, któ-

ry eliminuje konfiguracje mało prawdopodobne, radzi sobie wielokrotnie szybciej. Symulacja klasyczna w cytowanym przykładzie zajęła blisko 12 minut, BATTLE potrzebował tylko 7 sekund (IEEE PROCEEDINGS oct. 88). Jest więc szybki, ale głupi — jak dotąd: nie potrafi się uczyć, co oznacza, że nie nadaje się do niczego w nieprzewidywalnych okolicznościach.

Przeważa przekonanie, że zbyt wcześnie wstrzyknięto sztuczną inteligencję do bieżących prac sztabowych Pentagonu. Ale nic nie zatrzyma jej rozwoju. Artykuły naukowe donoszą o bardzo szybkich postępach i istnieją rozsądne podstawy do przypuszczeń, że sprawą najbliższych lat jest pojawienie się komputerów, które będą mogły same się rozwijać, rozumować, rozumieć tekst pisany i mowę, rozpoznawać sytuacje odbiegające od normy, analizować fotografie, rysunki i klasyczne dane pomiarowe (radar, sonor...).

Alors là — jak mówią Francuzi — *bonjours*. Rosjanie są zupełnie nieprzygotowani do stawienia czoła temu wyzwaniu z uwagi na brak przemysłu komputerowego (zwłaszcza mikroinformatyki) najwyższej jakości, słabą penetrację sprzętu obliczeniowego na poziomach dowodzenia, brak odpowiedniego systemu łączności, brak wszystkiego.

Informatyka wojenna jest dobrym przykładem amerykańskich tendencji stosowania innowacji technologicznych nawet za cenę stabilności procesu, co ma swoje źródła w konkurencyjnym charakterze systemu amerykańskiego.

Na dodatek decyzje wykonawcze podlegają zmienności układów politycznych. To specyfika amerykańska, nie rozpowszechniona chyba w tym samym stopniu gdzie indziej na Zachodzie: prasa amerykańska dziwiła się, że we Francji po zmianie rządu Chiraca na Rocarda utrzymano program budowy supermyśliwca Rafale, mimo bardzo krytycznej jego oceny przez nową ekipę.

Pewną rolę naruszającą w USA stabilność (w rozumieniu sowieckim) wojskowych zamówień jest konkurencyjny charakter rynku, zarówno wewnętrznego jak międzynarodowego. Jeśli pominąć afery — jak słynne łapówki Lockheada — to wpływ rynku na wartość produkcji w przemyśle wojskowym jest z grubsza taki sam, jak w innych dziedzinach w odniesieniu do produktów wysokiej jakości. Produkcja i obrót bronią w dużym stopniu stanowią integralny element systemu gospodarczego. Przykładem może tu być brytyjska decyzja nabycia amerykańskich samolotów wczesnego wykrywania AWACS, jaka zapadła dopiero po przyjęciu przez Boeinga klauzul o dodatkowych zakupach w Wielkiej Brytanii, które pod względem finansowym mogą zresztą przewyższyć zyski ze sprzedaży AWACS-ów.

Ekspansywność technologiczna, a także rynkowe i wewnętrzne uwarunkowania zamówień Pentagonu naruszają oczywiście rutynę amerykańskiego systemu wojennego, ale gdyby wyższość stabilnej maszyny sowieckiej była bezdyskusyjna, czy dowództwo wojskowe ZSSR pragnęłoby zmian?

Przed trzecią rewolucją

W historii Związku Sowieckiego siły zbrojne dwukrotnie doznały rewolucji technologicznej: były to motoryzacja w latach 30-tych i opanowanie broni atomowych przenoszonych przez pociski sterowane w latach 50-tych. Pierwsza zmieniła pojęcie ruchliwości ataku i obrony, druga zasadniczo korygowała prawa trafiania i niszczenia. Statyczność, centralizm oraz zasada długich i standardowych ciągów produkcyjnych całkowicie wystarczały w przypadku obu wspomnianych rewolucji — gdzie ostatecznie chodziło o ogromne ilości czołgów, dział, samolotów, a nawet pocisków balistycznych. Dzisiaj celem ataku nie może być pokrycie dywanem bomb o ogromnej sile niszczenia i niskiej precyzji całego obszaru pomiędzy Nowym Jorkiem a Florydą, ale przeniesienie dziesięciu małych ładunków przez system obronny przeciwnika i unieszkodliwienie kilku ważnych celów wojskowych, z mniejszą szkodą dla miast. Problem sowiecki można zilustrować łamigłówką: jak fabrykę o wydajności tysiąca krążowników naklonić do produkowania jednego okrętu podwodnego typu Trident?

Życiową koniecznością wielkich zespołów wojennych jest dziś kolejna rewolucja, określona przez masowe użycie mikroprocesorów i systemów zbierania danych na odległość, sterowanie o zdumiewającej precyzji i regulację na granicy stabilności, elastyczność doktryn i niezwłoczne stosowanie nowych odkryć podstawowych do selektywnego niszczenia.

Niemal wszystkie cechy sowieckiego zespołu wojskowego wykazują jego niedostosowanie do takich zadań. Produkcja wielkoseryjna o ewolucyjnych ulepszeniach musiałaby ustąpić miejsca krótkim seriom o skokowych zmianach jakościowych. Pobudzające wyobrażenie kolumny cyfr dotyczących ilości sowieckich czołgów i pocisków spędzają także sen z powiek ich posiadaczom, gdyż są obrazem archaicznych obciążeń, których nie mogą się oni pozbyć dopóty, dopóki nie dojdzie do umowy o zasadniczej redukcji broni konwencjonalnych. Pozwoliłoby to na przerwanie gigantycznego marnotrawstwa, jakim z punktu widzenia konfrontacji z Zachodem są kilometrowe ciągi produkcyjne.

ZSSR: koniec ekspansji poprzez konflikty lokalne

Nie można przy tym zapominać, że mrówczy konwencjonalny wysiłek Związku Sowieckiego nie idzie tak całkiem na marne, jeśli zważyć że jest on największym na świecie handlarzem broni (nadwyżka eksportu broni nad importem w 1986: ZSSR 16,9 mld \$, USA 7,15 mld \$, Francja 3,63 mld \$ i... nieźle miejsce Polski, gdyż — zdaniem amerykańskiego miesięcznika *Spectrum* z listopada 1988 — szóste z 450 mln \$ zysku*). Przyjmując za prawie pewne, że Rosjanie nie zechcą zrezygnować z tych dochodów — dlaczego miałiby? — głównym ich celem jest zawsze wygranie bezpośredniej, choć może niekoniecznie gorącej konfrontacji ze Stanami. Dla tego celu niezbędne jest przemodelowanie całej strategii wojennej, co dla generałów sowieckich jest pewnie mniej oczywiste, niż konieczność zmian technologicznych i, jeśli Gorbaczow przegra, to wokół tego problemu. Zauważmy, że w ZSSR brak podstawowych czynników głębokich zmian systemowych. Brak nowej ideologii (za to „mamy najważniejsze — nową politykę”). Brak masowych ruchów społecznych domagających się demontażu ideologii — natomiast rodzą się ruchy wywołane odgórnym demontażem *de facto*. Brak nastrojów społecznych popierających *pieriestrojkę* świadomie — w sensie kredytowania programu niezbędnych wyrzeczeń. Brak nowej klasy politycznej, gotowej do zakwestionowania systemu, a starą trudno podejrzewać o skłonności samobójcze. Mamy natomiast doświadczenia dotkliwych klęsk imperium w okresie ostatnich dziesięciu lat. Niepowodzenia wojskowe i polityczne w Afganistanie, Polsce i gdzie indziej w ostatecznym rachunku odegrały zbawienną dla ZSSR rolę, katalizując objawy najgłębszych sprzeczności doktrynalnych i operacyjnych zespołu wojennego, jakim jest ZSSR. Zarówno jego katastrofalna nieskuteczność, jak i nowy charakter

* W odniesieniu do obozu wschodniego liczby są bardzo różne w zależności od źródła. Cytowane SPECTRUM podaje za rok 1986 dla PRL: całkowite wydatki wojskowe 14.610 mld \$ (ocena), import 650 mln \$, eksport 1,1 mld \$, podczas gdy w styczniu 1989 szef polityczny armii PRL gen. Szaciło w wywiadzie dla prasy krajowej podał, że na jednego mieszkańca rocznie wydaje się na zbrojenia 59 \$, co daje ogólną kwotę 2,2-2,3 mld \$.

Ocena amerykańska oparta jest na szczegółowym rozpoznaniu ilościowym za pomocą satelitów, obliczeniu wartości globalnej według cen zachodnich w dolarach, a następnie zastosowaniu „rozsądnego” przelicznika dolar-rubel. Innymi słowy, wobec braku wiarygodnych danych z krajów Paktu Warszawskiego, amerykańskie zestawienia wydatków zbrojeniowych obu stron wychodzą z założenia, że jeśli chodzi o cyfry, to wszyscy zainteresowani zaopatrzą się w sprzęt w USA. Nie zdziwiłbym się, gdyby generał Szaciło sumował ceny urzędowe, by następnie zastosować przelicznik „rynkowy” złotówka-dolar. Tym sposobem obie strony w wojnie cyfr wychodzą z nawiązką na swoje.

współzawodnictwa wojskowego z Zachodem nie pozostawiają wielkiego wyboru. Miejsce konfrontacji pośredniej w konfliktach lokalnych, ekspansji i ekstensywnych przygotowań do konfliktu globalnego — co dotychczasowy system polityczny i obyczaje produkcyjne dobrze zabezpieczały — zastąpić ma skupienie się na integralności terytorialnej i politycznej tego, co ZSSR pracowicie już nabierał. Konieczność tych mutacji na razie skłania wojskowych do popierania polityki Gorbaczowa, zwłaszcza tam, gdzie mowa jest o wyższości ekonomii nad ideologią i o propozycjach rozbrojeniowych. Siłą rzeczy idą za tym zmiany polityczne wewnątrz obozu i zmniejszenie zaangażowania wojskowego ZSSR w świecie, co skądinąd jest bardzo na rękę kongresowi amerykańskiemu. I oto ni stąd ni zowąd w roku 1988 tyle pokoju nastąpiło na świecie! Po prostu gdzie nie spojrzysz — tam pokój.

USA: jak nakłonić sojuszników do płacenia.

Wniosek o potrzebie zwiększenia budżetu wojskowego USA w oparciu o porównanie gołych cyfr potencjału amerykańskiego i rosyjskiego jest bezprzedmiotowy, także i z tego powodu, że nie bierze pod uwagę integralnego charakteru obrony Zachodu. Amerykanie, przeciwnie, głęboko to pojmują i na różne sposoby starają się zmniejszyć własne obciążenia poprzez nakłonienie sojuszników do podniesienia wydatków na cele wojskowe. Wspólnota Europejska, której ludność przewyższa o osiemdziesiąt milionów liczbę Amerykanów, a dochód brutto jest dziś porównywalny (1988: USA — 3.865 mld \$, WE — 3.726 mld \$) wydaje na zbrojenia mniej niż połowę tego, co USA. Jeszcze bardziej wymowne są względne liczby w odniesieniu do Japonii. Rozumowanie Amerykanów można sobie w uproszczeniu przedstawić następująco:

— zaangażowanie Stanów Zjednoczonych w obronę wolnego świata jest decydujące od czasów drugiej wojny światowej. Jeszcze w Korei kilkanaście państw towarzyszyło im, choć najzupełniej symbolicznie, ale w Wietnamie Amerykanie pozostali sami. Wietnam wykazał, że USA nie może już skutecznie pełnić roli żandarma świata. Postępująca integracja Europy i rosnąca możliwość sojuszników powinny ich skłonić do finansowania w większym stopniu własnej obrony — najlepiej zresztą w drodze zakupu amerykańskiego sprzętu i usług wojskowych. Tymczasem sojusznicy zdają się nie całkiem rozumieć, o co chodzi. Amerykanie rozgrywają manewry finansowe, głęboko skądinąd wpisane w logikę ich systemu ekonomicznego, a ściślej jego ostatniej odmiany, która niektórzy nazywają reaganomiką.

Jej najważniejszym elementem jest reforma podatkowa Reagana. Polegała ona głównie na znacznym obniżeniu podatków (górną poziom podatków dla osób obniżony z 70 % do 28 %, dla przedsiębiorstw z 46 % do 34 %), a z drugiej strony na zniesieniu ulg podatkowych i uproszczeniu systemu fiskalnego. Następnym było ożywienie gospodarki dzięki promowaniu przedsiębiorstw przynoszących dochód oraz poprzez zwiększenie konsumpcji. Rosnący popyt na towary zaspokajany jest zwiększonym importem, stąd deficyt handlu zagranicznego, systematyczny od paru lat. Reagan nawet nie udawał, że zamierza z tym walczyć, uznając, że kwota 10-12 mld \$ MIESIĘCZNEGO deficytu nie zagraża interesom Stanów; reagował natomiast zdecydowanie, gdy poszczególne sektory gospodarki znalazły się w niebezpieczeństwie w konfrontacji ze zbyt tanimi niekiedy wskutek subwencji rządowych — wyrobami zagranicznymi (elektronika japońska, AIRBUS-y francuskie, zachodnioeuropejskie produkty rolnicze). Zdaniem wielu Amerykanów deficyt handlowy wynika z jednostronnej roli twórczej Stanów Zjednoczonych w dziedzinie nowych technologii. Faktem jest, że nierzadko Japończycy sprzedają to, co Amerykanie (lub Europejczycy) wymyślili. Nie sposób oczywiście położyć tamy przepływowi technologii, ale Japończycy wzywani są do zwiększenia wysiłku, który by ograniczył ich kolosalne nadwyżki w handlu ze Stanami. Przykładem bardzo wymownej dla Amerykanów transakcji jest zakup myśliwców F-16. W ubiegłym roku Japonia — która od drugiej wojny światowej nie produkuje własnych samolotów bojowych — nabyła technologię produkcji tych myśliwców, płacąc 440 mln \$. Za zakup gotowych samolotów zapłaciliby Amerykanom 11 mld \$.

Z drugiej strony reforma podatkowa zmniejszyła dochody państwa, co systematycznie prowadzi do deficytu budżetowego. Gdzie szukać możliwości zrównoważenia go? W dziedzinie wydatków na administrację Reagan ogłosił znaczne oszczędności i nie widać tu wielkich zapasów. Zmniejszeniu wydatków na cele społeczne z łatwością przeciwstawia się demokraci, dysponujący w Kongresie wygodną większością. Zwiększenie podatków pozostanie przez pewien czas posunięciem bardzo ryzykownym dla nowej administracji, zważywszy, że w trakcie kampanii wyborczej Bush zobowiązał się formalnie, że tego nie zrobi. Pozostają fundusze wojskowe... Na razie dla zrównoważenia swoich wydatków rząd utrzymuje wysoką stopę procentową: oznacza to, że pieniądź jest drogi (wysoki jest „czynsz” pieniądza) — w związku z czym napływają do Stanów szukające korzystnych lokat obce kapitały, z pomocą których administracja utrzymuje równowagę finansową. Skutki obu STAŁE ROSNĄCYCH zadłużeń są takie, że świat pośrednio finansuje część wydatków amerykań-

skich, stąd *message* jest jasny: jeśli — powiada Waszyngton — zwiększycie własne zaangażowanie wojskowe, to budżet obrony USA będzie mógł ulec racjonalnemu zmniejszeniu, a deficyt budżetowy może nawet likwidacji. Część mocy produkcyjnych przemysłu zbrojeniowego przeniesie się do sektora cywilnego, co powinno zwiększyć podaż i konkurencyjność amerykańskich towarów konsumpcyjnych, zwłaszcza na rynku wewnętrznym. Przyczyną ujemnego salda handlowego USA ma być jednak nie tyle nadmierna konsumpcja towarów importowanych, ile zbyt niski eksport — innymi słowy to nie Amerykanie żyją ponad stan, lecz Japończycy i Europejczycy kupują w Stanach za mało.

Europejczycy reagują niekiedy emocjonalnie, widząc w takim postawieniu sprawy jawną obłudę Amerykanów, znanych skądinąd mistrzów wolnego handlu. Reakcje takie niczego jednak nie wyjaśniają i nie mają żadnego znaczenia, zważywszy że dolary są drukowane w USA. Liczy się zrozumienie stanowiska wszystkich stron, rozsądna ocena własnych interesów i szukanie sił dla ich obrony.

Japończycy ze swej strony chętnie biorą udział w rozmowach na sporne tematy, podpisują nawet umowy dotyczące parytetów handlowych, po czym raczej je ignorują. W ubiegłym roku udała się do Tokio delegacja Senatu USA z interwencją w sprawie niedotrzymywania przez Japonię porozumienia w sprawie zrównoważenia handlu w pewnych dziedzinach elektroniki. Sytuacja symboliczna, jeśli zważyć, że nowoczesna elektronika powstała i rozwinęła się przez ostatnie czterdzieści lat w Stanach Zjednoczonych.

Tymczasem, bez względu na decyzje sojuszników, realia budżetowe Stanów mogą spowodować dalsze zmniejszenie ich wydatków wojskowych. Zdania są tu jednak bardzo podzielone. Obserwatorzy europejscy najczęściej uważają, że w redukcji budżetu wojskowego Kongres poszedł już bardzo daleko i poważne ustępstwa Moskwy mogą co najwyżej potwierdzić słuszność przyjętej opcji, powstrzymując Kongres przed ich ewentualną rewizją. Inni — szczególnie Amerykanie — są zdania; że w bieżącym i przyszłym roku redukcje wydatków wojskowych powinny w USA sięgnąć 10 %, a nawet 20 %, co jest chyba dużą przesadą.

Prezydent Bush ze swej strony zaproponował zamrożenie wydatków zbrojeniowych na rok, a o dalszych rozstrzygnięciach zadecyduje rozwój wydarzeń, których kierunek z grubsza można ocenić, obserwując niebagatelne decyzje Układu Warszawskiego o jednostronnych redukcjach.

Z drugiej strony sojusznicy USA w coraz większym stopniu zdają sobie sprawę z tego, że ich wspólna odpowiedzialność musi

mieć dla wszystkich praktyczne finansowe następstwa. Dalsze utrzymywanie głębokiej nierównowagi budżetowej Stanów jest szczególnie niewygodne dla Europy, może bowiem doprowadzić do nowych podziałów ekonomicznych w świecie, ze stratą dla nieposiadającego na ogół nadwyżek Starego Kontynentu — wyjąwszy Niemców. Pod tym tym względem warto bacznie obserwować rozwój stosunków amerykańsko-japońskich, począwszy od kontaktów na pogrzebie cesarza Hirohito, a więc w symbolicznym momencie nowej ery.

Japończycy bowiem zarobili dużo pieniędzy i z pewnością zadają sobie pytanie, na co je wydać. Amerykanie zaś mają wszystkie powody, by się takim pytaniem interesować.

Nowe bronie — nowe obyczaje

W końcu stycznia br. zakończyły się w Moskwie obrady specjalistów amerykańskich, kubańskich i sowieckich na temat kryzysu kubańskiego z 1962 roku, kiedy to świat znalazł się na krawędzi wojny nuklearnej. Wojskowi prawdopodobnie nie zapomnieli nigdy Chruszczowowi upokorzenia, jakim ostatecznie była dla nich cała ta awantura — przy czym znaczenie miała nie tylko porażka ZSSR; lecz także fakt instrumentalnego użycia sił zbrojnych do celów politycznych. Mając w pamięci stalinowskie czystki, armia nie była skłonna do zaakceptowania nazbyt dominującej władzy politycznej i nie przypuszczam, by do dziś zmieniała zdanie. Dwa lata po kryzysie kubańskim Chruszczow upadł. Poruszenie dzisiaj przez pierwszego sekretarza tego tematu, bez kompleksów ani pod adresem Amerykanów, ani własnych generałów, zasługuje na uwagę.

Celem obrad było zbadanie mechanizmów, które doprowadziły do zaognienia wówczas sytuacji — tak, by „można było tego uniknąć na przyszłość”. Rozważając motywacje i znaczenie tej konferencji, nie można zaniedbać korzystnego jej wpływu na ocenę intencji Gorbaczowa w Kongresie na trzy miesiące przed debatą budżetową — ale jest także bezsporne, że należy ona do licznych ostatnio aktów pomiędzy ZSSR i USA, które obyczajom pomiędzy dwoma mocarstwami nadają charakter bardziej rzetelny.

Najważniejszym elementem nowych układów jest kodyfikacja wzajemnych stosunków nuklearnych.

Umowa z grudnia 1987 zakłada zniszczenie 859 pocisków amerykańskich (w tym 429 zainstalowanych już w Europie, głównie Pershing 2), a ze strony ZSSR — zniszczenie 1.752 pocisków, w tym 470 SS-20 i SS-4. Nadzwyczaj pieczołowicie opracowano system kontroli. Niszczenie odbywa się w obecności przedsta-

wicieli drugiej strony; całość urządzeń baz w Wotkinsku (ZSSR) i Magna (USA) jest mierzona, ważona i prześwietlana; zainstalowano aparaturę do współpracy z kontrolnymi satelitami. W szczególności Rosjanie umożliwiają badanie wyrzutni SS-25 tak, by nie istniał cień wątpliwości, że ukryto tam wyjęte spod prawa pociski średniego zasięgu.

Dlaczego niszczyć dobre bomby? Ponieważ wchodzą w użycie lepsze. Przyjrzyjmy się kilku przykładom.

W sierpniu 1987 marynarka USA przedstawiła nową wersję pocisku Tomahawk. Wystrzelony ze statku u wybrzeży Kalifornii, przebył zaprogramowane 800 km dokładnie w kierunku celu. Nad lądem pokładowy radar regulował lot według odczytów optycznych wskaźników terenowych. Po przybyciu tam, gdzie go oczekiwano, Tomahawk zbombardował kolejno trzy różne cele, używając do tego kilkudziesięciu pocisków, następnie wzniósł się, nie yardami, lecz stopami”.

Według ekspertów *US Navy*, dokładność Tomahawka liczy się „nie yardami, lecz stopami”.

Tomahawk po wystrzeleniu zmierza do lądu, gdzie identyfikuje któryś z licznych punktów odniesienia według posiadanej w pamięci mapy. Orientując się, gdzie jest, wybiera drogę wzdłuż najkorzystniejszego z zaprogramowanych konturów — np. rzeki czy zbocza gór. Komputerowa mapa składa się z komórek obrazujących punkty charakterystyczne terenu. W pobliżu celu skala komórek się zmniejsza; dokładność trafienia zależy więc od pojemności pamięci i szybkości reakcji na wszystkie szczeblach zespołu sterującego.

Dodajmy, że komputer uwzględnia różnice odbić radarowych w lecie i w zimie.

W styczniu '88 Departament Obrony USA ujawnił nieco szczegółów na temat pocisku do niszczenia instalacji radarowych *Tacit Rainbow* (Milcząca Tęcza). Wystrzelony z samolotu lub ze statku, leci jednym z zaprogramowanych profili w kierunku pola walki. Po złowieniu sygnału wrogiego radaru obiera nowy tor lotu, kierując się na źródło emisji. Dotychczasowa obrona polegała na nieregularnym wyłączaniu radaru na krótkie chwile, co wystarczało, aby pocisk tracił kompletnie orientację.

Co innego *Tacit Rainbow*: stwierdziwszy zanik sygnału, spokojnie przeczekuje w powietrzu ciężkie chwile, po czym łapie uruchomiony na nowo sygnał i odnajduje poszukiwane urządzenia radarowe.

W dziedzinie ciężkich pocisków Rosjanie górują, jeśli chodzi o siłę ciągu. Wszelako główne problemy wielkich rakiet to do-

kładność i wrażliwość na zniszczenie na wyrzutni, i tu Amerykanie są — jak się zdaje — w znacznie lepszej sytuacji. Posiadają ruchliwy system bardzo ciężkich, a przy tym precyzyjnych rakiet na okrętach podwodnych. Dodajmy, że mają także kilkakrotnie większą liczbę lotników. Odzwierciedla to podstawową różnicę geograficznej doktryny wojennej obu mocarstw: Rosjanie lokują główne swoje bazy na ziemi, podczas gdy Amerykanie — na morzu, co ma podstawowe znaczenie, jeśli chodzi o wrażliwość na zniszczenie. Zauważmy na marginesie, że w ostatnich wielkich wojnach przegrywali ci, co nie opanowali morza.

Przedstawiony w styczniu 1988 *Trident 2* — 70 tonowy olbrzym o wysokości 15 m — przeleciał 7.200 km, trafiając w „wyznaczony region południowego Pacyfiku”. W porównaniu z wcześniejszym *Trident 1* jego precyzja jest dwukrotnie większa i osiąga poziom słynnych MX, startujących z wyrzutni podziemnych, przy czym pocisk wystrzeliwany spod wody z natury rzeczy dysponuje znacznie od nich wyższymi współczynnikami zabezpieczenia na wykrycie i zniszczenie. Siła uderzenia *Trident 2* pozwala zniszczyć podziemne umocnienia wytrzymałe podmuch rzędu 400 kg/cm², co w połączeniu z jego dokładnością stanowić może takie zagrożenie dla sowieckich wyrzutni, że zdaniem niektórych specjalistów wprowadzenie *Trident 2* do użycia (480 sztuk z 4.800 głowicami na 20 podwodnych okrętach typu *Trident* w roku 2000...) może doprowadzić do destabilizacji w pierwszym okresie wojny w tym sensie, że Rosjanie zmuszeni byłiby do wystrzelenia od pierwszej chwili wszystkiego, co posiadają, w obawie przed skutecznym rozbięciem całego ich systemu podziemnych wyrzutni.

Mocne i dość niezawodne — co nie oznacza, że precyzyjne i dobrze chronione — rakiety z pewnością są atutem Rosjan. Kiedy po katastrofie *Challenger*a Stany zawiesiły loty kosmiczne, ZSSR zgłosił ofertę handlową umieszczenia satelitów przy pomocy ogromnych rakiet typu *Proton*. Cena usługi sowieckiej — 30 mln \$ — jest mniejsza od żądanej przez zachodnioeuropejskie konsorcjum *Arianespace*. Dodajmy, że wszyscy notowali wypadki: zarówno amerykańskie *Tytany*, jak europejskie *Ariane* czy sowieckie *Protony*. Tak czy inaczej, nikt nie skorzystał z oferty sowieckiej, ale została ona zauważona (rozważali ją bliżej Australijczycy). Inna propozycja dotyczyła wynajęcia urządzeń optycznych stacji *Mir* o najwyższej handlowej zdolności rozdzielczej — 5 m. Ten sam *Mir* wykonał badania supernowej za pomocą promieni X, co jak dotąd stanowi sowiecką wyłączność. Wspomnijmy wreszcie o słynnym *Burianie*, sowieckim wahadłowcu o sylwetce *Challenger*a, którego udany lot odbył się wkrótce po nawrocie programu wahadłowców amerykańskich. Obser-

wując te spektakularne osiągnięcia sztuki militarno-kosmicznej ZSSR, warto mieć na uwadze specyfikę sowiecką, która np. w sporcie powstrzymuje nas od przypuszczeń, że mistrzowskie tytuły pływaków obrazują wysoki poziom pływania w ogóle.

Trzy możliwe drogi?

Dalszy rozwój technologiczny sowieckich sił zbrojnych wyobrazić sobie można na trzy sposoby:

— w niezmiennym systemie ewolucyjnego projektowania naturalnym procesem nadal byłoby odkrywcze stosowanie sprawdzonych technologii. Za przykład może tu posłużyć sowiecka odpowiedź na zagrożenie ze strony pocisków wystrzeliwanych z okrętów podwodnych. Amerykanie opanowali technikę akustycznego przesiewania oceanów, czego Rosjanie nie są w stanie zastosować wobec niedostępności wybrzeży atlantyckich oraz braku ogromnych mocy obliczeniowych, niezbędnych do bardzo szybkiego opracowania danych, składających się głównie z hałasu i zakłóceń. W tej sytuacji rozwijają oni technikę porównywania z samolotów i satelitów współczynników odbić warstw wodnych w poszukiwaniu śladu okrętu i pocisku, co można badać istniejącymi urządzeniami radarowymi z pomocą stosunkowo ograniczonych komputerów. Przy wzrastającym zanurzeniu okrętów podwodnych skuteczność tej metody staje się jednak iluzoryczna.

Innym przykładem dostosowania tendencji rozwojowych do realiów technologicznych jest kluczowa we wszystkich procesach automatycznych dziedzina regulacji nieliniowej. Znaczna część teoretycznych twierdzeń nosi tu nazwiska uczonych sowieckich, którzy w braku mocy komputerowych rozwijają elegancki analityczny rachunek nieliniowości, podczas gdy ich koledzy na Zachodzie na wczesnym etapie analizy, a zwłaszcza symulacji, decydują się na linearyzację i zastosowanie rachunku numerycznego, co znacznie rozpowszechnia rzeczywiście skuteczną regulację.

Drugim sposobem jest zdobywanie przez wywiad lub sprytny zakup technologii. Kilka lat temu śledziłem z zainteresowaniem losy zatrzymanej przez celników belgijskich dyplomatycznej walizy sowieckiej, której właściciele za nic nie chcieli otworzyć. Waliza dyplomatyczna miała postać kilkunastotonowej ciężarówki z przyczepą: po kilku dniach sprawa przycichła i w końcu nie dojdiesz, co też tam było. Bodaj rok temu z kolei widziałem w telewizji francuskiej obrazy kongresmenów amerykańskich, którzy ogromnymi młotami ręcznie rozbijali japoński sprzęt HI-FI, co mogło nasunąć refleksję, że zwariowali. Okazało się, że to

symboliczna reakcja na sprzedaż przez Toshiba do Związku Sowieckiego komputerowych urządzeń do walcowania precyzyjnie profilowanej stali do śrub okrętów podwodnych. Nie oznacza to, że Rosjanie nie radzą sobie z teorią hydrodynamiki. Problemy pojawiają się na etapie wdrożeń, a zwłaszcza masowej produkcji elementów o bardzo wysokich normatywach.

Oba opisane sposoby wystarczały przez długie lata, kiedy bronie i doktryny wojenne były stosunkowo niezmiennie. Dziś nie zapewnią już sukcesu. Sowiecki wysiłek zbrojeniowy jest razem i niewystarczający, i przekraczający możliwości Imperium. Konieczna jest trzecia droga, oznaczająca kompletną rewolucję, nawet za cenę zakwestionowania podstaw ustroju. Bronie i strategie wchodzące w użycie mają szczególne cechy: są nadzwyczaj wyrafinowane i starzeją się szybko. Dla sprostania wynikającym stąd zadaniom, cały sowiecki system wojskowy musi przejść najgłębszą modyfikację, by zastąpić posiadany arsenał bronią XXI wieku.

Robert „MATEUSZ” KACZMAREK

Paryż, 20 lutego 1989

LEKARSTWA

Przodujących fabryk Europy, Ameryki i Japonii
WYSYŁAMY BEZ ZWŁOKI.

— Recepty i zamówienia realizujemy do wysokości \$ US 50,00 natychmiast — nie czekając na wpłatę. ● Odczytywanie recept krajowych. ● Wszelkie aparaty medyczne. ● Okulary. ● Aparaty słuchowe. ● Preparaty dentystyczne.

Cenniki i wyceny przesyłamy natychmiast.

Największy Polaki Dom wysyłkowy

TAZAB LTD.

Tazab House, 273 Old Brompton Road,
London SW5 9JB, England.

Tel.: (01) 373 48 81

oraz informacje

Madame C. Piquard-Zablocki,
12 rue Condorcet, 75009 Paris, France.

Tel.: 42 85 79 45.

Wywiady «Kultury»

"Sprawą dla nas najważniejszą jest współpraca z Polakami"

WYWIAD Z ANTANASEM TERLECKIM,
PRZYWÓDCĄ LIGI WOLNOŚCI LITWY

JÓZEF DARSKI: — *Czy wszyscy litewscy więźniowie polityczni powrócili już do domu?*

ANTANAS TERLECKAS: — *Prawie wszyscy. W obozach dla przestępców pospolitych przebywają jeszcze więźniowie polityczni, ale ich liczby nie znamy. W zasadzie prawie nie mamy więźniów politycznych, choć w łagrach przebywa jeszcze kilku partyzantów, którzy walczyli o niepodległość Litwy. Więziony jest też Petras Gražulis.*

J.D.: — *Czy zna Pan liczbę partyzantów przetrzymywanych jeszcze w obozach?*

A.T.: — *Nie wiemy, ilu ich pozostało, ale bardzo mało.*

J.D.: — *Czy wszyscy powrócili z zesłania?*

A.T.: — *Tego nie mogę stwierdzić. Na początku listopada 1988 roku z Syberii i innych miejsc zesłania powrócili prawie wszyscy, ale od czasów Stalina wielu zesłańców przebywa z motywów politycznych i innych na Syberii, Uralu, w Kazachstanie i w różnych regionach Rosji. Wielu nie ma warunków, by powrócić gdyż nie ma gdzie mieszkać na Litwie. Takich ludzi są tysiące.*

J.D.: — *Jaki jest stosunek Ligi Wolności Litwy do Sajudisu? Czy odróżnicie odrębne nurty występujące w Sajudisie, na przy-*

kład kierunek antykomunistyczny, narodowo-komunistyczny, reformistyczny i inne?

A.T.: — W *Sajudisie* są ludzie reprezentujący wszystkie kierunki, ale prawie 50 % stanowią członkowie partii komunistycznej. *Sajudis* został zmuszony ze względów narodowych do żądania autonomii Litwy, natomiast Liga Wolności Litwy żąda niepodległości Litwy. Taka różnica nas dzieli.

J.D.: — *Do jakiego stopnia Sajudis jest kontrolowany przez aparat partii komunistycznej? Czy litewska opinia publiczna rozumie, że celem przebudowy nie jest wolność, lecz chęć uzyskania poparcia społecznego dla partii komunistycznej i legitymizacja systemu komunistycznego?*

A.T.: — Aparat partii komunistycznej kontroluje całą działalność *Sajudisu*. Oczywiście *Sajudis* protestuje, nie poddaje się kontroli, chociaż ze wszystkich stron wywierane są nań naciski. Nie jest to kontrola bezpośrednia, chociaż *Sajudis* stara się pomóc zniewolonemu narodowi litewskiemu. Członkowie *Sajudisu* oczekują na jakieś reformy w sferze kultury, gospodarki i w innych dziedzinach. Większość członków *Sajudisu* dąży do polepszenia położenia narodu litewskiego, mimo że Moskwa ma własne cele — jej celem jest zachowanie zreformowanego imperium rosyjskiego. W tym wypadku nasze cele i dążenia większości członków *Sajudisu* nie pokrywają się, ponieważ oni uważają za pierwsze zadanie poprawę egzystencji ekonomicznej i politycznej narodu litewskiego.

J.D.: — *Sądzę, że władze komunistyczne grają na litewskim nacjonalizmie...*

A.T.: — Grają, grają. Dziś Komunistyczna Partia Litwy nie czyni wielkich ustępstw. Zezwala nam mówić, ale nie więcej. Zezwala na drukowanie apeli, wydawanie nieoficjalnych pism, ale nie odkręca śruby. Imperium moskiewskie tak jak trzymało nas w swych rękach, tak trzyma nadal. Szowinizm rosyjski nie ustąpił ani na jeden krok.

J.D.: — *Czy Liga wydaje własne pismo?*

A.T.: — Liga publikuje czasopismo *Vytis*, którego siódmy numer właśnie się ukazał. Niedawno, przed dwoma tygodniami, ukazał się też pierwszy numer *Biuletynu Informacyjnego* Ligi.

J.D.: — *Jakie są ich nakłady?*

A.T.: — Dwa-trzy tysiące.

J.D.: — *Jakiej techniki używacie?*

A.T.: — Powielaczowej.

J.D.: *Jaki jest zakres działalności i wpływów Ligi?*

A.T.: — Nasze grupy istnieją na całym obszarze Litwy.

J.D.: — *Ilu członków ma Liga?*

A.T.: — Około 900 członków.

J.D.: — *Czy Liga cieszy się poparciem inteligencji, czy nie jest izolowana jako grupa fantastów?*

A.T.: — Naród nas popiera, ponieważ domagamy się niepodległości. Cieszymy się dużym poparciem moralnym.

J.D.: — *Co konkretnie robi Liga, jakie są metody jej działania?*

A.T.: — Liga wydaje swoją prasę i organizuje wiece. Jutro przygotowujemy wiec na Placu Gedymina przy Katedrze Wileńskiej.

J.D.: — *Czy Wasza działalność nie jest zakazana?*

A.T.: — Teraz nie zakazują. Od kilku miesięcy działamy legalnie; mniej więcej od trzeciego lipca 1988 roku nic nam nie robią. W okresie zjazdu *Sajudisu* zezwolono przedstawicielowi Ligi na zabranie głosu przed kamerami telewizji.

J.D.: — *Czy próbowaliście nawiązać stosunki bezpośrednio z Warszawą?*

A.T.: — Opozycjoniści polscy nie przyjeżdżają na Litwę. Przyjeżdżają tylko ludzie, którzy coś kupują. Z nimi stosunków nie utrzymujemy. Być może opozycjoniści nie otrzymują wiz. Rząd rosyjski zna Polaków, którzy są w opozycji i nie daje im wiz. Sam również nie mogłem otrzymać wizy, by przyjechać do Polski. Choć nie spotykamy się z polskimi opozycjonistami, zgadzamy się z ich ideami. Mimo że osobiście się nie znamy, wszystko o nich wiemy.

J.D.: — *Co powinni by robić Polacy na Litwie i Litwini w Polsce, aby poprawić nasze stosunki?*

A.T.: — Teraz trudno mi powiedzieć, w takim momencie ta kwestia...

J.D.: — *Jaka powinna być rola naszych mniejszości narodowych we współpracy litewsko-polskiej?*

A.T.: — Słyszałem, że wielu Polaków z Wilna przybędzie do Warszawy, aby studiować na tamtejszych wyższych uczelniach, a z Polski przyjadą Litwini uczyć się na Litwie. Jest to ważne, gdyż doszło już do tego, że polscy absolwenci szkół na Wileńszczyźnie, którzy wstępują do Wileńskiego Instytutu Pedagogicznego na specjalizację polską, proszą polskich wykładowców, aby pozwolili im na udzielanie odpowiedzi w języku rosyjskim. Jeśli dziś stu Polaków z Litwy przybędzie do Polski studiować na wyższych uczelniach, będą uczyli się po polsku. Litwini natomiast, którzy mieszkają na Sejneńszczyźnie, będą mogli studiować na litewskich wyższych uczelniach i powróciwszy do Polski tam będą pracowali. Jest to korzystna wymiana.

Współpraca kulturalna jest bardzo dobra: grupy artystyczne przybywają na Litwę i w ostatnim czasie zespoły litewskie są wpuszczane do Polski.

Historycy polscy więcej pracują nad dziejami Litwy, niż nasi historycy. Wstyd dla naszych historyków, którym dotychczas zakazywano studiowania dziejów Litwy i którzy niczego nie zrobili, natomiast ich polscy koledzy dokonali tak wiele. Na przykład istnieje „Historia Litwy” pióra Jerzego Ochmańskiego. Płaciliśmy bardzo dużo, aby móc ją przeczytać.

J.D.: — *Jeśli już mówimy o polsko-litewskiej współpracy kulturalnej, co Pana zdaniem należałoby przetłumaczyć na język polski z niezależnej twórczości litewskiej?*

A.T.: — O niezależnej twórczości nie mogę nic powiedzieć; dotąd nic dobrego i poważnego w naszym języku nie ukazało się, co należałoby przetłumaczyć na polski. Pisarze litewscy bali się i niczego nie stworzyli. Jest to straszna tragedia narodu litewskiego. Jeśli wzięć pod uwagę nowelistykę, to należałoby przetłumaczyć „Życie pod klonem” Granauskasa, które ukazało się oficjalnie w tym roku.

J.D.: — *Czy dziś Litwini na Litwie wysuwają roszczenia terytorialne wobec Polski?*

A.T.: — Litwini nie mają żadnych roszczeń terytorialnych. Oczywiście, każdy Litwin jest za tym, by Wilno należało do Litwy. W tym punkcie Litwini są jednomyślni — Wilno jest stolicą Litwy.

J.D.: — *Nikt poważny w Polsce nie chce przyłączenia Wilna*

albo zmiany granicy, ale wśród emigracji litewskiej są ludzie, którzy śnią o Augustowie.

A.T.: — Do Augustowa Litwini naprawdę nie pretendują, może istnieć tylko kwestia Sejn. Dziś, jak sądzę, w ogóle nikt nie wysuwa żadnych roszczeń. Uważam takie roszczenia za nierrealne podobnie jak pretensje Polaków do Wilna. Tylko ludzie naiwni mogą o tym marzyć. Nikt nie chce przyłączać do Litwy Małej Litwy, a okręg Królewca jest zamieszkały przez Rosjan. Roszczeń terytorialnych na Litwie nikt nie wysuwa, dzięki Bogu chcemy pozostać na tej ziemi, która obecnie należy do Litwy.

J.D.: — *Kiedy chcieliśmy w imieniu polskich organizacji podziemnych podpisać z przedstawicielem VLIK-u wspólne oświadczenie dotyczące zachowania obecnej granicy polsko-litewskiej, otrzymaliśmy od VLIK-u negatywną odpowiedź.*

A.T.: — To było bardzo nierozsądne pod względem politycznym. Moim zdaniem, zaostrza to tylko stosunki między naszymi narodami i służy rosyjskiemu imperializmowi. Zwróćcie się do Tomasza Venclovy.

J.D.: — *Czy zna Pan apel czterech polskich organizacji podziemnych w sprawie zachowania naszych granic?*

A.T.: — To było podziemne posłanie do narodu litewskiego; słyszałem je przez radio.

Często słuchamy Radia Wolna Europa. Podało ono informację przekazaną przez pewnego Polaka z Wilna, która była całkowicie nieobiektywna. Tłumaczono, że Litwini są przeciwko polskiemu kardynałowi, przeciwko „Solidarności” itd. To nie jest prawdą, lecz wprowadzaniem w błąd narodu polskiego. Ponieważ mój przyjaciel, Andrius Tućkus, pochodzi z rodziny mieszanej pod względem narodowym (jego ojciec jest Litwinem, a matka Polką), napisał artykuł, który został specjalnie przekazany do przewiezienia za granicę, choć dotychczas nie dostał się na Zachód. Mamy nadzieję, że ten niewydrukowany za granicą artykuł opublikujemy w naszej prasie podziemnej.

J.D.: — *Czy obecnie istnieją na Litwie zwolennicy współpracy polsko-litewskiej? Jeśli tak, jak powinna ta współpraca wyglądać, co moglibyśmy wspólnie robić?*

A.T.: — Sprawą dla nas najważniejszą jest współpraca z Polakami. Nie należy zapominać, że przez czterysta lat żyliśmy we wspólnym państwie, mieliśmy wspólnych wrogów. Dziś wspólnym wrogiem Litwinów i Polaków jest rosyjski imperializm, którego celem jest podjudzanie Polaków na Litwinów.

J.D.: — *A w przyszłości?*

A.T.: — Będziemy żyli jak bracia; sądzę, że zapomnimy o wszystkich błędach i będziemy żyli, jak żyliśmy do końca XIX wieku, kiedy po powstaniu 1863 roku zaczęliśmy się kłócić.

J.D.: — *Polacy nie wysuwają żadnych pretensji terytorialnych, ale będziemy chcieli przyjeżdżać na Litwę, a zwłaszcza do Wilna, gdyż znajduje się tam dużo pomników naszej kultury, to jest także nasza historia. Pozostaje też kwestia praw naszej mniejszości narodowej.*

A.T.: — Przez cały okres niepodległości Litwy mniejszości narodowe miały swoje szkoły; na przykład Żydzi mogli uczyć się we własnych szkołach, natomiast Polakom było trudniej, ponieważ Polacy zamykali na Wileńszczyźnie litewskie szkoły, Litwini robili więc to samo Polakom na Litwie. Był to konflikt między państwami i uważam, że nigdy nie powinno go być.

Osobiście sądzę, że w niepodległej Litwie na uniwersytecie litewskim powinna istnieć katedra języka i literatury polskiej i język polski będzie nauczany. Ja nie mówię po polsku, choć mogę czytać literaturę. Wszystkie moje dzieci potrafią czytać literaturę polską, korzystać z owoców kultury polskiej. Każdy inteligent uważa za punkt honoru znać język polski, niestety, „ja po tutejszemu mogę rozmawiać, ale bardzo kiepsko”.

Cóż można mieć przeciwko temu, by Polacy przyjeżdżali do Wilna, zawsze prosimy. Jestem przekonany, że w niepodległej Litwie będą polskie szkoły i na uniwersytecie będzie wykładana literatura i język polski. Wymagają tego interesy kultury litewskiej, aby studiować kulturę polską. Przy studiowaniu historii Litwy nigdy nie obejdziemy się bez języka polskiego.

J.D.: — *Na emigracji litewskiej dominuje nastawienie antypolskie, podobnie jak przed czterdziestu laty. Czy na Litwie także istnieją jeszcze antypolskie nastroje?*

A.T.: — Litewscy inteligenci ustosunkowują się przyjacielsko do Polski, jedynie bardzo ciemny element jest antypolski. Nasi okupanci starają się podjudzać narody, zwłaszcza na Polaków. Czynią wszystko, aby mieszkańcy Litwy uważający się za Polaków zawsze byli nastawieni antylitewsko i stopniowo ruszczyli się. Dziś sytuacja przedstawia się tak, że wielu młodych Polaków, którzy uczęszczają do szkół polskich, między sobą rozmawia już po rosyjsku. Jest to wynik świadomej działalności rosyjskich szowinistów. Starają się oni podjudzać wileńskich Polaków na Litwinów i stopniowo ich zrusyfikować. Fakt ten jest powszechnie

znany. Walczymy z tym zjawiskiem i w tych dniach Liga Wolności Litwy zwróciła się do litewskiej opinii publicznej i do naszego duchowieństwa, wzywając do nawiązania przyjacielskich stosunków z Polakami. Przedwczoraj, to jest 23 listopada 1988 roku, po raz pierwszy w warunkach okupacji obchodziliśmy Dzień Wojska Litewskiego. Spotkaliśmy się na cmentarzu na Rossie, przy Grobie Nieznanego Żołnierza. Tam, na cmentarzu na Rossie, są pochowani żołnierze polscy i litewscy; po jednej stronie Polacy, po drugiej Litwini. Wiele osób zabierających głos chwaliło wysoką kulturę polską z tego powodu, że Polacy mimo wszystko nie pochowali, nie zwalili do jednego rowu litewskich żołnierzy walczących przeciwko Polakom, lecz pochowali ich obok swoich i postawili wspólny pomnik. Wszyscy zabierający głos podkreślali, że trzeba poprawić stosunki litewsko-polskie.

J.D.: — *Czytałem w prasie zachodniej, że na terenie Wilna zostały rozrzucone ulotki o treści antypolskiej, czy to prawda?*

A.T.: — Takich rzeczy Litwini nigdy nie robili i nie zrobią, to mogli uczynić tylko jacyś prowokatorzy, KGB. Jeśli by się pokazały takie ulotki, to zaraz cała świadoma inteligencja litewska walczyłaby przeciwko takiemu zjawisku. W piśmie *Sajudisu* ukazał się artykuł, który wzywał, by w katedrze wileńskiej msze odbywały się tylko w języku litewskim. Z tej okazji Liga Wolności Litwy zredagowała pismo do narodu litewskiego.

J.D.: — *Jaki jest Wasz stosunek do Białorusinów?*

A.T.: — Stalin, chcąc osłabić Litwę, oddał znaczną część jej ziem Białorusi. Część litewskiego obszaru etnograficznego należy więc dziś do Białorusi. O ile po wojnie było tam bardzo dużo mieszkańców mówiących po litewsku, na dzisiejszej Białorusi z każdym dniem liczba ich maleje. Ponieważ Litwina trudno jest zrusyfikować, natomiast Białorusina łatwiej, Litwini są w pierwszej kolejności rutenizowani, a następnie rusyfikowani. Na terenie Białorusi nie ma ani jednej szkoły litewskiej i nawet teraz władza przeszkadza w ich zakładaniu.

J.D.: — *Czy wysuwacie roszczenia terytorialne wobec Białorusinów?*

A.T.: — Dziś niczego nie możemy, kiedy już będzie niepodległość, wówczas może porozumiemy się z Białorusinami. Na Litwie problem roszczeń nie powstaje, jak w Armenii i w Karabachu.

J.D.: — *Czy nie próbujecie znormalizować stosunków litewsko-białoruskich?*

A.T.: — Chcemy. Myślimy, aby utrzymywać normalne stosunki, jak to już było w historycznej przeszłości.

J.D.: — *Tak, ale czy nie próbujecie nawiązać stosunków z Białorusinami?*

A.T.: — Nasi inteligenci, specjaliści, współpracują, ich inteligenci przyjeżdżają na Litwę, aby podzielić się doświadczeniami, na przykład przy organizowaniu *Sajudisu*, frontu narodowego. Ich przedstawiciele biorą udział w naszych wiecach, często na wiecach powiewa białoruska flaga.

J.D.: — *Jakie jest Wasze stanowisko wobec Rosjan, mieszkających na Litwie?*

A.T.: — Powiedziałbym, że nie wszyscy Rosjanie zachowują się bezczelnie, chociaż wielu nastawionych jest bardzo szowinistycznie. Litwini są dość tolerancyjni i nie zaczepiają ich, tylko czasami, jak wypijają, wówczas trochę kłócą się. Stosunki na Litwie są dość zadowolające.

Przed tygodniem byliśmy w Rydze: tam Łotyszy jest maksimum 24-25 %, wszędzie mówi się tylko po rosyjsku. Nie można tego powiedzieć o Wilnie, a tym bardziej o Kownie, Kłajpedzie, Szawlach, Poniewierzu. 80 % mieszkańców Litwy to Litwini. Kwestia narodowa na Litwie nie jest tak ostra, jak na Łotwie i w Estonii.

J.D.: — *Bardzo dziękuję za rozmowę.*

Rozmawiał Józef DARSKI

POLSKA KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA
STODIECK'S BUCHHANDLUNG & GALERIE

oferuje:

Książki polskie. — Książki niemieckie dotyczące Polski i Europy Wschodniej. — Przekłady z języka polskiego na niemiecki.

Katalogi wysyłamy bezpłatnie.

Stodieck's Buchhandlung,
Richard-Wagner-Str. 39. D-1000 Berlin 10.
Tel.: (030) 341 10 40.

Sprawy i troski

Zagrożenie Kościoła katolickiego na Białorusi i Litwie

1. Kilka uwag wstępnych.

Po rozbiorach Polski pod koniec XVIII wieku Kościół katolicki obrządku łacińskiego, sięgający swymi początkami nie-rzadko XIII i XIV wieku (Pińsk, Żytomierz, Kijów, Kamieniec Podolski, Lwów), znalazł się pod silną presją władz carskich, dążących powoli, lecz bardzo konsekwentnie do ograniczenia jego stanu posiadania i wpływów, a ostatecznie do jego likwidacji. Po powstaniu listopadowym i styczniowym władze carskie zlikwidowały setki klasztorów i szkół przez nie prowadzonych, przejęły około 300 kościołów i przekazały je cerkwi prawosławnej oraz zamknęły różne instytucje katolickie i polskie.

W myśleniu kolejnych carów i administracji carskiej, a później i sowieckiej, katolicyzm stał się synonimem polskości, co miało zresztą uzasadnienie choćby w poparciu powstań przez duchowieństwo i zakony polskie. Do końca XIX wieku administracja carska odniosła niemałe sukcesy w długoletniej walce z hierarchią kościelną, także w dziedzinie wprowadzania języka rosyjskiego do paraliturgicznych nabożeństw kościelnych (słynny *triebnik*, rosyjsko-języczna agenda kościelna). Celem była rusyfikacja języka używanego w kościele i posłużenie się nim w rusyfikacji ludności katolickiej.

Jeśli jednak łaciński Kościół katolicki poniósł w XIX wieku na Białorusi i Ukrainie ciężkie straty w dziedzinie instytucjonalnej, to chyba niewiele stracił w dziedzinie personalnej gdy chodzi o liczbę wiernych. Po ukazie tolerancyjnym z 1905 roku nawet zyskał przez przejście na obrządek łaciński pewnej części prześladowanych przez carat unitów na Podlasiu.

Na terenach, które po Traktacie Ryskim weszły w skład ZSSR,

pozostało kilkaset parafii i znacznie ponad pół tysiąca księży, w ogromnej większości Polaków. Władze sowieckie nie miały jednak zamiaru stosować długofalowych metod caratu. Przyjęły, zgodnie ze swą ideologią dotyczącą Kościoła i religii, rozwiązanie radykalne. Polegało ono na fizycznej likwidacji księży katolickich oraz zamknięciu lub zniszczeniu wszystkich instytucji kościelnych. Ogłoszony 15 maja 1932 roku pięcioletni plan antyreligijny stwierdzał: „Do 1 maja 1937 roku na terytorium Związku Sowieckiego nie będzie potrzebny ani jeden dom modlitwy, a samo pojęcie Boga zostanie wykreślone jako przeżytek średniowiecza i narzędzie hamowania rozwoju mas”. I rzeczywiście, do 1939 z kilkuset pozostały na terenie ZSSR tylko dwa kościoły katolickie: w Moskwie i Leningradzie. Obsługiwali je księża obywatele francuscy, którzy nie mieli prawa spełniać czynności duszpasterskich wobec podwładnych sowieckich, a tylko wobec cudzoziemców. Ta sytuacja miała ulec zmianie dopiero w 1950 roku, kiedy to księża ci zostali przez władze sowieckie usunięci z kościoła w Moskwie (z Leningradu ostatni ksiądz katolicki, dominikanin francuski, musiał pod naciskiem władz wyjechać w czasie blokady w 1941 roku). Kapłana Francuza zastąpił wówczas ks. Butorowicz z Łotwy, obywatel sowiecki¹.

Pewne znaczenie miał epizod z lat 1941-1944, kiedy na terenach pozostających pod okupacją niemiecką zostały otwarte na Białorusi i Ukrainie — przez ludność katolicką, jak się wydaje — kilkaset kościołów. Po wojnie w tej części Białorusi, która uprzednio należała do ZSSR, nie ostał się z nich ani jeden. Jedynie na Ukrainie za Zbruczem ostało się początkowo kilka. Dzięki niesłychanie ofiarnym staraniom liczba ich miała się stopniowo powiększać, by dojść w 1988 roku do około 50. Co prawda w większości odzyskano nie kościoły, lecz parafie, w których zbudowano kaplice, utrzymano je na cmentarzach lub też zaadaptowano odpowiednio zwykłe chaty.

W wyniku ewolucji stosunku do Kościoła i religii za Gorbaczowa liczba parafii na Białorusi i Ukrainie zwiększyła się w 1988 roku łącznie o około 30 i proces ten trwa nadal. W sumie na terenach tych istnieje już około 170 parafii rzymskokatolickich.

2. Oznaki zmiany sytuacji językowej

Zgodnie z odwieczną tradycją językiem liturgicznym używanym w mszy św. był do Soboru Watykańskiego II język łaciński, a językiem paraliturgii i kazań — język polski. Zniesienie łaci-

1. Por. Constantine de Grunwald, *La vie religieuse en URSS*. Paris 1961, str. 170-171.

ny stworzyło zupełnie nową sytuację o ważnych konsekwencjach. Pierwszą ich jaskółką było na Białorusi, pod koniec lat 60-tych, wprowadzenie w parafii Wiszniewo przez ks. Włodzimierza Czerniawskiego MIC (tzw. marianie) języka białoruskiego najpierw do kazań, a po kilku latach i do liturgii mszalnej oraz paraliturgii. Dało to początek trwającemu do dziś konfliktowi między parafianami a proboszczem, dokonało się bowiem wbrew ich woli.

Przed kilku laty powiększająca się powoli grupa księży pochodzenia litewskiego, ukraińskiego i białoruskiego (choć w tym ostatnim wypadku trudno jeszcze mówić o grupie) rozpoczęła cichą, lecz bardzo ożywioną, wytrwałą i konsekwentną pracę nad urabianiem opinii, że na Białorusi i Ukrainie nie ma już Polaków, a jedynie spolszczeni Białorusini i Ukraińcy. Ostatnio do pracy tej dołączają i księża Łotysze.

Wyniki tej pracy, jak dotychczas, nie są wielkie. Ograniczają się do zmiany świadomości narodowej kilku młodych ludzi, którzy już to otrzymali święcenia kapłańskie w konspiracyjnych warunkach, już to przygotowują się do nich. Oczywiście do zmiany tej mieli wszelkie prawo. Nie mając jednak — poza faktem modlenia się po polsku w domu i w kościele — żadnej znajomości historii i kultury polskiej, łatwo ulegli pseudonaukowej argumentacji dowodzącej, że przez zniknięcie polskiej szlachty i polskich urzędników z okresu międzywojennego na Białorusi, a na Ukrainie w czasie rewolucji bolszewickiej, zniknęli też Polacy. Tych ostatnich przedstawiano im zresztą jako panów uciskających lud białoruski i ukraiński, przymuszających go do przyjmowania obrządku rzymskokatolickiego i pozbawiających go jego własnej kultury. Argumentacja ta, zabarwiona mocno osobistymi urazami i fanatyzmem niektórych duchownych, jest jedyną wizją najnowszej historii, z jaką zapoznali się ci młodzi ludzie, trafiający zwłaszcza do konspiracyjnych środowisk formacyjnych obu obrządków, kierowanych przez Litwinów lub Ukraińców. Wychodzą z nich zwykle księża o antypolskim nastawieniu, z niechęcią i nieufnością słuchający kontrargumentów strony polskiej. Nastawienie to, rzecz jasna, odpowiada władzom sowieckim i od dawna, choć bardzo dyskretnie udzielają one poparcia jego zwolnikom.

Oto kilka przykładów. Ks. Wł. Czerniawski od dwudziestu lat z górą może udawać się za granicę, by tam głosić swoją tezę o trwającym wciąż w Kościele na Białorusi polskim ucisku. Jesienią ub. roku czynił to na sesji w Londynie, zorganizowanej przez środowisko białoruskie. Korzysta w tym celu także z białoruskiej sekcji radia watykańskiego, przesyłając tam swoje wypowiedzi. Przed kilku laty telewizja sowiecka nakręciła krótkometrażowy film, w którym jego działalność przedstawiono w pozytywnym świetle („Katolickieskaja cerkow w SSSR”).

Księża przygotowani do święceń w podziemiu i tamże, wyświęceni w środowisku unickim (pomimo zastrzeżeń władz seminarnych na Litwie), nie podlegający w praktyce określonej władzy kościelnej, otrzymują bez trudności od władz państwowych pozwolenia na objęcie parafii. Pracę swą rozpoczynają od usunięcia języka polskiego. Dotychczas istnieje zaledwie kilka tego rodzaju parafii na Białorusi. Są to: Miory (ks. Władysław Petraitis), Żodziszki (ks. Józef Gil) i Boruny k/Oszmiany (ks. Jan Matuszewicz). W dwu pierwszych wprowadzony został do liturgii i kazań język rosyjski. W ostatniej używany jest tylko częściowo.

Parafianie są rozdarci. Z jednej strony cieszą się, że mają kapłana, a z drugiej odczuwają ból, że narzuca on im język, w którym się nigdy nie modlili i nie modlą i który jest dla nich synonimem trwającego od tak dawna ucisku.

Na Ukrainie nie istnieją tak drastyczne przykłady. Język ukraiński wprowadzony został w kilku wypadkach do czytań mszalnych, kazań i ogłoszeń, niekiedy na przemian z polskim. Niekiedy jest to podyktowane czystą intencją duszpasterską, a czasem wynika z proukraińskiego nastawienia duszpasterza, wyniesionego z unickiego środowiska „podziemnego”.

Powyższe informacje wymagają wyjaśnienia. Nie odmawiam nikomu, a więc i wspomnianym księżom, prawa do określania swej narodowości według własnego uznania i zmiany przekonań zgodnie z własnym sumieniem. Chodzi jedynie o niedopuszczalne w duszpasterstwie rozciąganie osobistych przekonań narodowych duszpasterza na wiernych i narzucanie im ich wbrew ich woli. Misyjny charakter Kościoła nakazuje oczywiście korzystać z języka zrozumiałego dla ludzi, co od dawna robiono w kontaktach duszpasterskich, przy udzielaniu sakramentów itd. Lecz oficjalny język liturgii Kościoła to w odczuciu ludzi coś zupełnie innego. Jeśli budzi to ich niepokój, obawę i wreszcie sprzeciw, to dlatego, że słusznie czują, iż zaczyna się tu zmieniać coś bardzo ważnego dla ich tożsamości (choć oczywiście tak tego nie wyrażają), coś co będzie miało kolosalne następstwa dla ich duchowych więzi z kulturą polską i samym pochodzeniem narodowym, coś co dotyczy nieokreślonych nadziei na przyszłość. Oznacza bowiem zmianę odwiecznych skojarzeń w życiu religijnym i całej dotychczasowej przeszłości, która dotyka najgłębszych pokładów psychiki człowieka.

Powagi problemu związanego ze zmianą języka liturgii młodzi duszpasterze, nawet z najlepszą wolą i intencją, nierzadko nie rozumieją. Pomijam tu już trudną do wyobrażenia sobie kwestię zmiany całej przez wieki kształtowanej i bogatej kultury religijnej, wyrażającej się w języku polskim.

Być może nowe pokolenia wiernych wniosą zmiany w dziedzinie języka. Lecz mogą się one dokonywać bez szkody dla ich psychiki i życia religijnego tylko na drodze swobodnej ewolucji w warunkach swobody religijnej, a nie przez odgórne decyzje, wbrew woli zainteresowanych i przy poparciu władzy państwowej, zainteresowanej w zniknięciu języka polskiego. Powiedzmy wreszcie, że języka polskiego nie można nazwać niezrozumiałym na Białorusi i Ukrainie ze względu na odwieczne używanie go w życiu religijnym kościelnym i prywatnym. Bliskość znaczeniowa języków miejscowych także odgrywa wielką rolę.

3. *Rysujące się zagrożenie*

Wielokrotnie zwracano uwagę na fakt, że Polacy w ZSSR byli od początku i są nadal najbardziej dyskryminowaną grupą etniczną. W 1964 roku dekretem Rady Najwyższej dokonano np. rehabilitacji Niemców i Tatarów, deportowanych do Kazachstanu i na Syberię. Nie uczyniono tego jednak w stosunku do Polaków, wobec których, jak stwierdził ostatnio sam konsul generalny PRL w Moskwie, Roman Broż, „zastosowano najbardziej drastyczne formy” (dodajmy: represji i dyskryminacji)².

Jedną z najbardziej dla polskiej grupy narodowościowej w ZSSR groźnych konsekwencji tego stanu rzeczy jest utrata przez jej ogromną większość znajomości rodzimego języka. Zachował się on tylko w indywidualnym czy też rodzinnym pacierzu oraz w kościele. W tym ostatnim stał się najważniejszym i jedynym już bastionem broniącym ludzi przed wynarodowieniem.

I oto obecnie coraz wyraźniej widać, że kilka różnych ośrodków kościelnych czy indywidualnych duchownych usiłuje zlikwidować to ostatnie oparcie w walce z idącą, przemożną falą wynarodowienia Polaków w ZSSR, jakim jest język polski w kościołach na Białorusi i Ukrainie. Język ten w świeckim życiu publicznym został Polakom odebrany siłą i terrorem najpierw przez władze carskie, a później bolszewickie. Pozostał jednak w życiu religijnym. Dzieła jego ostatecznej likwidacji — już na terenie kościelnym — mieliby dokonać sami duchowni.

Przejdźmy do konkretów.

1. Twierdzenie różnych opiniotwórczych środowisk i jednostek na Litwie, że nie ma tam Polaków, lecz jedynie spolszczeni Litwini, którzy mają wrócić do kultury litewskiej, zaczyna być, za widoczną w terenie inspiracją litewską i unicką (ukraińską) — głoszone także w odniesieniu do Białorusi. Jego fanatycznym

2. Zob. „Polonia sowiecka”, *Kultura* nr 1/496-2/497, 1989, str. 109.

zwolennikiem jest wymieniany już ks. Włodzimierz Czerniawski MIC. Nie dostrzega on idącej szeroko rusyfikacji Białorusi, widocznej w zanikaniu języka białoruskiego, widzi natomiast zagrożenie w języku polskim, który jakoś Białorusinów i Ukraińców nie wynarodowił. Fakt, że języka polskiego bronią sami wierni, nie ma dla niego żadnego znaczenia. Opinie swoje może on głosić nawet za granicą. Polacy natomiast, będący ciągle właściwie amorficzną, nie zorganizowaną masą społeczną bez własnych przywódców świeckich lub duchownych, nie są, jak dotychczas, w stanie wnieść swoich problemów na jakieś publiczne forum, czy też przedstawić ich jakiejś instancji kościelnej lub świeckiej. Taka zresztą dla nich nie istnieje.

2. Jeden z najbardziej inteligentnych księży na Litwie (także ze zgromadzenia zakonnego marianów), o znanym antypolskim nastawieniu, objeżdżał niektóre parafie na Białorusi w 1988 roku i przekonywał duszpasterzy, iż język polski należy zastępować białoruskim. Niewiele mogli mu pewnie przeciwstawić młodzi księża tu pracujący, którzy całej złożoności problemu językowego w kościele oraz dalekosiężnych celów rusyfikacyjnych nie są w stanie w pełni ocenić.

3. Teza o nieobecności Polaków zaczyna być ostatnio rozciągana także na Ukrainę za Zbruczem, gdzie również ma uzasadniać wprowadzenie języka ukraińskiego do kościołów. Koryfeuszami jej są różni księża litewscy i unicycy, a ostatnio także łotewscy. Jadący na Litwę księża z Ukrainy innego niż czysto polskiego pochodzenia (np. łotewskie, łotewsko-polskie i polsko-ukraińskie) są usilnie przekonywani w środowiskach kościelnych o konieczności wprowadzania języka ukraińskiego. Klerycy polskiego pochodzenia z Ukrainy, studiujący w seminarium duchownym w Rydze, po powrocie z wakacji wypytywani są przez profesorów w jakim języku głosili kazania na Ukrainie. Jeśli odpowiedzą, że w polskim, otrzymują pouczenie, że powinni to czynić po ukraińsku. Kaznodzieja prymicyjny z Łotwy na prymicjach w Samborze (Lwowskie) w 1987 roku głosił z zapamiętaniem, że tu już Polski nigdy nie będzie i katolicy powinni zaprzestać patrzeć w kierunku tego kraju.

4. W ciągu kilkunastu ostatnich lat grupa młodych ludzi polskiego pochodzenia, nie mogących się dostać do seminarium duchownego w Kownie lub Rydze, trafiła do ukrytych środowisk unickich, przygotowujących do kapłaństwa i zapewniających święcenia kapłańskie przez ukrytego biskupa unickiego. Urobieni oni zostali w przekonaniu, iż są Ukraińcami, że na Białorusi i Ukrainie nie ma Polaków. Nie znając rzeczywistej historii tych ziem, młodzi księża opinie te przyjmują.

Wniosek jest zawsze ten sam: język polski w kościołach należy zastępować białoruskim i ukraińskim lub nawet rosyjskim.

Jak reagują na problem języka sami zainteresowani, to znaczy wierni? Była już o tym mowa co do Białorusi. Na Ukrainie sytuacja jest nieco inna. Gdy jakiś miejscowy ksiądz, będąc gościem w cudzej parafii, zapyta przed kazaniem: „w jakim języku mam do was mówić”? — kościół odpowiada jednym głosem: „po polsku”. Taka spontaniczna odpowiedź pada również w nowootwieranych parafiach za Zbruczem. Czasem bywa i dalszy ciąg dialogu: „ale wy przecież nie rozumiecie po polsku”. Odpowiedź: „my wszystko rozumiemy”. Lecz zdarzyło się też w jednym wypadku, że gdy pewien ksiądz średniego pokolenia, znany ludziom ze swego gorliwego, proukraińskiego nastawienia i głoszący w swej parafii kazania po ukraińsku, zapytał ludzi w innej parafii w jakim języku ma mówić odpowiedziano mu, że po ukraińsku. Ludzie nie chcieli sprawiać przykrości księdzu, znając jego nastawienie. Ich delikatność i wdzięczność wobec kapłanów jest tam tak wielka, że nie ośmielają się otwarcie protestować. Gdy mogą natomiast, to „głoszą nogami”. Gdy do parafii tego ostatniego kapłana przyjechał do pomocy w spowiedzi jeden z księży i rozeszło się, że spowiada on po polsku, do jego konfesjonału skierowali się wszyscy chcący się spowiadać, ku zaskoczeniu miejscowego duszpasterza, spowiadającego po ukraińsku. Chcieli się spowiadać u kapłana Polaka, choć niekoniecznie po polsku. Wiele można by przytoczyć podobnych wydarzeń, ukazujących interesujące prawidłowości rządzące odczuciami ludzi w tej dziedzinie.

Zauważyć trzeba wreszcie, że wprowadzenie do kazań języka ukraińskiego, w jednej z parafii, uzasadniane względami duszpasterskimi, nie zmieniło sytuacji na lepsze, to znaczy wcale nie zwiększyło frekwencji w kościele. Przeciwnie, rozrzało jedynie wielką część parafian.

Chciałbym być dobrze zrozumianym. Nie występuję przeciwko rozwijaniu białoruskiego czy ukraińskiego Kościoła rzymskokatolickiego (choć ten ostatni byłby czymś zupełnie nowym, jako że Ukraińcy byli i są albo prawosławnymi, albo unitami). Ale tego rodzaju dążenia nie mogą być realizowane metodami totalitarnymi i sowieckimi, to znaczy bez pytania o zgodę zainteresowanych. Metodami tym bardziej niegodnymi w Kościele, powołanym do obrony uciśnionych.

Od lat 70-ciu za przedwojenną granicą polską, a przed nią od lat 50-ciu dla Polaków tam żyjących nie ukazała się ani jedna pozycja religijna. Dlatego pewna część ludzi modli się wciąż z książek pisanych ręcznie. Tylko niektórzy, na terenach zachod-

nich, mają modlitewniki z Polski. Posiadają je natomiast, choć zapewne w niewystarczającej ilości, Litwini i Łotysze. To samo dotyczy literatury religijnej. Od wielu lat płyną do ZSSR z Zachodu szerokim strumieniem wydawnictwa w języku rosyjskim i zapotrzebowanie na nie jest nadal duże. Dotyczy to szczególnie Biblii. Ostatnio, za zgodą władz, do jednej z parafii polskich w Grodnie nadesłano z Rzymu, pod koniec ub. roku, 90 tys. (dziewięćdziesiąt tysięcy) egzemplarzy Pisma św. w języku rosyjskim jako „dar papieża Jana Pawła II”. Czy jest to tylko brak rozeznania urzędów watykańskich w rzeczywistych potrzebach Polaków na Białorusi, oczekujących pomocy religijnych w języku polskim, czy też fakt ten ma jakąś inną wymowę, trudno ustalić.

Nie można na koniec pominąć tu jeszcze jednej refleksji. Wprowadzenie języków białoruskiego, ukraińskiego i rosyjskiego do kościołów katolickich w ZSSR otwiera drogę do nieprzewidzianych interwencji władzy świeckiej, dążącej do podporządkowania sobie Kościoła. Na Ukrainie za Zbruczem nie tak dawno bywały wypadki, gdzie władza ta, dążąc do zamknięcia kościoła, kierowała katolików do miejscowej cerkwi. Ci obronili się argumentem, że nie umieją modlić się po rosyjsku i dlatego muszą mieć własny kościół. Dotychczas łacina i język polski stanowiły tamę dla tego rodzaju zakusów.

W interesie wszystkich autochtonicznych grup narodowych żyjących na terenie Łotwy, Litwy, Białorusi i Ukrainy leży porozumienie i przyjaźń, bo tylko to może być skuteczną tamą dla idącej szeroką falą rusyfikacji. Pomysły i inicjatywy, mające na celu usuwanie z Kościoła języka polskiego na tych ziemiach, będą prowadzić do konfliktów i podziałów zręcznie wygrywanych przez władze. Będą też przesuwać zamieszkałych tam Polaków w kierunku kultury rosyjskiej, co już jest widoczne np. na Litwie. Wilno i Lwów, nierozzerwalnie związane z historią i kulturą polską, nie leżą dziś w Polsce, lecz na Litwie i na Ukrainie. Nikt poważnie myślący po stronie polskiej nie myśli o zmianie tego stanu rzeczy, ale Polacy w tych krajach mają niepodważalne prawo do własnej kultury i języka.

Uwaga końcowa

Według bardzo prawdopodobnych pogłosek, jeszcze w roku bieżącym ma dojść do organizacji administracji kościelnej na Białorusi i Ukrainie. Obejmie ona zapewne zarówno tereny pozostające już przed drugą wojną światową w ZSSR, jak i zajęte przezeń później. Sposób, w jaki zostaną w niej potraktowane prawa ludności polskiej, jest kwestią najwyższej wagi. Na terenach, na których ścierają się interesy różnych grup narodowościowych,

grupa polska, choć liczebnie duża, licząca ponad trzy miliony, a więc znacznie więcej niż łotewska, czy litewska — jest mniej-szością. Będąc religijnie bardzo dynamiczną, jest na forum publicznym najsłabszą, a to ze względu na brak od tak dawna własnej reprezentacji w ZSSR.

Paweł LIDA

Warszawa, 25 stycznia 1989

Selekcja uchodźców w Kanadzie

Imigracja do Kanady była w zasadzie selektywna. Zmieniały się kryteria, ale nigdy — wbrew szeroko kolportowanym legendom — bramy nie były na oścież otwarte dla przybyszy z różnych krajów. Czynnikiem najczęściej regulującym imigrację był rynek pracy. Obok jednak wymienionego czynnika Kanada brała pod uwagę względy polityczne i humanitarne. Bodajże w każdym okresie. Naturalnie — albo niestety — również selektywnie. Za humanitaryzm imigracyjny Kanada uzyskała uznanie Międzynarodowego Komitetu d/s Uchodźców w Genewie.

W obecnym dziesięcioleciu Kanada (obok Stanów Zjednoczonych, Australii i Nowej Zelandii) przyjęła największą liczbę uchodźców, szczególnie z Azji, Afryki i Ameryki Łacińskiej. Definicja uchodźcy, znacznie zliberalizowana w 1980 roku przez ostatni rząd liberalny premiera Trudeau, poważnie zwiększyła napływ imigrantów, w tym też nieposiadających dostatecznych kwalifikacji na ten status. Proceder załatwiania spornych spraw — każdy przybysz ma prawo odwołania się, nie deportuje się automatycznie — spowodował stale narastającą liczbę spraw niezadowolonych. Liczba przybyszów ubiegających się o status uchodźcy wzrastała z miesiąca na miesiąc i osiągnęła pod koniec 1988 roku ponad 8.500. W liczbie tej jest sporo osób znajdujących się w Kanadzie od trzech lat: jedni przybyli w odwiedziny, drudzy służbowo lub naukowo, ale zgłosili się jako uchodźcy.

Ustawa imigracyjna, przepisy dotyczące uchodźców, nie są precyzyjne, posiadają luki co oczywiście umożliwia szeroką interpretację. Efektem tego jest ciągłe odraczanie każdej sprawy. Nowa kategoria emigracyjnych adwokatów oraz konsultantów prowadzi sprytną grę na przeciąganie. Jeden z takich adwokatów skazany został na grzywnę w wysokości \$c. 10.000 za występowanie w sprawach fałszywych uchodźców.

Z dniem 1 stycznia br. weszły w życie nowe przepisy odnośnie uchodźców oraz zarządzenia, zmierzające do likwidacji nagromadzonych 85.000 aplikacji o status uchodźcy.

Ilu wśród nich jest Polaków? Ścisłej liczby nie sposób ustalić, lecz dane odnośnie przybyłych w okresie od 1984 roku mogą stanowić bazę orientacyjną. I tak:

W 1984 roku przybyło do Kanady ogółem 88.239 imigrantów, w tym z *Polski* — 4.640. W tej liczbie jako uchodźców zakwalifikowano 2.064. Wizy na czasowy pobyt posiadało 1.087 Polaków, a ponadto 200 korzystało z wiz dla studiujących.

W 1985 roku przybyło 84.302 imigrantów, w tym z *Polski* — 3.617, a wśród nich 2.209 w kategorii uchodźców. Ponadto było 723 Polaków posiadających wizy na rok, 913 z wizami powyżej roku, na studia roczne — 180, na dłuższe — 168, a wreszcie wizy na czasowe odwiedziny rodzin — 1.138 osób.

W 1986 roku przybyło ogółem 99.219 imigrantów, w tym z *Polski* — 5.283, a do kategorii uchodźców zakwalifikowano 3.260. Prawo rocznego pobytu posiadało 857, a dłuższego 1.073. Wizy na studia jednoroczne posiadało 186 Polaków, a na dłuższy okres — 191. Wizy czasowe — odwiedziny rodzin — posiadało 1.371 osób.

Z powyższych oficjalnych danych wynika, iż w omawianym okresie, a więc w latach 1984-1986, przybyło legalnie 13.399 imigrantów z *Polski*, ale ponadto znajdowała się — i przybywała — rokrocznie poważna liczba na pobyt czasowy. Liczba polskich nie-imigrantów wynosiła w 1984 roku — 1.287, w 1985 roku — 3.122, a w 1986 roku — 3.678. Przybyło więc ogółem w wymienionych trzech latach 13.399 imigrantów z *Polski*, a 8.077 Polaków miało wizy czasowe i nie należało do kategorii imigrantów.

Wolno przyjąć, że przytlaczająca większość „nie-imigrantów” pozostała w Kanadzie i podjęła kroki celem uzyskania prawa stałego pobytu, niekoniecznie jako uchodźcy, jako że w obowiązującym ustawodawstwie sporo posiadało dostateczne kwalifikacje na emigranta.

Owi „nie-imigranci” z *Polski* — podobnie jak wszyscy inni — staną przed specjalnymi dwuosobowymi komisjami, które ustalą, czy aplikantom przyznać status uchodźcy, a więc i prawo pobytu, czy też odmówić i deportować do kraju pochodzenia lub kraju ostatniego pobytu.

Nie wydaje się, by aplikantom z *Polski* groziła deportacja, natomiast prawdopodobnie uzna się ich za „uchodźców gospodarczych” i otrzymają prawo stałego pobytu. Będzie to pośrednia forma amnestii dla nielegalnych imigrantów. Przepuszczalnie będzie to stosowane również w stosunku do innych, uznanych za „odpowiednich” imigrantów. Selekcja będzie obowiązywać nadal.

Gorsza, wręcz tragiczna jest sytuacja Polaków znajdujących się w obozach w Austrii, Włoszech, Grecji, Niemczech i starających się o przyjęcie do Kanady. Do redakcji wszystkich pism polonijnych, do Kongresu Polonii, różnych organizacji i stowarzyszeń napływają codziennie rozpaczliwe listy. Listy o pomoc wpływają również z *Polski* od kandydatów na emigrację. Organizacje polonijne, wiele osób, parafie szukają sponsorów, ale jest ich znacznie mniej aniżeli potrzebujących.

Kandydaci na emigrantów wyrażają gotowość podjęcia każdej pracy i zapewniają, że wywiążą się ze swoich zobowiązań. Przeważają ludzie młodzi, małżeństwa z małymi dziećmi. Wszyscy mają kwalifikacje zawodowe: elektrycy, kreślarze, mechanicy, technicy, pirotechnicy, spawacze, murarze, stolarze, pielęgniarki, inż. rolnictwa itp.

Przebywająca w obozie w RFN Elżbieta K. apeluje o sponsora: „Nie boję się żadnej pracy, żadnych warunków życia, dla mnie wystarczy, iż jestem w wolnym i praworządnym kraju, gdzie nie będę przez nikogo dyskryminowana z powodu mojej narodowości...”.

Z obozu w Grecji piszą: „Mamy obydwójce wykształcenie średnie. Mąż jest technikiem-mechanikiem, ja technikiem-ekonomistą. Sytuacja jaką mieliśmy w Polsce skłoniła nas do emigracji. Nie mieliśmy własnego mieszkania i w przyszłości również nie było takiej możliwości (za 20 lat)”. On ur. w 1959 roku, ona w 1963, dziecko — w 1985 roku.

Z RFN — on 29 lat, ona 27, dziecko — 4: „...nie posiadamy tutaj stałego pobytu, zwracam się o pomoc w emigracji do Kanady”.

Z RFN Marek Duda: „W związku z zaostrzającą się polityką rządu RFN wobec obcokrajowców grozi mi deportacja do Polski. W polonijnym środowisku widzę ostatnią możliwość ratunku”.

Przebywający w Londynie kandydat na emigrację do Kanady — lat 25, absolwent wydziału leśnego SGGW w Warszawie — pisze: „Po ukończeniu studiów zdecydowałem się wyemigrować z kraju. Złożyło się na to wiele powodów. Pierwszym decydującym jest ustrój polityczny obecnej Polski, który uniemożliwia realną poprawę warunków życia w kraju”.

Z obozu we Włoszech: „Warunki w obozie są ciężkie, mamy z żoną bardzo ciasny pokój, a łazienkę i kuchnię wspólną z dwiema innymi rodzinami. Jesteśmy tutaj od 10 września 1987 roku. Powiedziano nam, że jeżeli nie ma się sponsora prywatnego, to na wyjazd do Kanady trzeba będzie czekać nawet 5 lat”.

Ludzie młodzi, z dobrymi zawodami, zdrowi i gotowi do podjęcia każdej pracy czekają w obozach na wyjazd do legendarnej Kanady. Są to zapewne wysoce pożądanymi potencjalni imigranci, którym trzeba umożliwić przybycie.

Rząd zapowiedział podwyższenie kwoty imigrantów na 1989 rok o 25.000, to znaczy iż przyjmie w bież. roku około 160.000. W 1987 roku rząd ustalił kwotę 125.000, a przybyło 146.994 imigrantów. Proponowana więc obecnie wysokość nie jest ostateczna. Szybka i nękażąca akcja polonijnych organizacji na rzecz Polaków znajdujących się w obozach może być skuteczna. A jest bardzo celowa.

Benedykt HEYDENKORN

Trzeba by cały głąz usunąć...*

Nazywam się Jerzy Wyskiel, urodziłem się w Nowym Sączu w roku 1945. Moja rodzina to wsiadłenci ze wschodu.

Moja pierwsza praca: kontroler techniczny w spółdzielni im. 1-go maja. W roku 1976 kierowcy i mechanicy tej spółdzielni strajkowali przez jeden dzień. Tam podpadłem, musiałem zmienić pracę. Znalazłem ją w WPK, jako kierowca. Opinię ze spółdzielni wystawiono mi ciężką: „trudny we współzyciu”, „posiada wygórowane poglądy polityczne”... Po dwóch latach dobrej pracy awansowałem: dostałem autobus, wożący pracowników i dzieci na wycieczki.

W roku 1980 wozilem dzieci nad morze. Autobus się zepsuł i musiałem zjechać do naprawy w gdańskim WPK. Tam już wrzało. Przyjechałem do Nowego Sącza, opowiedziałem kolegom, potem wróciłem po dzieci. Na Wybrzeżu już był strajk. Wróciłem stamtąd i już na autobus nie wsiadałem, bo u nas zaczął się strajk komunikacji miejskiej 26 sierpnia. Trwał tylko pół dnia, bo przyjęto nasze postulaty — miały być rozpatrzone w ciągu 14-tu dni. Minęły dwa tygodnie i nie zostały rozpatrzone — dyrektor wyjechał wcześniej na wczasy, a kierownik działu służb pracowniczych schował postulaty do szuflady i nikt z dyrekcji tym się nie przejmował.

10 września o czwartej rano zażądaliśmy spotkania z woje-

* Portret działacza „Solidarności” z mniejszego ośrodka wojewódzkiego. Na podstawie rozmowy z Jerzym Wyskielom do druku przygotował Lech Dymarski.

wodą i prezydentem miasta. Wystąpiliśmy jako załoga — do tego czasu nie było komitetu strajkowego czy komisji zakładowej. Na spotkanie o 17-tej przybył wojewoda Bafia (brat ministra) i prezydent. Mieliśmy już komitet strajkowy, ale nie ujawniony, bo chcieliśmy usłyszeć najpierw, co nam powiedzą. Przeczytaliśmy postulaty, wśród nich dwa lokalne. Pierwszy: odejście wojewody. Zasłużył się tym, że w 1979 roku nie chciał dopuścić do spotkania Ojca Świętego w Nowym Targu, a później zwalczał z tego powodu pracowników, między innymi nas. Odczytałem mu głośno i dobitnie nasze żądanie, żeby ustąpił ze stanowiska. Nie był na to przygotowany. Zbladł, wstał, wypuścił długopis i wtedy ogłosiłem, że powstał komitet strajkowy. Dopóki nie ustąpi ze stanowiska, dopóty będzie strajk. Na drugi dzień przyjechały do żony osobistości z komitetu partyjnego; uświadamiali ją, że jeśli nie przerwiemy strajku, to mnie tam załatką. Bardzo byłem wdzięczny żonie, że nie przyjechała z tym do mnie i nie zwracała mi głowy. Strajk trwał. Żądaliśmy spotkania z komisją rządową. Po dwóch dniach przybył do nas pan Koszukur z KW PZPR. Wystąpił głośno, że ja jestem prowodyrem, anarchistą. Że jestem taki jak przywódca w Chile, a tu nie Chile ani Boliwia. Krzyczał, żeby natychmiast rozwiązać strajk, bo jak nie, to on to załatwi inaczej. Dołał oliwy do ognia. Ludzie się oburzyli i wyprosil go. Wtedy padło żądanie, żeby i tego pana zdjąć ze stanowiska — jako pierwszy sekretarz komitetu miejskiego był także przewodniczącym miejskiej rady narodowej. Po 4-ech dniach przyjechał minister Zubelewicz z komisją rządową. Osiągnęliśmy porozumienie na piśmie, że do 30 września będzie zdjęty ze stanowiska wojewoda Bafia. Podpisano także postulat oddania kasyn milicyjnych do użytku społecznego. Ale minął 30 września, a wojewody nie zdjęto; gazeta wręcz doniosła, że dostał jakieś odznaczenie. Na początku października przybył do nas — do Nowego Targu i Sącza — Lech Wałęsa.

Zaczeliśmy organizować w Nowym Sączu „Solidarność”. Złapałem kontakt z Krakowem. Pisaliśmy ręcznie ulotki i afisze na autobusy. Rozwiązaliśmy stare związki, powołałiśmy NSZZ „Solidarność”. W WPK wybrano mnie jednogłośnie przewodniczącym. Najpierw ośrodkiem „Solidarności” miejskiej było WPK, potem dostaliśmy lokal w Domu Kolejarza przy Zygmuntońskiej i tam zaczęliśmy się organizować z innymi zakładami pracy. Największy zakład to ZNTK, kolejarze — 6 tys. ludzi; inne po 600-700 pracowników. W WPK zatrudnionych było 600 ludzi i zostałem oddelegowany do pracy związkowej, więc nie jeździłem już autobusem. Prowadziłem działalność w przedsiębiorstwie i regionalną w zarządzie Małopolski. Byli tam wtedy Zawada, Hanzlik. Przed wyborami do zarządu regionu zaczęły wychodzić nieprzyjemne

sprawki Stanisława Zawady. Trudno się było zorientować, w którą stronę związek idzie. Po ostatecznej konstrukcji regionu mieliśmy ludzi w zarządzie, a w Nowym Sączu delegaturę na zasadzie jakby biura interwencyjnego. Ja pracowałem w zakładzie. Tak i u nas, do naszego zarządu dostali się ludzie z SB. Chcieli oderwać Nowy Sącz od MKZ Małopolski. To było na pewno inspirowane — w stanie wojennym okazało się, że ci ludzie pracowali dla SB.

W styczniu '81 roku „opanowaliśmy” ratusz w Nowym Sączu. Poszliśmy do prezydenta miasta z postulatami dotyczącymi nadużyć bonzów władz centralnych. Historie, których nie da się przedstawić w skrócie, bo zawarły się w 62-ch postulatach podpisanych z komisją rządową. Między innymi budowa domu czasowego KC dla 60-ciu osób na terenie Tatrzańskiego Parku Narodowego — przy ujściu Doliny Białego. Koszt budynku wynosił wtedy 150 mln zł — na 60 osób. Postulowaliśmy przeznaczenie obiektu dla ułomnych dzieci, które tłoczyły się w małym budyneczku niedaleko Nowego Sącza. Z kolei Urząd Rady Ministrów budował nielegalnie domy czasowe na Górze Parkowej w Krynicy. Także domki łowieckie w lasach budowane były w terenach chronionych. To wszystko było udokumentowane. Skończyło się porozumieniem z komisją rządową — do realizacji. Ale przedtem wyprowadzili nas z ratusza. Potem pojechali do Ustrzyk, a potem była Bydgoszcz.

To nie była okupacja, tak tego nie można nazwać. Mieliśmy te postulaty i poszliśmy do prezydenta, żeby rozmawiać. Ale on mówi: panowie, ja tego wam nie załatwię, nie jestem w stanie. To my na to, że musi kogoś ściągnąć z Warszawy. Zgodził się. Więc my na to, że chcemy czekać na tę komisję. To czekajcie... No, to my poczekamy tu u pana: Była tam duża sala kominkowa, nic się właściwie tam nie działo, kiedyś tam dawano śluby. Pozwolił nam tam wejść i czekać. Nie wiem, czy przypuszczał, że to będzie tak długo trwało. Było nas 50 osób — delegacje ze wszystkich zakładów. Czekaliśmy. Rozmawialiśmy z prezydentem, on nam mówił, co by chciał zrobić dla miasta, szczerze i przyjaźnie, w końcu powiedział, że jedzie na obiad, a jak wróci, to jeszcze pogadamy. O szóstej wrócił z prokuratorem i ten zażądał, żebyśmy opuścili salę. Pytamy: panie prezydencie, dlaczego? Prokurator na to, że wezwie milicję, bo musi. Siedzieliśmy tam 4 dni, nie zakłóciliśmy niczego, ratusz pracował. Prezydent powiedział: mnie nie przeszkadzacie, ale pan prokurator każe, żebyście opuścili. — Panie prokuratorze, prezydent mówi, że możemy tu być. — Bez dyskusji, 15 minut na opuszczenie, a jak nie, to użyjemy siły. — Za 15 minut ZOMO zablokowało cały Rynek, otoczyli ratusz i wprowadzili nas.

Dalej czekaliśmy na komisję rządową — w świetlicy kolejowej. W sumie jeszcze 4 dni. Po pertraktacjach zgodziliśmy się na wyłonienie delegacji do Warszawy, na wstępne rozmowy. Tam ustaliliśmy, że przyjedzie do nas komisja rządowa. Przyjechała i rozmowy trwały miesiąc (był Jagielski). Podpisaliśmy porozumienie. Wraz z kolegą weszliśmy do niestałej komisji mieszanej do przestrzegania tych porozumień, z ramienia Urzędu Wojewódzkiego było w niej kilka osób. Jeździliśmy, sprawdzaliśmy, czy porozumienia są realizowane. Ale oni podpisali nie po to, żeby realizować. Komisja spotykała się raz w miesiącu, były kłótnie o domki łowieckie; według naszego postulatu miały być przeznaczone dla zakładów pracy, dla dzieci — po 30-40 łózek. Domków nie oddano. Po 2-3 miesiącach doszliśmy do wniosku, że nasz udział w tej komisji jest niecelowy. Dostałem polecenie z ZR Małopolski, aby odbyć spotkanie z przewodniczącym WRN i ustalić ostatecznie, czy porozumienie będzie realizowane, czy nie. Przewodniczący WRN (jednocześnie I. sekretarz KW) mnie zgówniarzował. Że ja ubzdurałem sobie, żeby zabrać im takie rzeczy. Że nie dorosłem. Złożyłem oświadczenie, że rezygnuję z tej komisji, a jako świadek rozmowy podpisał się członek komisji z ramienia UW. Zrobiła się z tego afera: treść tego oświadczenia została rozpowszechniona, nawet w ulotkach, i WRN zdjęła I sekretarza z funkcji przewodniczącego WRN.

Cóż dalej? Masa roboty, człowiek rzadko był w domu. Z wydarzeń w skali krajowej: zjazd branży komunikacji miejskiej w Poznaniu no i Zjazd Krajowy — byłem delegatem.

13 grudnia, 15 minut po 24-tej weszli do domu, kajdany, żoną wywalili drzwi, bo chciała się ze mną pożegnać. Złapał ją jeden funkcjonariusz SB i rzucił w drzwi, obudziły się dzieci, krzyk, lament i tak dalej. Dwa samochody przyjechały po mnie, zawieźli na komendę. Tam zwieziono z Nowego Sącza 20 osób. Rano zawieźli do Zależa koło Rzeszowa. Tam siedziałem.

W więzieniu pękł mi wrzód w żołądku, o którym nie wiedziałem, może powstał w okresie „Solidarności”, człowiek nie dojadł, a podczas internowania to jedzenie wiadomo, jakie było. Jak to mi się stało, straciłem przytomność. Karetka więzienna miała mnie zawieźć do szpitala więziennego w Krakowie na Montelupich. Dowieźli mnie do Dębicy, gdzie dostałem krwotoku, znów straciłem przytomność, więc zostawili mnie tam w szpitalu. Sala 6-osobowa, łóżka puste, ja sam. Trzech funkcjonariuszy w mundurach mnie pilnowało na okrągło. Stamtąd udało mi się przesłać wiadomość do domu, gdzie jestem. Zona poszła po przepustkę do komendanta, żeby odwiedzić mnie w szpitalu, a ten ją

spytał, skąd wie, gdzie ja jestem. No i jak się dowiedzieli, że ja sobie koresponduję z żoną, to o trzeciej rano wpadli do sali trzech z SB i lekarz. Mieli ze sobą moje ubranie i oznajmili, że mnie zabierają. Lekarz nie wyraził zgody. Pęknięty wrzód, wykrwawienie, osłabienie itd. Na karcie informacyjnej, przy mnie, tak żebym widział, napisał: nie wyrażam zgody, żeby pacjent taki a taki był zabrany ze szpitala. Miałem podłączoną kroplówkę, ale lekarz powiedział, że żadnych działań nie podejmie, skoro nie wyraża zgody na zabranie pacjenta. No to jeden funkcjonariusz SB wyrwał mi tę kroplówkę, krew się połała, koszulą przykrył i zabrali mnie na posterunek w Dębicy. Tam przesłuchanie: jakim prawem żona wie, że ja leżę w szpitalu. Odpowiadam: nie wiem, skąd mam wiedzieć, przecież pilnowało mnie trzech funkcjonariuszy w mundurach...

I wtedy mnie skopali po nerkach, ci cywile. Potem wrzucili do celi. Rano zabrali już nie do szpitala, a z powrotem do Załęża. Tam leżałem jeszcze tydzień. Już nie mogłem przyjmować jedzenia. W celi siedział ze mną inż. Krasnodębski z Krakowa; codziennie pisał zażalenia do komendanta więzienia, że wymagam leczenia. Po tygodniu straciłem przytomność, tak, że ustała akcja serca. Ludzie alarm zrobili, walili miskami w drzwi. Wtedy przewieźli mnie do szpitala w Rzeszowie. Tam leżałem na intensywnej terapii, pilnowany jak poprzednio. Miałem zawał serca, związany z tym wrzodem i z tym wszystkim. Po 6-ciu tygodniach — to już był maj — było tak: więzienie nie chce mnie przyjąć, szpital chce mnie wypuścić, ale nie wolno do domu, bo komendant nie chce wystawić zwolnienia. Tydzień czekałem w szpitalu na decyzję. Wreszcie uzyskali poręczenie biskupa ordynariusza diecezji tarnowskiej, Ablewicza, że jak wyjdę na wolność, nie będę nic robił takiego, co by zagrażało porządkowi publicznemu. W połowie maja odwieźli mnie do domu.

*Pierwszy kontakt miałem z ludźmi w zakładzie pracy. Co zastałem w mieście? To małe miasto... Wydawało się, że coś jest, a tu nie ma nic. Ludzie byli zastraszeni. Trudno było kontakt złapać. Ciężko było zorganizować cokolwiek. Były ulotki, plakaty, ale nie miejscowe, z regionu Małopolska. Później amnestia, wyszła reszta kolegów. Nie na długo. Wpadli pod zarzutem robienia *Wiadomości Sądeckich*. Zbierałem pieniądze na adwokatów. Księża nie przyłączyli się do tej akcji. W żadnym kościele nie było ośrodka pomocy uwięzionym, pokrzywdzonym. Do mnie nie dotarła żadna pomoc z darów, ani odzież, ani żywność. W więzieniu w Załężu otrzymywaliśmy pomoc z darów. Do kościołów w Nowym Sączu też przychodziły, ale ja niczego nie dostałem. Proboszcz kościoła farnego mówił potem, że był prze-*

konany, że mam pomoc z kościółka, w którym żeśmy się zbierali, a proboszcz tego kościółka myślał, że stamtąd mam pomoc. No, tak myśleli.

Wtedy nie pracowałem, ale nie zwolniono mnie z pracy, bo po wyjściu ze szpitala dostałem zwolnienie lekarskie. Później lekarz zakładowy przedłużał mi je — na zawał i wrzody. Ostatecznie miałem zwolnienie do 4 września 1983 roku. 2 września w południe byłem w zakładzie, tam podpisałem, że 4-go przychodzę do pracy. Wróciłem do domu. Tam już stał samochód. Człowiek pyta, czy tu mieszka pan Wyskiel, bo on jest z milicji i ma mnie zabrać na przesłuchanie. Myślałem nawet, że to formalność, bo po wyjściu z internowania nie zgłosiłem się do nich, tak jak pouczano. Wszedł do mieszkania, mówię mu, że nigdzie nie pojadę, niech przysła wezwanie. No, jeśli nie — on mówi — to proszę przyjść za godz. 15-tą do komendy, bo inaczej i tak pana zabierzemy.

Coś mi się nie podobało w tej wizycie, 4-go mam iść do pracy, więc... mówię żonie: pójdę do lekarza, zrobię EKG, do więzienia mnie nie wezmą po zawale. No i wsiałem w autobus. Zorientowałem się, że jadą z tyłu, więc mówię do znajomych: gdyby z autobusu mnie zabrali, to powiedzcie żonie. Wysiadłem, uszedłem kawałek i zabrali mnie do tego samochodu, na tylne siedzenie. Od razu dostałem w głowę, straciłem przytomność. Obudziłem się w piwnicy, prawdopodobnie w takim dworku, co teraz zomowcy mają za szkołkę, czy coś podobnego. Tam chcieli mnie przesłuchać: co kto robi, kto mszę za ojczyznę organizuje. Ja im nic nie mówiłem, to mnie lali po głbie i pałami po plecach. Cały czas światło się świeciło, nie wiedziałem, która jest godzina. Jeden wyszedł, wrócił, mówi: no dobrze, nie chcesz mówić — jedziemy na konfrontację, zobaczymy, czy nie masz z tym nic wspólnego. Na zewnątrz ciemno. Wsadzili mnie do samochodu, głowę między nogi. Wyrzucili mnie kopniakiem z jadącego samochodu. Przekoziółkowałem i... prawie taksówkarzowi pod koła. Szczęściem wyhamował i zabrał mnie. Wyglądałem źle: koszula zdarta, skóra zdarta, odzież pokrwawiona. Zawiózł mnie do szpitala — tamci już czekali. Zrobiono mi prześwietlenie i okazało się, że mam pękniętą rękę w łokciu, dwa kręgi w szyi i miednicę. Plecy miałem jak pralka ręczna, guzy krwawiły. I wstrząśnienie mózgu, wymiotowałem bez przerwy. Lekarz mówi, że muszę zostać w szpitalu, a ubek na to, że oni mnie zabierają do milicyjnego szpitala. O, nie, mówię do lekarza: proszę mnie zawieźć do domu, w domu się będę leczył. On wydał mi kartę informacyjną, tam były opisane te schorzenia. Napisał, że pacjent poinformowany o zagrożeniu życia nie chce zostać w szpitalu.

Zona złożyła skargę w prokuraturze. Przyjechał do mnie zastępca prokuratora wojewódzkiego i lekarz przysięgły na oględziny. Zdjęcia ze szpitala zginęły, inna karta informacyjna: powierzchowne obrażenia, otarcie naskórka. Więc pokazuję prokuratorowi oryginał karty informacyjnej. A on mówi, że takiej nie ma i chciałby zabrać. O, nie, kartą zostanie, jak się zrobi ksero, to się wam dostarczy. On na to, że nie wiadomo jak było i że sprawa będzie prowadzona. I była prowadzona tak, że ja występowałem nie jako oskarżyciel, ale prawie jak oskarżony. W prokuraturze straszyle mnie i kierowali na milicję na przesłuchania. Jak to, mówię im, milicja mnie pobiła, na milicję się skarżę i milicja ma mnie w tej sprawie przesłuchiwać? Nie, tylko w prokuraturze złożę zeznania. Sprawę prowadził adwokat Rozmarynowicz z Krakowa. Tu, w Nowym Sączu nikt nie chciał tego wziąć, bali się. Po trzech miesiącach sprawa została umorzona na skutek „nieznanych sprawców”. A bił mnie ten, co był w domu, legitymował się, także kierowca. Mecenas zażądał, żeby wzięli rejestr samochodów SB, żeby zdjęcia pokazali, bo ja rozpoznam, kto to był. Absolutnie na to nie wyrazili zgody, bo tajemnica, nie wolno ujawniać. Prokuratura rejonowa umorzyła sprawę. Złożyliśmy odwołanie. Prokurator wojewódzki umorzył. Dlatego, że nie chciałem składać zeznań na milicji i jeszcze napisał w orzeczeniu, że jako działacz „Solidarności” byłem przeszkolony w tym zakresie i dlatego uniemożliwiłem im prowadzenie śledztwa. Żadnych dowodów, świadków nie dopuszczono, chociaż byli świadkowie, na przykład ten taksówkarz.

Oczywiście, 4 września nie wróciłem do pracy. Dostałem rentę II grupy inwalidzkiej na rok. Po roku przyszedłem do zakładu pracy. Tam funkcjonariusz SB — opiekun zakładu — zajął się mną zaraz, w taki sposób, że zabrał mnie z korytarza do dyrektora i tam pyta, po co przyszedłem do zakładu. Odpowiadam, że jestem pracownikiem, mam legitymację służbową, wolno mi tu być. A on do mnie — przez „ty”: nie będziesz tu przychodził, a jak przyjdiesz, to tak cię załatwimy, że nie wstaniesz. Byli przy tym dyrektor i sekretarka. Ubek złapał mnie za ramiona i rzucił w drzwi. Uderzyłem w nie nosem, bom się nie spodziewał, że w gabinecie dyrektora będę zaatakowany. Złożyłem skargę do Prokuratury Generalnej. Prokuratura Generalna skierowała sprawę do Wojewódzkiej, Prokuratura Wojewódzka odesłała do milicji i komendant przysłał mi pismo przepraszające, że tak długo musiałem czekać na odpowiedź, ale sprawa była wnikliwie badana, co napotykało na trudności ze względu na niemożność odnalezienia świadków zdarzenia, niemniej funkcjonariusz został o czymś tam poinformowany przez przełożonych. Skutek

jakiś był, bo usunęli tego ubeka z zakładu i dali innego. A ja w konsekwencji tego zdarzenia dostałem od dyrektora na piśmie zakaz wstępu do zakładu pracy. Podana była tam motywacja, że jak ja przychodzę do zakładu, to rozprasza się dyscyplina pracy. Od tego odwoływałem się nawet do sejmu, ale nie otrzymałem żadnej odpowiedzi, jak zwykle.

Potem spotkałem znajomego z tej nieistniejącej komisji z czasów legalnej „Solidarności”, który awansował na przewodniczącego wojewódzkiego PRON-u. Zaprosił mnie na herbatę, ja się wzbraniałem, że ktoś zobaczy i narobię mi kłopotów. Ale on mówi: nic to, opowiesz mi, jak to było z tym funkcjonariuszem w zakładzie, ja poruszę twoją sprawę, teraz PRON wszystko może. Opowiedziałem mu to i tamto, jak mnie załatwili, kto to był i tak dalej. Ledwo wróciłem do domu, przyjechała milicja i zabrała mnie na SB... Tak się skończyło moje spotkanie z przewodniczącym PRON. Na SB przesłuchanie: czego szukałem w PRON, co mówiłem itd. Jak mnie wypuścili po 24 godzinach, to zamiast do domu poszedłem do PRON-u i mówię do tamtego: sukinsynu, toś ty taki jest? Tu mi obiecujesz, że PRON załatwi, a mnie zaraz milicja aresztuje. Ach, mówi, ja nie wiedziałem, że oni zaraz tak postąpią, ja chciałem jak najlepiej. Ale już z nim więcej nie gadałem, za to puściliśmy ulotki z opisem całej sprawy. I tak wyglądała moja przygoda ze stanem wojennym.

Później były utarczki, już drobniejsze. W roku 1988 zachciało się władzy zmienić herb Nowego Sącza. W nocy poszedłem do zakładu i zebrałem podpisy załogi — jeśli zmienią herb, to autobusy z innym herbem nie wyjadą. Podpisali wszyscy, bo oni wożą ten herb. Petycję złożyliśmy na sesję Miejskiej Rady Narodowej, radni mieli to odczytane. Herb nasz zawiera wizerunek świętej Małgorzaty i władze twierdziły, że kiedy wręczają miniaturowy tego herbu przedstawicielom zaprzyjaźnionego miasta Uljanowska, to powstaje dwuznaczna sytuacja. Władze zamierzały zmienić herb na stary, austriacki. Poszliśmy na sesję WRN, gdzie ten herb miał być przegłosowany. Ja z góry patrzyłem na radnych, kto się wychyli, oni patrzyli na mnie. Wszyscy byli za zachowaniem starego herbu. Nikt się nawet nie wstrzymał.

Ale ten dom w Zakopanem, u Doliny Białego, dalej spełnia te funkcje, do których był przeznaczony. W tym budynku jest nawet kabel do bezpośrednich rozmów z Moskwą. Zresztą wszystkie te budynki i domki, które według naszych postulatów i zawartego porozumienia miały być przeznaczone na cele społeczne — pełnią pierwotną funkcję.

Teraz jestem na rencie: 17.200 zł. Czworo dzieci, troje w

szkole. W tym roku córka wyszła za mąż. Żona, nauczycielka, przed „Solidarnością” i za „Solidarności” była zastępcą dyrektora szkoły. Później została zdjęta ze stanowiska. Miałem kłopot z synem. Chodzi do szkoły zawodowej. Wracali wieczorem z kolegą, zaczęli ich patrol milicyjny. Spisali nazwisko z legitymacji i za dwa dni był wniosek z milicji o wyrzucenie ze szkoły za wybryki chuligańskie. Jest prymusem w szkole. Dyrektor zażądał konfrontacji z Radą Pedagogiczną. Milicjanci nie przyszli i sprawa upadła.

Przed 13 grudnia nie chorowałem. Teraz mam II grupę i przeciwskazanie każdej pracy. Po tym uderzeniu w głowę często tracę przytomność. Nerwę mam odbitą, w grudniu '87 roku leżałem w szpitalu w Warszawie z utratą przytomności. No, nie ma zdrowia, zdrowie jest zabrane. Ale ważne, że jakoś do przodu. Zdrowie psychiczne nienaruszone. Teraz role się zmieniły i kole-dzy z zakładu przychodzą do mnie.

Na wiosnę 1988 roku załoga WPK zagroziła strajkiem. Racje pracowników były tak ewidentne, że sprawa trafiła na łamy partyjnej Gazety Krakowskiej. Ale przedtem odbyłem z dyrektorem rozmowę. Chciałem mu pomóc. On wiedział, że kieruję całą tą sprawą. Wyjaśniłem mu powody, przyznał mi rację. Zaproponowałem, że jeśli chce, to pójdę do kierowców, powiem, że dostają to i to, na resztę spisz się porozumienie, a inne postulaty i tak nie będą przyjęte — bo wróciły sprawy z 1980 roku. Powiedział mi, że to niemożliwe, bo SB nie pozwoli. Sprowadził mnie na dół i skończyła się rozmowa. „Za to, że ja z tobą rozmawiam, to już mnie mogą wywalić”. Ja mu na to: zostawią pana jeszcze miesiąc, aż sprawa ucichnie, bo gdyby teraz pana zdjęli, to kogo by znaleźli głupiego, żeby na miesiąc został dyrektorem z wizją usunięcia jako kozioł ofiarny. Dyrektor mówi: nie wywał, bo pójdę na rentę. Ja: no to obydwaj będziemy rencistami, z tą różnicą, że mnie władza ludowa tak urządziła, że nie mogę pracować, a pan się podlizywał tej władzy, a i tak pana wykopią, chociaż pan jeszcze chce i może pracować.

Nowy Sącz to małe miasto. Kiedyś było ładne, czyste, aż Gierek zrobił z niego stolicę województwa i raptownie wzrosła liczba mieszkańców. Najeżdżało się urzędników, funkcjonariuszy: Urząd Wojewódzki, Prokuratura Wojewódzka, Komenda Wojewódzka i tak dalej. Trzeba było dla nich budować bloki. Poza tym nic się nie zmieniło... U nas są małe zakłady pracy. Większość chłoporobotników, ludzie bardzo się boją. W Nowym Sączu na każde miejsce pracy czeka 20-tu ludzi. Mamy na przykład nadmiar kierowców. Dyrekcji nie przeszkadza to zwiolnić dwudziestu, bo przyjdzie na to miejsce czterdziestu.

Na pamiątkę tamtych dni — strajku z '80-go roku — mamy tablicę na głazie. Oderwać tego nie można. Trzeba by cały głaz usunąć.

Jerzy WYSKIEL

Nowy Sącz, 1988 r.

Rolnictwo - zagrożenia i szanse

List Wincentego Kłysia ze wsi lubelskiej (*Kultura*, listopad 1988) brzmi jak dzwon alarmowy. Są powody, żeby właśnie teraz i w alarmistycznym tonie mówić o sprawach rolnictwa. Jednak określenia „wieś i rolnictwo polskie giną” i „mam nadzieję, że też będziecie alarmowali o tragedii polskiego rolnictwa” są na tyle pojemne, że mogą sugerować wszystkie nieszczęścia, także te, od których wieś jest wolna.

Rolnicy przeżyli dwa krytyczne okresy po wojnie: w latach stalinowskiej kolektywizacji (1948-1956) oraz w latach gierkowskiego przyspieszenia przebudowy rolnictwa (1974-1980).

Przez lata 1981-1984 wieś odrabiała straty z lat gierkowskich. Rolnicy odzyskiwali odebraną im wcześniej ziemię. Chłopski stan posiadania zwiększył się z 69,3 % w 1980 do 76,4 % ziemi uprawnej w 1984 roku. Ustał gwałtowny odpływ młodych ludzi do miast.

Jeżeli chodzi o zatrudnionych w rolnictwie, to sytuacja nie jest dziś jednakowa w całym kraju i nie jest wyłącznie zła. Rolnictwem jako jedynym zawodem zajmuje się 19 % ludności w wieku zdolnym do pracy, ale jako drugim zawodem i dorywczo para się rolnictwem cała armia dwuzawodowa chłopów-robotników i innych krzyżówek międz Zawodowych.

W niezależnym raporcie o stanie wsi i rolnictwa, na który powołuje się Wincenty Kłysz, jest mowa o gwałtownym wzroście mini-gospodarstw rolnych, nie ujmowanych przez statystyki, które obejmują gospodarstwa o powierzchni ponad pół hektara ziemi. Mówi się w nim też o wzroście różnorodnych powiązań ludzi z miastami z rolnictwem. Zjawisko takie pojawia się zawsze w okresie kłopotów ze zdobyciem żywności i pozwala umawiać stałych pomocników na okresy zbiorów albo załatwiać brakujące usługi. Trudno określić, jak wielu ludzi przykłada dziś ręce do prac rolniczych i do utrzymania w ruchu maszyn, ale wszystko wskazuje na to, że nie mniej niż przed kryzysem.

Zacofanie techniczne rolnictwa pozostaje duże. Z 1.300 używanych w Europie maszyn i urządzeń do prac rolniczych w Polsce produkuje się około 700, i to dosyć średniej jakości. Nasz rolnik

więcej pracy wykonuje ręcznie, mimo że na naprawy maszyn musi wydawać więcej pieniędzy i tracić więcej czasu niż rolnik na Zachodzie. Ale i tu są pewne zmiany na lepsze.

Kiedy kończyła swoje rządy ekipa Gierka, po polach polskich jeździło 619 tys. traktorów, z czego 378 tys. stanowiło własność chłopską. Dziś w rolnictwie pracuje 890 tys. traktorów, z czego 805 tys. u chłopów, jako ich własność. Co prawda większość traktorów chłopskich to maszyny stare, odkupione na przetargach od przedsiębiorstw rolniczych państwowych i spółdzielczych jako sprzęt zużyty, ale te traktory są, pracują i pozwalają uprawić pola lepiej, niż to można było robić zaprzęgami konnymi.

Dzięki traktorom udało się uzyskać w rolnictwie przez lata 1986 i 1987 plony powyżej 30 kwintali zbóż z hektara.

To nadal mało w porównaniu z rolnictwem Zachodu, ale już nie tak źle, jeżeli się weźmie pod uwagę jakość ziemi uprawnej w Polsce. Nie mamy ukraińskich czarnoziemów. Gospodarzynie na glebach średnich (46,5 %) i na glebach marnych (48,8 %). Tego, co najlepsze, ziem I i II klasy, mamy zaledwie 3,7 %. Słownie: trzy i siedem dziesiątych procenta. Te trzy tony ziarna ze statystycznego hektara to plon, o jakim od dziesięcioleci opowiadali instruktorzy na szkoleniach partyjnych jako o progu dobrobytu i samowystarczalności żywnościowej. Co więcej, praktycznie ową samowystarczalność mamy, bo Polska więcej uzyskuje ze sprzedaży produktów pochodzenia rolniczego niż wydaje na zakup identycznych produktów za granicą. Tej zimy, po marnych zbiorach, może to wyglądać inaczej, ale szczegółów nikt nie zna. Według poprzedniego ministra, Stanisława Zięby, plony były w 1988 roku o kilka procent niższe niż przed rokiem. Według rolników były niższe o 25 %. Nowy minister rolnictwa, Kazimierz Olesiak, kazał w listopadzie przeprowadzić rzetelny szacunek, jakąś wiarygodną ocenę sytuacji, aby według niej ustawić zamówienia handlu zagranicznego.

Czyli, podsumowując, mamy ziemię w chłopskich rękach. Mamy ludzi chętnych do pracy. Są najprostsze maszyny uprawowe. To jest kapitał.

A teraz braki i zagrożenia. Najpierw niekorzystny układ finansowy. Dziś nie można prowadzić gospodarstwa bez gotówki rządu paruset tysięcy złotych w banku na bieżące potrzeby. Wystarczy, że zepsuje się traktor i jednocześnie udławi się jedna krowa mleczna. Gospodarstwo traci natychmiast ćwierć miliona na naprawę maszyny i zakup nowego zwierzęcia. Takiego rządu sumami trzeba obracać dziś w gospodarstwie, gdy godzina pracy kombajnu kosztuje 14.000 zł, a wał korbowy do silnika ponad sto tysięcy.

Żeby nimi obracać, trzeba je mieć. I są rolnicy, którzy pieniądze mają, ale to nie tak liczna grupa, jak głosi legenda miejska. Korzystny układ cen rolnictwo miało, jakby na wynagrodzenie późnych lat gierkowskich, w roku 1980 i 1981. Ale już od roku 1983 rolnicy zaczęli zarabiać proporcjonalnie mniej niż ludzie zatrudnieni w zawodach pozarolniczych. Na początku tego roku różnica między dochodami wsi i miasta urosła do 16 punk-

tów i przez cały rok bieżący, mimo trzykrotnych podwyżek cen płaconych rolnikom, nie udało się zatrzymać spadku rolniczych dochodów.

Stąd dwa zjawiska. Po pierwsze, nakłady inwestycyjne w rolnictwie chłopskim, które na początku lat osiemdziesiątych rosły, w 1985 roku stanęły w miejscu, a w tym roku się cofnęły. Po drugie, przy stałym wzroście kosztów prowadzenia gospodarstw dla wielu rolników uprawa ziemi przestaje być opłacalna. Zaczęła się powolny ruch wyzbywania się ziemi. Rolnicy rezygnują z dzierżaw marniejszych gruntów, ale też zaczynają się wyzbywać ziemi własnej. W ogólnym obrocie gruntami ubytek własności chłopskiej był niewielki, wyniósł w zeszłym roku 400 tys. hektarów, ale zjawisko się nasila. Dochodzą głosy z kraju, że przyszłoroczny spis rolny może już odnotować ubytek setek tysięcy hektarów. I wreszcie zjawisko trzecie, które kazało redaktorowi Kuśmierkowi pokazywać w reportażach wymarłe wsie.

Pas ziemi na wschodzie kraju, od Suwalszczyzny na północy po Bieszczady na południu, to grunty bez melioracji, zawodne w uprawie. To wsie z marnymi drogami dojazdowymi, okolice z małymi miastami, z rzadką siecią kolei i szos asfaltowych. Uciekły stąd najpierw młode dziewczyny. Są rzeczy, na które dziś młoda kobieta godzić się dobrowolnie nie chce. Chciałaby żyć w takim miejscu, gdzie można choćby przywołać pogotowie w razie nieszczęścia. Tam gdzie nie ma drogi dojazdowej i telefonu nawet tak skromna usługa jest nieosiągalna. Choć żyjemy w Europie, jeszcze 7 tysięcy wiosek nie ma telefonów. Zabór rosyjski i austriacki jak były Polską B, tak nią pozostały. Tam ciągle trwa wiek dziewiętnasty. Jeżeli więc młodzież miejska robi co może, żeby uciec do nowoczesności, na Zachód, to dziewczyny wiejskie ciągną przynajmniej do czegoś odpowiadającego naszemu wiekowi, do miast, albo do wsi, ale takich z autobusem, szkołą i sklepem.

Za dziewczynami odchodzą młodzi mężczyźni. W województwie białostockim są całe wsie zamieszkałe przez dziadków na wymarcie. Zdarzają się takie wsie wzdłuż całej wschodniej granicy. I znowu: jest to nieszczęście, ale jest i szansa. Bo oto w łudnej Europie pojawiają się wolne połacie ziemi, do urządzenia na nowo, do zapewnienia osadnikami. Mądry gospodarz, mądre państwo zdobyłoby się na to, na co nie mogą się zdobyć pojedynczy ludzie: na meliorację tych ziem, na budowę dróg, na kredyty osadnicze. U nas — buduje się PGR-y. I to jest właśnie to, co przywołuje na usta słowo „tragedia”. Bo dopóki o rolnictwie decyduje ta władza, zawsze można się spodziewać, że wyciągnię z szuflady sponiewierany pomysł kolektywizacji czy pegeeryzacji i będzie go dużym kosztem realizować. Tworzy się np. tajemniczego kolosa o nazwie „Iglopol” na południowym wschodzie kraju. Firma ta ma pieniądze i kupuje wszystko: ziemię, stare pałacyki, zakłady przetwórcze. Buduje fabryki, magazyny i bazy otoczone murami. Nikt nie wie, skąd te pieniądze, skąd ten rozmach i co się za tymi murami dzieje.

Ale wracając do pustych wsi. Nasuwają one myśl o kimś,

dla kogo mogłyby być przedmiotem tęsknoty i pożądania. O rodakach rozrzuconych po Rosji, którym marzy się, żeby chociaż umrzeć na swojej ziemi i mieć katolicki pogrzeb. Popatrzmy, skoro migracja Polaków układa się tak, że wszyscy dążą w jakiś sposób na zachód, to tworzy się puste miejsce, które jakby czekało na tych przybyszów ze wschodu. Nie znam prawa międzynarodowego, ale muszą istnieć jakieś sposoby przywrócenia polskiego obywatelstwa tym, którym je w Rosji odebrano. Po domach wiejskich wspomina się tych, co zostali na wschodzie, ze świadomością, że ci którzy przetrwali jako polskie skupiska, to wsie, to rolnicy.

Tu dochodzimy do chłopskich ruchów niezależnych. Autor listu napisał, że nie są one liczne i organizują się tylko w niektórych regionach, jak w Rzeszowskiem. To prawda, że nie są te niezależne organizacje wielkie. Ale nie dlatego, żeby nie miały zwolenników. Rolników, którzy zdają sobie sprawę z tego, że trzeba tworzyć własne, niezależne organizacje gospodarcze, polityczne i związkowe wcale dziś nie brak. Wystarczy przypatrzeć się dożynkowym pochodom na Jasnej Górze. Zorganizowane po raz pierwszy w 1982 roku dożynki kościelne nie tylko udały się nadszwyczajnie, ale od razu stały się tradycją. Pod transparentami z solidarnościowym liternictwem idą tysiące rolników, województwo po województwie. Choć milicja sprawdza autokary po drodze i cofa grupy wyglądające na zorganizowane, choć patrole na dworcach zabierają transparenty i kierują chłopów przed kolegia, ludzie czują potrzebę tego spotykania się i wspólnej naraady. Kilkuset tysięczne tłumy rolników na dożynkach jasnogórskich to przysły elektorat partii chłopskiej i chłopskich związków zawodowych. I przecież gdyby nie było ich więcej niż zjeżdża na dożynki, nie jest to grupa mała.

Zwolennicy niezależnej działalności są, ale nie ma jasności, jak działać. Co robić. Nie ma przecież właściwie żadnej polityki rolnej w tym kraju. Przez ponad czterdzieści lat nie dopracował się jej rząd razem ze swoimi instytucjami naukowymi. Nie widać pomysłów na życie wsi w obrębie oficjalnych instytucji. Jeżeli jest jakieś środowisko, które na pół po omacku szuka programu dla polskiej wsi, to są to właśnie owe różnorakie formujące się grupki niezależne, te seminaria naukowe przy duszpasterstwach, załazki uniwersytetów ludowych, mozołnie tworzone spółki gospodarcze. To wszystko jest w trakcie tworzenia. Cele poszczególnych grup nie zawsze są jasne, ale coraz wyraźniej wynika z nich wspólna świadomość, że kończy się era rolnictwa — producenta surowców rolniczych. Że trzeba stworzyć rolnictwo produkujące gotowe produkty spożywcze. Gospodarstwa mleczne powinny tworzyć spółki i sprzedawać gotowe sery. Wsie na nieurodzajnych piaskach, gdzie tylko kartofle i żyto, powinny sprzedawać frytki i żytnie pieczywo. To pozwoli przejąć zyski zabierane przez państwo, da szanse innego ustawienia pracy i życia domowego.

Od paru już lat rolnicy próbują tworzyć spółki handlowe i produkcyjne. Także usługowe. Do tej pory jest to prawie nie-

możliwe, obwarowane wieloma zastrzeżeniami. Na spotkaniach niezależnych zachęca się do nieustawiania w próbach: „Bierzmy, chłopci, gospodarkę w swoje ręce, bo wieś zmarnieje”.

Wydaje się, że zbieżna z chłopskimi usiłowaniami jest najnowszą nowością na rządowej scenie: polityka demonopolizacji rynku rolnego. W zapowiedziach słychać o zniesieniu wszelkich ograniczeń handlu i przetwórstwa żywności. Ale szczegóły nie są znane, choć swoboda miała zapanować już od stycznia. Trudno na razie oceniać coś, czego jeszcze nie ma.

Pewne jest tylko, że rolnicy mają świadomość kolejnego kryzysu rolnictwa. Mają wolę przerwania go wcześniej, niż to było do tej pory, kiedy ulgi dla rolnictwa przychodziły po robotniczych buntach.

Przedstawiciele Solidarności rolniczej są przygotowani do rozmów z rządem. Mają swój udział w tworzeniu Warszawskiego Towarzystwa Gospodarczego. Organizują pierwsze praktyki zagraniczne.

Ognisk niezależnej działalności jest kilkadziesiąt i obrastają one w ludzi. Coraz bliższa jest rolnikom myśl, aby odtworzyć autentyczną partię chłopską i próbować wprowadzić swoich posłów do sejmu.

O potrzebie wchodzenia w różnorakie struktury oficjalne sporo mówiono przed czerwcowymi wyborami do rad narodowych. Finał majowych strajków zniechęcił większość skłonnych do takiego eksperymentu, jak współpraca z władzą. Na próbę mogła sobie pozwolić właściwie jedna tylko okolica, gmina Fajstławice na Lubelszczyźnie, w której rolnik Stanisław Wroński wytoczył proces komisji fałszującej wyniki w czasie ostatnich wyborów do sejmu — i proces ten wygrał. Ta sama gmina uparcie protestowała przeciw wymiarowi składki emerytalnej i nie ugięła się, mimo serii nocnych podpałek gospodarstw tych, którzy upierali się przy proteście. Ta gmina organizuje też uniwersytet ludowy. Wiadomo, że jeżeli w Fajstławicach coś robią, to ani ze strachu przed władzą, ani z zautooczenia władzą.

Janusz Stępnia, członek Krajowej Rady Rolników „Solidarności”, czyli członek władz nielegalnego związku, kandydował w wyborach. Został wybrany, jest przewodniczącym fajstławickiej rady gminnej. Na pierwszym posiedzeniu zaproponował: wiecie, ja jestem wierzący, chętnie dałbym na mszę w intencji, żeby się nam wszystkim, partyjnym i bezpartyjnym, dobrze pracowało. Nie wiadomo, jak tam było z pójściem do kościoła, ale danie na mszę zostało oficjalnie przegłosowane w urzędzie. Chłopi mieli uciechę, jakby patrzyli na kąpanie diabła w misie ze święconą wodą.

W całym ruchu chłopskim największe nadzieje budzi to, że stara się być pragmatyczny. Chce diabła komunizmu podchodzić ze wszystkich stron i na różne sposoby. Próbuje wykrystalizować jakąś prawdziwą politykę rolną i społeczną.

ARCHIWUM WSCHODNIE

Od listopada 1987 roku działa w Polsce nieformalna zorganizowana grupa pod nazwą Archiwum Wschodnie.

Celem tej grupy jest uzupełnienie obrazu historii Polaki historią osobistych losów i doświadczeń Polaków, zwłaszcza z terenów obecnie włączonych do ZSSR, którzy przeżyli zesłania, łagry i więzienia sowieckie w latach 1939-1960. W Polsce żyje rzesza takich ludzi, którzy dotychczas milczeli (z wielu względów), a obecnie decydują się przerwać milczenie. Wydarzenia lat 80-tych, zwalczanie strachu, a być może również autentyczne zainteresowanie ich losami ze strony młodszych pokoleń — skłania ich do przekazania świadectw o sobie i utrwalenia pamięci o towarzyszach, którzy tam zginęli. Wiele wspomnień opisuje dalsze losy tych ludzi po powrocie do kraju i ich życie w warunkach systemu stalinowskiego.

Praca Archiwum Wschodniego (grupującego obecnie ok. 70 osób) koncentruje się głównie na nagrywaniu relacji ustnych — niepowtarzalnych dokumentów, zachowujących głos osób relacjonujących, który często więcej wyraża niż opis faktów i przeżyć.

W ciągu roku pracy Archiwum Wschodnie nagrało przeszło 150 relacji, trwających łącznie około 500 godzin (odpowiednik 4 tys. stron maszynopisu). W ostatnich miesiącach liczba osób, które *chcą mówić* znacznie wzrosła, w związku z czym — oprócz ośrodków w Warszawie i Wrocławiu — trzeba było utworzyć kilka filii w mniejszych miastach. Nagrania dźwiękowe mają nie tylko wartość historyczną, ale mogą również służyć jako cenny materiał dla radiooperatorów, filmowców, psychologów, socjologów.

Równolegle do zbioru fonograficznego powstaje kolekcja różnego typu dokumentów pisanych (pamiętniki, listy, wspomnienia) oraz kolekcja ikonograficzna (fotografie, rysunki, ubrania i pamiątki obozowe, dokumenty itp.) — obecnie około 1.000 eksponatów.

Opracowane przez pracujących w Archiwum Wschodnim historyków i innych specjalistów materiały będą publikowane w specjalnej niezależnej serii wydawniczej pt. Biblioteka Wschodnia. Pierwszy tom z tej serii jest już w druku, następane są w opracowaniu redakcyjnym. Biblioteka Wschodnia będzie obejmowała syntetycznie opracowane losy Polaków (obywateli polskich różnych narodowości) w poszczególnych okresach (np. 1942-1945, 1945-1955), „monografie” większych okręgów obozowych i miejsc zesłań (np. Workuta, Borowicze, Kołyma, Kazachstan) lub pojedynczych relacji i pamiętników — bardziej szczegółowych i interesujących.

GROBY NA SUWALSZCZYŹNIE

KOMUNIKAT KOMITETU POSZUKIWAŃ MIESZKAŃCÓW
SUWALSZCZYŹNY ZAGINIONYCH W LIPCU 1945 ROKU

Po wykryciu latem ub. roku tajemniczego grobu masowego między Gibami a Rygołem, dzięki relacjom ludności miejscowej, wyszło na jaw, że w lipcu 1945 roku funkcjonariusze NKWD wywieźli z terenu obecnej Suwalszczyzny setki, a może tysiące ludzi (do dziś nie wiadomo jeszcze ilu), którzy prawdopodobnie zostali wkrótce po aresztowaniu zamordowani.

Akcja ta, zwana przez ludność Suwalszczyzny obławą, tym różniła się od wcześniejszych i późniejszych pacyfikacji, przeprowadzanych nie tylko zresztą na tym terenie, że ani jedna z wywiezionych osób nie wróciła i nie dała znaku życia. Nio też nie wskórały rodziny wieloletnią korespondencją z Polakim i Międzynarodowym Czerwonym Krzyżem. Wszelkie zbiorowe próby odnalezienia zaginionych lub choćby ustalenia ich liczby, podejmowane w różnych okresach siłami społecznymi, były szybko likwidowane przez władze PRL. Tak też próbowano postąpić i teraz. W miesiąc po zawiązaniu się (w sierpniu 1987 roku) Obywatelskiego Komitetu Poszukiwań Mieszkańców Suwalszczyzny Zaginionych w Lipcu 1945 roku trzech jego członkowie — Piotr Bajer, Stanisław Kowalczyk i Mirosław Basiewicz — zostali wezwani na przesłuchania i otrzymali na piśmie zakaz działalności. Mimo to rozpoczęte w ub. roku prace nad ustaleniem liczby wywiezionych wówczas osób trwają. Komitetem od początku opiekuje się Zbigniew Bujak. Opracowany został dwunastostronicowy kwestionariusz — karta informacyjna zaginionego — według którego przeprowadza się wywiady z rodzinami lub innymi świadkami wydarzeń. Większość wywiadów jest nagrywana. Powstaje w ten sposób obszerne archiwum, wzbogacone zdjęciami ofiar i dokumentami, które przetrwały do dziś, mimo represji, jakim były poddawane rodziny. Cała dokumentacja jest kopiowana, aby uchronić ją przed dostaniem się w ręce Służby Bezpieczeństwa, która *nota bene* sledzi bacnie poczynania kilku ekip penetrujących teren Suwalszczyzny i próbując utrudniać im pracę m.in. poprzez zastraszanie i tak dostatecznie i nie bez powodu wystraszonych ludzi.

Wszystkie prace wykonywane są siłami społecznymi zapaleńców, w większości, niestety, amatorów. W związku z tym wiele wywiadów trzeba powtarzać, jako że bywają niezbyt dokładnie przeprowadzone. Badania prowadzone są wprawdzie bezpłatnie, ale są one kosztowne. Poszukiwania wymagają niezliczonych wyjazdów w teren, po którym porusza się można wyłącznie samochodem, błędząc po bezdrożach wiejskich i leśnych. Jeżdżą więc w teren cztery ekipy samochodowe — dwie z Warszawy i dwie miejscowe, z Suwałk. Na potrzeby Komitetu Wydawnictwo „Myśl” zakupiło dwa samochody fiat 126p. Zarówno te „szluzowe”, jak i prywatne wymagają ciągłych napraw. Zużywa się duże ilości benzyny, obecnie komercyjnej, a poprzednio kupowanej na czarnym rynku. Nie wszystkie wywiady mogą być nagrywane, a jakoś część nagrań jest kieszka z powodu kłopotów ze sprzętem. Ankieterzy dysponują tylko jednym magnetofonem profesjonalnym, bardzo dobrym (prywatnym), i jednym niezłym, ofiarowanym Komitetowi przez redakcję pisma *Solidarność Radia i Telewizji*. Pozostały sprzęt, pochodzący z darów z Zachodu, oprócz znakomitego mikrofonu, jest słaby lub wręcz nie nadający się do użytku. Rejestracja wywiadów i kopiowanie ich wymagają dużej ilości drogich kaset — do tej pory jest ok. 200 godzin nagrań. Dla celów archiwalnych i do publikacji wszystkie wywiady powinny być spisane z taśmy. Niestety brak na to funduszy. Praca nad materiałami odbywa się w mieszkaniach zagrożonych rewizją i znów brak funduszy na wynajęcie lokalu, w którym można by spokojnie pracować i przechowywać pokaźne już archiwum. Wszystkie dotychczasowe kasety (łącznie z pokryciem kilkumiesięcznego urlopu bezpłatnego dwóch członków Komitetu) ponoszone były i są nadal przez Wydawnictwo „Myśl”. Społeczny Komitet Nauki wyasygnował jednorazowo kwotę, która wystarczyła na miesięczną działalność Komitetu. Od czasu do czasu wpływają też wpłaty od ludzi dobrej woli — potwierdzone w piśmie *Solidarność Radia i Telewizji*. Rosną jednak ceny materiałów i usług.

Po roku działalności i sponieważaniu mniej więcej połowy terenu objętego „obławą” gotowych jest ponad 300 wywiadów, wydrukowane cztery informacje zawierające 350 nazwisk ofiar i prawie drugie tyle jest już znanych.

Wielką szkodą byłoby zanieszenie badań na obecnym etapie prac. Każdy

wyjazd w teren pozwala odkryć nowe fakty, rozszerzyć wiedzę o terenie objętym „obławą”. Ludność nabiera do nas zaufania, dostarcza coraz więcej informacji i bezcennych dokumentów. Jednak uczestników tamtych wydarzeń z dnia na dzień ubywa — starzeją się, tracą pamięć, umierają.

Jeśli chcemy udokumentować tę zbrodnię popełnioną na ludności cywilnej — dzieciach, starcach, kobietach (żołnierze AK stanowili mniej niż połowę liczby ofiar) — to konieczny jest pośpiech.

Za Obywatelski Komitet Poszukiwań
Mieszkańców Suwalszczyzny Zaginionych
w Lipcu 1945 roku

Alicja MACIEJOWSKA

(Potwierdzam i proszę o pomoc
Zbigniew BUJAK)

16 września 1988 r.

LIBELLA

12, Rue Saint-Louis-en-Pile, 75004 Paris, France.
Métro: Pont Marie. Telefon: 43-26-51-09.

KSIĄŻKI POLSKIE • KSIĄŻKI FRANCUSKIE
DOTYCZĄCE POLSKI I EUROPY WSCHODNIEJ •
PRZEKŁADY Z JĘZYKA POLSKIEGO NA
FRANCUSKI.

KATALOGI BEZPŁATNE WYSYŁAMY NA KAŻDE
ŻĄDANIE.

KSIĄŻKI WYSYŁAMY NA CAŁY ŚWIAT.

WSPÓŁCZESNE MALARSTWO POLSKIE I OBCE W SĄSIEDNIEJ
GALERIE LAMBERT

Zapraszamy wszystkich przejeżdżających przez Paryż, by odwiedzili
najpiękniejszą polską księgarnię i polską galerię na historycznej
Wyspie Świętego Ludwika.



ARKADY

— ARKADY

Polnische Kunst- u. Buchhandlung
Księgarnia & Galeria Polska

2000 Hamburg 36, Alsterarkaden 10,
tel. 346047

prowadzimy sprzedaż wysyłkową,
katalogi wysyłamy bezpłatnie.

W litewskim tyglu

Przyjeżdżamy. W Wilnie mamy znajomego (przyjaciel rodziców). Spotykamy się z nim. Mówi: — Rozmawiam z wami z dużą przyjemnością. Wszystko wam opowiem. Całą prawdę. Litwini kłamią, nie wiercie ani jednemu ich słowu, a najlepiej jak w ogóle nie będziecie z nimi rozmawiać. Cały czas w tym stylu. W trakcie tej rozmowy okazuje się, że facet ma związek ze Stowarzyszeniem Polaków na Litwie. Poprosiliśmy go więc o skontaktowanie nas z władzami stowarzyszenia.

Załatwienie tego trwało od poniedziałku do soboty. Trzykrotnie słyszeliśmy, że to jest w zasadzie niemożliwe. W środę było zebranie zarządu stowarzyszenia. Chcieliśmy być, odmówiono nam. Znajomy dał nam do zrozumienia, że jesteśmy zbyt namolni. Tak to przynajmniej odebraliśmy, bo w dodatku przez dwa dni zupełnie nam zniknął.

W sobotę zadzwoniliśmy, żeby się pożegnać przed wyjazdem i wtedy okazało się, że on cały czas biegał w naszej sprawie, tyle z tym było roboty. I załatwił nam audiencję.

A my w piątek, innymi kanałami, spotkaliśmy się z wiceszefem stowarzyszenia. Żeby stanąć przed jego obliczem, musieliśmy przejść przez kilka szczebli pośrednich i za każdym razem powtarzał się schemat:

1. Trzygodzinne prześwietlenie. Nazwiska. Miejsca pracy. Kto nas tutaj skierował. Jak go poznaliśmy. U kogo mieszkamy (a mieszkaliśmy u Litwinów i to było bardzo podejrzane). Po co byliśmy w *Sajudisie*.

2. Atak na Litwinów.

Wszystko odbywało się na zasadzie wojskowej hierarchii. Podwładny wyrażał się z czcią o ważniejszym od siebie, za to ten lekcewał go zupełnie. I tak aż do wiceszefa.

Wiceszef podczas rozmowy dawał do zrozumienia, że ma bliskie kontakty z górą partyjną. W ogóle mieliśmy wrażenie, że oni wszyscy są z KGB.

Jak porozmawiać z władzami Sajudisu

Przyszliśmy pod ich lokal (w gmachu teatru). Przed wejściem studenci sprzedają znaczki *Sajudisu*, bibułę (tylko po litewsku), dyskutują. Pytamy, czy można dostać coś po rosyjsku. Na to jeden ze studentów bez słowa prowadzi nas na górę. Jest dziedziwiał wieczór. Później dowiedzieliśmy się, że biuro jest czynne całą dobę. Wchodzimy do sekretariatu szefa i umawiamy się na następny dzień na spotkanie. Bez żadnych ceregieli.

W ogóle przypomina to atmosferę panującą w MKZ-ach w początkach „Solidarności”.

Rozmowa była bardzo rzeczowa. Ich interesuje „Solidarność”, wielkie wrażenie zrobiła na nich Konferencja Praw Człowieka w Mistrzejowicach. Niestety, w tym czasie mieli zjazd *Sajudisu* i nikt od nich nie przyjechał, żalowali bardzo, że o to nie zadbali.

Oczywiście nie ukrywali sporów polsko-litewskich. Odnieśliśmy wrażenie, że łatwiej im się rozmawia z Polakami z Polski niż z miejscowymi.

Kto rządzi Sajudisem

W. Landsbergis jest profesorem muzykologii w konserwatorium. Podobno jest synem ministra rządu Litwy kapitalistycznej.

A. Buraczius jest członkiem Akademii Nauk LSRR.

W. Aliulis jest katolickim księdzem.

Program Sajudisu

Oficjalna nazwa *Sajudisu* sugeruje, że chodzi im o popieranie *pieriestrojki*. W rzeczywistości jest nieco inaczej.

Przed wszystkim nie wierzą w żadną *pieriestrojkę*, Gorbaczowa nienawidzą, zresztą z wzajemnością.

Czerwony Sztandar (12 października 1988) opublikował projekt Programu LRP (takim skrótem posługuje się polska prasa). Składa się on z dwóch bardzo niejednorodnych części:

1. Trybut na rzecz komunistycznego bełkotu (albo szczerza naiwności).

(*Sajudis*)... popiera i pogłębia zapoczątkowaną przez kierownictwo KPZS przebudowę społeczeństwa socjalistycznego na zasadach demokracji i humanitaryzmu. ... należy przywrócić prawdziwą treść hasła „Cała władza w ręce Rad”.

... Status Litewskiej SRR w Związku Sowieckim powinien być określony na leninowskich zasadach równouprawnienia republik ze stałym prawem do samostanowienia.

2. Standardowy program demokratycznego społeczeństwa, po marksistowsku nazwany demokracją burżuazyjną.

... żadna organizacja polityczna nie ma prawa uzurpować w republice władzy politycznej. Funkcje władzy ustawodawczej, wykonawczej i sądowej powinny być ściśle rozgraniczone. Powinien to kontrolować sąd konstytucyjny Litewskiej SRR.

Sajudis żąda gwarancji konstytucyjnych i prawnych jednostki, jej nietykalności osobistej, własności, bezpieczeństwa, miejsca zamieszkania, tajemnicy korespondencji i rozmów telefonicznych, swobody słowa, druku, zebrań.

Sajudis żąda zniesienia kategorii nomenklaturowych pracowników mianowanych (nomenklatury) i ich przywilejów. Stanowiska służbowe powinny być obsadzone na zasadzie kompetencji zawodowych i konkurencji.

Sajudis zabiega o znormalizowanie sytuacji Kościoła w społeczeństwie, realne zapewnienie Kościołowi prawa do działania według własnych kanonów wewnętrznych.

Prawo własności osobistej rozpościera się również na środki produkcji. Prawo własności, jej nietykalności i dziedziczenia utrwała się w konstytucji i ustawach.

Sajudis dąży do priorytetu konsumenta w stosunku do producenta. Jeśli chodzi o rozwijanie rynku, popiera konkurencję.

Wśród wielu postulatów szczegółowych są też żądania skrócenia służby wojskowej i umożliwienia odbywania służby zastępczej przez pacyfistów oraz perełka: „Obywatelom Litewskiej SRR należy zakazać udziału w tych działaniach, które potępia ONZ”. Oczywiście chodzi o Afganistan.

Sajudis i Liga Niepodległości Litwy

Liga Niepodległości Litwy jest organizacją nielegalną, domagającą się całkowitej niepodległości i restauracji kapitalizmu. Grudniowy numer PWA twierdzi, że LNL ma program przeciwstawny wobec *Sajudisu*. Nie jest to takie proste. Nikt z *Sajudisu* nigdy publicznie nie potępił LNL ani nie polemizował z jej programem. Jest za to wiele dowodów na to, że obie organizacje współdziałają ze sobą. Należałoby raczej powiedzieć, że Liga Niepodległości Litwy jest awangardą *Sajudisu*. LNL nadstawia głowy i zbiera cięgi za jawne głoszenie celów, które po cichu realizuje *Sajudis*.

28 listopada ub. roku (w rocznicę układu o przyjaźni pomiędzy ZSSR i Niemcami) Liga zorganizowała demonstrację. Władze uznały ją za nielegalną i wysłały tamtejszych zomowców. Doszło do bijatyki. Z jednej strony kamienie i butelki (puste), z drugiej — pałki. Byli ranni po obu stronach, 25 osób aresztowano.

Jak na to zareagował *Sajudis*? Ostro potępił pałowanie. Doprowadził do uwolnienia (już na drugi dzień rano) aresztowanych. W swoim biuletynie zamieścił fotoreportaż z zamieszek.

A jak na te demonstracje zareagowali Polacy? *Czerwony*

Sztandar zamieścił własne sprawozdanie (nie korzystając z litewskiej agencji prasowej ELTA) napisane w stylu „Warchoły z Radomia i Ursusa”.

Znany lekarz powiedział dosłownie: „Tak się rozpuścili, że zachciało im się wymachiwać chorągiewkami. Pobili milicjantów i jeszcze chcą ich ciągać po sądach!”.

Rzeczywiście pobici zaskarżyli policjantów do sądu, policja za to oskarżyła kilkunastu uczestników demonstracji o stawianie oporu władzy. W dobie *glasnosti* pisze o tym spokojnie prasa. Powołano specjalną komisję rządową (litewską), która bada „przebieg wypadków”.

Sajudis i kompartia

Do grudniowego wystąpienia Gorbaczowa (w związku z głosowaniem w sprawie zmiany konstytucji) sprawa była prosta: miejscowa partia była całkowicie opanowana przez *Sajudis*. Komunistyczna Partia Litwy zgadzała się z celami *Sajudisu*, atakowała tylko „skrajne” elementy. 9 grudnia *Sajudis* doprowadził do usunięcia ze stanowiska II sekretarza KC KPL, powszechnie znienawidzonego Mitkina. Na jego miejsce przyszedł człowiek bliski *Sajudisu*. A I sekretarz (też nowy, bo wybory były na jesieni) w swoich wystąpieniach wręcz używa języka charakterystycznego dla *Sajudisu*.

Teraz to się może zmienić, zwłaszcza, że już wcześniej prasa publikowała listy (głównie od „weteranów wojennych”) oskarżające *Sajudis* o demontaż socjalizmu.

Podstawowa różnica między Polakiem i Litwinem

Z Litwinem można porozmawiać na dowolny temat. O polityce, Miłoszu, Pendereckim, sporcie... Kłóciliśmy się albo nie, jednak zawsze to była normalna rozmowa. Z Polakiem można zacząć rozmowę na dowolny temat, ale błyskawicznie kończy się ona tym samym: obroną polskości, czyli walką z rusyfikacją i lituanizacją.

Nieważne co, ważne w jakim języku

Oglądaliśmy podręczniki do nauki polskiego, z jakich uczą się na Litwie polskie dzieci. Przykład zdania rozkazującego: NAŚLA-DUJ LENINA! Nam oczy wychodzą z orbit, bo cały podręcznik jest naładowany ideologią, ale Polakom z Litwy to nie przeszkadza. Ważne, żeby dzieci uczyły się polskiego.

Nie obchodzi ich, skąd i od kogo dostają pomoc, a nawet wołą, gdy książki przesyła TPPR, telewizja („Teleexpress” zrobił wielką akcję) niż np. Kościół, bo dzięki temu nie ma podejrzeń politycznych. Nie zdają sobie sprawy, że gazety, które docierają do

nich z Polski są... co tu dużo mówić: *Żołnierz Wolności, W służbie narodu, Przyjaźń, Przyjaciółka*, w najlepszym razie *Trybuna Ludu*.

Uważają, że Polacy w kraju mają wobec nich *obowiązek* pomagania. Na pytanie, co chcieliby dostawać z Polski, słyszeliśmy zawsze tę samą odpowiedź: książki i płyty umacniające polskość. Konkretnie oznacza to Sienkiewicza, książkę kucharską i bajki dla dzieci.

Nie chcą niczego innego! Nie interesują się „Solidarnością”, najczęściej mają gdzieś politykę. Na pytanie, czy chce dostawać z Polski bibułę, tak nam odpowiedział lekarz (zwolennik Piłsudskiego i antykomunista): A co nas tutaj obchodzi, że w Katowicach znowu zamknęli jakiegoś górnika?!

Trzy inicjatywy rządu polskiego

Jaruzelski podczas pobytu w ZSSR zabiegał o: 1. retransmitowanie na Litwie I programu TVP, 2. utworzenie w Wilnie ośrodka kultury polskiej (teatr, kino, księgarnia itd.), 3. konsulatu polski w Wilnie. Jak dotąd nic z tego nie wyszło, mimo zgody Gorbaczowa. Polacy o blokowanie tych inicjatyw oskarżają Litwinów. *Sajudis* odpowiada, że przede wszystkim blokuje to Moskwa, że o wszystkich roszczeniach Polaków można spokojnie podyskutować pod warunkiem, że obie strony będą postępowały uczciwie. Podczas dyskusji „okrągłego stołu”, zorganizowanej przez redakcję *Czerwonego Sztandaru*, Witatuas Landsbergis (szef *Sajudisu*) powiedział: „To nie jest sprawa samych tylko Polaków na Litwie czy Litwinów. To jest, moim zdaniem, sprawa popełnionego przez rząd PRL nietaktu, który załatwił wszystko przez Moskwę — według starego modelu. Kilka lat temu to miałyby szanse realizacji, ale czasy się zmieniają. Opinia społeczna stała się czynnikiem znaczącym. Swoje stanowisko ma tu również *Sajudis*: potrzebny tu jest parytet, czyli Litwa też musiałaby mieć w Warszawie odpowiednią placówkę. Na razie Litwa nie jest osobnym państwem. Może nie będzie państwem absolutnie suwerennym, może będzie państwem federacyjnym albo konfederacyjnym w składzie Związku Sowieckiego. Ale gdyby rząd PRL liczył się z Litwą jako państwem, byłby to z jego strony krok do przodu. Potraktowanie Litwy jako „sowieckich kresów” było błędem politycznym, anachronizmem w dzisiejszej sytuacji.

„Vilnius”

Jest to agresywne stowarzyszenie litewskie, rodzaj „Grunwaldu”. „Wilnia” domaga się ograniczenia wpływów polskich. PRL, według „Wilni”, odziedziczył po sanacyjnej Polsce rewizjonizm antylitewski. „Wilnia” jawnie przeciwstawia się retransmisji TVP i szkołom z polskim językiem wykładowym. W swoim programie ma zalecenie, żeby szczególną uwagę poświęcić rejonom,

w których mieszka najwięcej Polaków. W piśmie *Literatura ir Menas* (26 listopada 1988) ukazała się wypowiedź pracowników instytutów Akademii Nauk LSRR, podpisana przez 800 osób. Przeciwstawiają się oni retransmitowaniu TVP. Piszą m.in.: Program TVP w południowych rejonach LSRR (okolice Kaunasu, Wilnius itp.) bez retransmisji ogląda 40 % mieszkańców republiki, Polacy u nas stanowią tylko 7 %. Część Polaków wybiera przede wszystkim nie polski, lecz białoruski, rosyjski, litewski i inne języki (np. w rejonie wileńskim zamieszkuje 60 % Polaków, a gazetę rejonową w języku polskim czyta tylko 32 %); retransmisja TVP kosztem innych narodowości LSRR może być zrozumiana jako kontynuacja dawnej polityki polonizacji i rewżystowskich zakusów na Wileńszczyznę.

Kto wygrał bitwę pod Grunwaldem?

Potoczny pogląd nacjonalisty litewskiego: na Litwie nie ma Polaków, są tylko spolonizowani Litwini, których należy „odzyskać”. Ewentualnie są to Białorusini bezpodstawnie podający się za Polaków. W bitwie pod Grunwaldem z Krzyżakami walczyły wojska litewskie i nikt poza tym.

Plotka

Ponoć Polacy nie chcą współdziałać z Litwinami przy budowie pomnika ofiar stalinizmu. Na pytanie, dlaczego, padła odpowiedź: *Z Sajudisem* niczego nie będziemy wspólnie robić, nawet tego.

Antokol

Na wojskowym cmentarzu na Antokolu są groby polskie i litewskie z 1919 roku. Cmentarz jest zrujnowany, teraz ma być odnawiany. Powstał problem, czy będzie się odnawiać polskie groby. *Sajudis* uważa, że tak. Argumentacja: na ziemi sowieckiej zginęło 10 mln Niemców i nie ma ani jednego grobu, bo to byli wrogowie. Dla Polaków w 1919 Litwini też byli wrogami, a jednak poległych pochowano na wspólnym cmentarzu. Dlatego nie wolno postąpić inaczej.

Wpływy niezależnych organizacji

Sajudis uważa, że cieszy się poparciem 100 % Litwinów i 80 % mieszkańców Litwy. Na wiecu w rocznicę paktu sowiecko-niemieckiego o nieagresji (23 sierpnia) było 250 tys. osób, a w czasie akcji zbierania podpisów przeciwko zmianom w konstytucji (listopad) zebrano 1.800.000 podpisów na ok. 2,8 mln Litwinów.

Stowarzyszenie Polaków na Litwie liczy 2 tys. osób. Organizacja „Jedność” — 27 tys. Jest to organizacja rosyjska, utworzona jako przeciwwaga dla *Sajudisu*. Należą do niej także Polacy, są w każdym razie dużo bardziej widoczni w „Jedności” niż w *Sajudisie*.

Wpływy Ligi Niepodległości Litwy i „Wilni” są trudne do obliczenia.

Sajudis i cenzura

Atgimimas (Odrodzenie) — biuletyn *Sajudisu* — jest pismem legalnym i całkowicie wolnym. Wydanie rosyjskie ma 30 tys. nakładu, litewskie oczywiście więcej.

Raz w tygodniu (w środę) w telewizji litewskiej nadawana jest audycja FORUM, w której wypowiadają się działacze *Sajudisu*. Program trwa 45 godzin, idzie na żywo, tym samym nie ma mowy o cenzurze. Chyba, że ograniczają się sami redaktorzy...

Kto jest większym wrogiem?

Każdemu Polakowi i Litwinowi, z którym rozmawialiśmy, zadawaliśmy pytanie, kogo uważa za większego wroga: Rosjanina czy Litwina (Polaka)?

WSZYSCY Polacy odpowiadali: Litwina, bo Rosjanin jest przynajmniej prosty i szczerzy i można się z nim dogadać. Gdyby nie Rosjanie, nie byłoby tu śladu polskości.

Litwini odpowiadali, że oczywiście Rosjanina.

Opracował Jerzy SKOCZYŁAS

Promieniści nr 8-9 (119-120), 16 stycznia 1989

Tekst ten powstał na podstawie relacji dwojga moich przyjaciół, którzy byli w Wilnie na początku grudnia ub. roku. Za wszelkie wnioski i uogólnienia odpowiadam wyłącznie ja. — J.S.

Niemcy bez Straussa

W Berlinie doszła do głosu nacjonalistyczna prawica niemiecka. Wyparła liberałów, którzy nie przeskoczyli pięcioprocentowej poprzeczki głosów. Pozostawiła daleko w tyle komunistów, pomieszała szczyki rządzącej dotychczas chadecko-liberalnej koalicji. Wprowadziła w zakłopotanie aliantów, którzy — bardziej formal-

nie, niż w rzeczywistości — wciąż jeszcze wykonują suwerenne prawa nad Szprewą. Wszyscy popołu głowią się teraz, w jaki sposób w mieście znanym od dawna jako kolebka nowego liberalizmu powstało nagle zarzewie nacjonalizmu i nienawiści do cudzoziemców. Bo to jest właśnie fundamentem i pożywką skrajnej prawicy, która wojuje pod równie skromnym, co mylnym szyldem „republikanów”.

Skąd się to wzięło i co znaczy? Otóż w Berlinie po prostu pękł wrzód dawno narastającej i stale przez chorego i jego lekarzy ukrywanej bolesti. Świat się przyzwyczał, że Niemcy po wojnie żyli bez politycznej prawicy. Odpowiednikiem tego był też brak lewicy. Obydwie duże partie, chadecja i socjaldemokracja, mieniły się stronnictwami ludowymi. Ideologiczny i praktyczny punkt ciężkości polegał i nadal polega na podkreślanii swojego centryzmu.

Komuniści nie mieli szansy, bo byli i są obciążeni kontem reżimu pantującego w Niemczech wschodnich. Prawica przez długie lata po epoce hitleryzmu była rzeczą wstydliwą. W ten sposób Niemcy zachodnie stały się prymusem i wzorcem demokracji. Ale dzbanek tak długo wodę nosi, aż mu się ucho urwie.

Otóż ucho urwało się w berlińskich wyborach 29 stycznia 1989 roku. Stało się to z dwóch przyczyn. Berlin zachodni jest miastem osobliwym, żyje na garnuszku Bonn i jest symbolem wolności i otwartości. Stał się też przytułkiem dla rozmaitych osiedleńców: Turków, Jugosłowian, Polaków, Arabów, Żydów no i Niemców, prawdziwych i podrabianych, którzy napływają legalnie i nielegalnie z NDR lub po wiekach opuszczają wschodnie regiony kontynentu. W Berlinie wciąż jeszcze rządzą formalnie Amerykanie, Anglicy i Francuzi, a jeżeli nie rządzą, to przynajmniej wpadają w oko, nie zawsze zresztą przyjemnie. A czasy się, jak wiadomo, zmieniają. Berlińczycy nie boją się już zachłanności Moskwy i coraz częściej jeżdżą — bo to i taniej i bardziej snobistycznie — zamiast do Ameryki na Krym albo do Leningradu. Większość mieszkańców Berlina to ludzie starsi, a starsze roczniki żyją jeszcze wspomnieniami chwały i sławy stolicy Rzeszy. Irytują ich nie tylko cudzoziemcy i azylanci, ale i własne młodzieniaszki, napływające tutaj tłumnie na uniwersytety i do wszelkich zawodów, byle tylko uniknąć służby wojskowej w Niemczech Federalnych. Kto się tutaj na kilka lat zadekuje, ten już nie włoży munduru Bundeswehry.

Tymczasem dotychczasowa władza żyła w atmosferze żłudy. Wydawało jej się, że na skutek słabości konkurencyjnej socjaldemokracji nie musi się troszczyć o poparcie społeczne, bo nie może go utracić z braku przeciwnika. Zuchwałość idąca w parze z lekkomyślnością została teraz ukarana. Biurokracja, która rzucała pieniędzmi na wszystkie strony, organizując raz po raz pyszne festiwale, igrzyska i kongresy, zapomniała o tych, którzy od lat czekają daremnie na mieszkanie, o niecierpliwości młodych bezrobotnych, o trudnościach współżycia z Turkami czy Polakami. W ten sposób na scenę wyszli „republikanie”, żerujący na sła-

bości tradycyjnych stronnictw, na starych i nowych resentymentach nacjonalistycznych. Ostatecznie nacjonalizm grasuje wszędzie, w Chinach, Rosji, na Węgrzech a przede wszystkim w Niemczech Wschodnich. Berlin stał się tylko symptomem i zacznym. Wszystko wskazuje na to, że ten przykład stanie się szkołą dla innych regionów tego kraju.

Druga przyczyna takiego rozwoju tkwi w śmierci Franciszka Józefa Straussa. Dopóki niekoronowany król Bawarii trzymał swą potężną rękę na pulsie polityki niemieckiej, żaden ruch prawicowy nie miał szansy wejścia na scenę polityki. Matador bawarski integrował swym nieokiełznanym temperamentem, swym charyzmatem i niezwykłą sugestywnością słowa i pióra, wszelkie poczynania czy inicjatywy na prawo od chadecji. Jego nagła śmierć pozostawiła głęboką wyrwę w politycznym krajobrazie Niemiec. Nikt go dotychczas nie zastąpił i nikt ze znaczących polityków nie ma to szansy. Tę lukę wykorzystali prawicowcy, którzy zresztą wyszli z bawarskiego podwórka, ale dopóki żył i rządził Franciszek Józef, bali się go jak ognia. Jednak zaraz po jego śmierci zaczęli systematycznie zapełniać widoczne *vacuum*.

Wszystko wskazuje na to, że Berlin stał się początkiem nowego etapu w kryzysie niemieckiej demokracji parlamentarnej. Publiczność odwraca się plecami od dawnych instytucji. Kościoły, zwłaszcza ewangelickie, świecą pustką. Młodzieży tam nie uświadczyć. Trochę ludniej u katolików, ale i tu przelazają ludzie starsi. Rośnie ruch antypapieski na tle niepopularnych decyzji Watykanu. Zanika prasa partyjna. Coraz słabsza frekwencja na zebraniach partyjnych. Coraz trudniej o zdobycie utalentowanego narybku dla stronnictw. Młodzież ucieka od kariery politycznej. Woli pracę w handlu, przemyśle lub wolnych zawodach albo bezrobocie, które pozwala żyć (co prawda nie luksusowo, ale w dostatku) i zajmować się wszelkiego rodzaju *hobby*.

Nieustające afery korupcyjne, nieprzekonywujący, śliski sposób bycia polityków, obliczony na zainteresowanie telewizji, stale rosnące wpływy poza- lub ponadpartyjnych grup nacisku, zakulisowe manewry wpływowym czynnikiem, zapewniające środki finansowe na akcje wyborcze — oto główne powody zarysowującego się w ostry sposób przesilenia w dotychczasowym systemie społeczno-politycznym. A dzieje się to w erze największego dobrobytu społeczeństwa w całych dotychczasowych dziejach Niemiec. Jest to na pozór niepojęty paradoks historii, ale przy głębszej analizie przyczyn i skutków takiego procesu chyba logiczny wyraz przemian w łonie współczesnego społeczeństwa kapitalistycznego. W Niemczech tego rodzaju sygnały pokazywały się często wcześniej, niż gdzie indziej. Jest to chyba związane z niemiecką mentalnością, z jej podatnością na wytwarzanie stanów masowego niezadowolenia wobec otaczającego świata wartości i pojęć, z jej gotowością do poszukiwania nowych, jeszcze nieodkrytych światów.

Nie wiadomo, co z tej fazy niezadowolenia wyniknie. Czy bę-

dzie to szukanie nowego pacyfizmu, dążenie do idealnego stanu neutralności pomiędzy Wschodem i Zachodem, jakiś nowy ekologiczny romantyzm postindustrialny? A może nowy nacjonalizm, połączony z obroną niemieckości przeciw obcym wpływom? Z tego może się wyłonić w następnej fazie rozkład, a potem destabilizacja starych pojęć i układów.

BERLINCZYK

W sowieckiej prasie

Dwadzieścia lat temu napisałem pierwszy przegląd sowieckiej prasy. Nie licząc kilku przerw z powodu chorób, powstało od tego czasu 200 miesięcznych kronik, około 2.000 stron, na których rejestrowałem główne wydarzenia w życiu ZSSR. Niewykluczone, że wśród czytelników niniejszego przeglądu znajdują się młodzi ludzie, urodzeni w roku publikacji pierwszego. Wydarzenia sprzed dwudziestu lat wydają się dziś zamierzchnią historią: czarnobrowy, jowialny Breżniew dopiero co zdławił Praską Wiosnę, Chiny i ZSSR w pełni konfliktu strzelały do siebie nad Ussur, zbliżał się koniec rządów Gomułki w Polsce...

Co się zmieniło przez dwa dziesięciolecia? Przede wszystkim zmieniła się główna pożywka przeglądów — prasa sowiecka. Skutki *glasnosti* są w tej dziedzinie oczywiste. Ukazały się książki, które latami leżały w sejfach zamknięte na cztery spusty. Pismo *Dwadcatyj wiek i mir*, organ Komitetu Obrony Pokoju, opublikowało w marcu słynny apel Sołżenicyna „Życ bez kłamstwa”. Na zebraniu w głównym zarządzie spraw wewnętrznych przy moskiewskim Sowiecie powiedziano (i ogłoszono to we wszystkich gazetach), że w porównaniu ze styczniem ub. roku przestępczość w Moskwie wzrosła. Podano nawet liczby: tygodniowo cztery zabójstwa, 5 gwałtów, 51 włamań, 24 kradzieże samochodów... W odpowiedzi na pytanie czytelniczki M. Kuzminej, czy możliwa byłaby dziś rewolucja proletariacka w Stanach Zjednoczonych, *Komsomolska Prawda* z 26 lutego 1989 odpowiada: nie. Kandydat nauk historycznych K. Pleszakow wyjaśnia następnie, że „klasyczna teoria marksistowska” nie przewidywała, że „współczesny kapitalizm zapewni większości ludzi wystarczający, a w niektórych przypadkach wręcz wysoki poziom życia”. Marksizm nie przewidywał również tego, że „dojrzała demokracja burżuazyjna jest ustrojem praworządnym”. Tygodnik *Moskowskije nowosti* z 26 lutego 1989 ogłosił propozycję czytelnika, aby CIA i KGB zaczęły ze sobą współpracować, a „zwolniona dzięki temu część doświadczonych kadr KGB, który zdaniem prof. Sacharowa nie uległ korupcji w latach zastoju, razem z potężnymi środkami

mi technicznymi mogłaby zostać użyta do walki z wielkimi kradzieżami mienia publicznego, ze zorganizowaną przestępczością". Propozycja współpracy nie jest nowa: Chruszczow proponował kiedyś Allenowi Dullesowi, aby płacić szpiegom z jednej kasy, ponieważ i tak pracują na dwie strony. Nowością jest co innego: fakt, że KGB potrzebuje dobrej oceny Sacharowa.

W moskiewskim teatrze wystawiono spektakl na kanwie „Krętej drogi” Eugenii Ginzburg, a trwają próby sztuki Władimira Wojnowicza „Trybunał”. Jeszcze dziwniejsze jest być może to, że w Moskwie idą „Pokojówki” Jean Geneta, a role kobiet grają mężczyźni. W filmach dokumentalnych pojawia się „czarna seria”, która przypomina polską kinematografię z połowy lat 50-tych.

Jeśli przez *głasność* rozumieć krytykę niedostatków ustroju sowieckiego, to najdalej idzie ona w dziedzinie gospodarki. Od dwu mniej więcej lat cytuję „demaskatorskie” artykuły o stanie sowieckiej gospodarki pióra sowieckich przywódców i sowieckich dziennikarzy. Ująłem słowo „demaskatorskie” w cudzysłów, bo zaskakujące i sensacyjne są one tylko dla czytelników sowieckich. Zachodni ekonomiści wszystkie cytowane w nich liczby znają. Ich wiedzę potwierdzają dziś źródła sowieckie.

Jeśli jest tak dobrze, to dlaczego jest tak źle? Przemawiając na zebraniu wyborczym w Woroneżu członek Biura Politycznego W. Worotnikow podkreślił, że „zmiany na lepsze są w gospodarce narodowej na razie nieznaczne”. „Dlaczegoż w żaden sposób nie możemy osiągnąć zasadniczego przełomu, którego domaga się samo życie?” — pyta Worotnikow (*Sowietskaja Rossija* z 1 marca 1989). Rzeczywiście: dlaczego? Kiedyś wydawało się, że od słowa prawdy runie cały komunistyczny gmach. Nie runął. Być może dlatego, że wszystko, co się (oficjalnie) mówi, to jeszcze nie cała prawda.

Bardzo łatwo dziś sporządzić listę „dobrodziejstw” Gorbaczowa. W tym duchu, w jakim to zrobiłem wyżej. Można sporządzić i inną listę. Spójrzmy na wydarzenia ostatniego tygodnia. Niezależne pismo *Referendum* donosi, że 6 lutego wezwano w Mińsku do KC korespondentów gazet centralnych i pierwszy sekretarz E. Sokołow przeczytał im fragmenty dokumentu, który nazwał „tajną” uchwałą Biura Politycznego KC KPZS o „sposobach przeciwdziałania próbom stworzenia opozycyjnych wobec KPZS struktur politycznych”. Za takie uznano Związek Demokratyczny i Fronty Narodowe. Po przeczytaniu dokumentu Sokołow ogłosił, że widnieje pod nim podpis Gorbaczowa i od siebie dodał: „Krótko mówiąc, tak dać w zęby, żeby się nie podnieśli”. Sięgnijmy do innego źródła. Pismo *Jeżedniwnaja głasność* informuje, że wspomniana uchwała podpisana jest przez A. Jakowlewa, W. Miedwediewa, A. Razumowskiego i A. Łukianowa. Zawiera ona m.in. zdanie: „Sekretarze obkomów ponoszą osobistą odpowiedzialność za naruszenie prawa o wiecach i demonstracjach. Powinni osobiście zająć się każdym pracownikiem prasy, który ogłasza na łamach niedojrzałe idee tych [tj. nieformalnych — A.K.] grup” (*Russkaja mysl* z 3 marca 1989).

26 marca br. odbędą się wybory według nowej, gorbaczowowskiej ordynacji wyborczej. Odbyły się tu i ówdzie zebrania przedwyborcze, na których dużo mówiono i wystawiano nieoczekiwane kandydatury. Wiele szumu narobiła kandydatura Andrieja Sacharowa. Odrzucony przez prezydium Akademii Nauk, które nie chciało wpisać go na listę, Sacharow zrezygnował w ogóle z kandydowania. Niezmiernie zawiła ordynacja wyborcza, w porównaniu z którą ordynacja carskiej Dumy wydaje się szczytem demokracji, wydała spodziewane owoce. Centralna komisja wyborcza zatwierdziła ostateczną listę kandydatów. Należy odnotować, że w 1984 roku, kiedy działo się jak najgorzej, było wśród kandydatów 71,4% członków partii. W 1989 jest ich 82,2%. To nie wszystko: obecnie kandydaci muszą przejść selekcję na okręgowych zebraniach przedwyborczych. Nie jest wykluczone, że procent członków partii wzrośnie (*Moskowskije nowosti* z 12 lutego 1989).

Do nowości należy też zgoda KC KPZS na projekt ideologicznej współpracy między KPZS a rumuńską partią komunistyczną na lata 1989-1990. Na podpisanie projektu pojechał do Rumunii główny ideolog Wadim Miedwiediew. Komunikat Biura Politycznego zapewnia, że ideologiczna współpraca z Rumunią „stworzy warunki dla intensywniejszej wymiany doświadczeń”...

Pierwsza połowa lutego była okresem odwrotu z Afganistanu. Gazety konkurowały w barwnych opisach „ostatnich kilometrów”, wszystkie kanały telewizyjne pokazały generał-lejtnanta Gromowa, który ostatni przeszedł granicę. Nie ma porównania z ucieczką Amerykanów z Sajgonu! Sowieccy propagandyści umieją przerobić porażkę na zwycięstwo. KC KPZS, prezydium Rady Najwyższej i Rada Ministrów zwróciły się do powracających z wojny żołnierzy zdumiewająco bezwstydnymi słowami: „Na prośbę prawomocnego rządu broniliście narodu afgańskiego, dzieci, starców i kobiet, spokojnych kiszlaków i miast, niezawisłości narodowej i suwerenności zaprzyjaźnionego kraju. Zbrojny wysiłek żołnierzy wszystkich rodzajów broni zyskał im głęboką cześć ludzi sowieckich, szczerze uznanie i wdzięczność narodu afgańskiego”. Z pogardą dla narodu sowieckiego, której nie tknęła żadna *pieriestrojka*, kierownictwo sowieckie twierdzi, że Afgańczycy są zobowiązani i wdzięczni sowieckim żołnierzom, którzy — oficjalnym kosztem 15.000 zabitych i 37.000 rannych — z 16 milionów Afgańczyków wymordowali milion, a pięć milionów zmusili do ucieczki.

Prawdą jest, że dziś można już zapytać marszałka Achromiejewa — do niedawna szefa sztabu generalnego, a dziś doradcę Gorbaczowa: „Słyszysz się nierzadko, że obecność ograniczonego kontyngentu sowieckich wojsk w Republice Afganistanu, ich bojowe działania w obronie rewolucji kwietniowej w tym kraju były niestety tragiczną pomyłką i że poniesione ofiary były daremne... Czym był i jest dla armii Afganistan?”. W odpowiedzi usłyszymy: „...Michaił Siergiejewicz Gorbaczow w imieniu partii i narodu wyraził żołnierzom i oficerom głębokie uznanie... Odważnie spełniali i spełniają swój internacjonalistyczny i żoł-

nierski obowiązek" (*Sowietskaja Rossija* z 14 stycznia 1989). Namacalnym znakiem porażki Sowietów jest — poza wyprowadzeniem wojsk — zmiana nazwy przeciwnika. Partyzantów afgańskich nazywano „basmaczami”, „bandytami”, „duszmanami”. Dziś pisze się o nich: „opozycja” albo „zbrojna opozycja”. *Prawda* z aprobatą cytuje słowa szefa sztabu głównego armii kabulskiej: „Gotowi jesteśmy podzielić się władzą z opozycją. Natomiast bynajmniej nie mamy zamiaru jej oddawać, kapitulować...”. Gotowi są podzielić się władzą. Ponad dziesięć lat po „rewolucji kwietniowej”. Czyż nie dziwne?

W świetle afgańskiej porażki polityki sowieckiej ciekawe jest moim zdaniem przemówienie Gorbaczowa we Lwowie. Podróż na Ukrainę pozwoliła Gorbaczowowi po raz któryś powtórzyć dyżurne hasła o możliwościach *pieriestrojki*, o konieczności lepszej pracy, aby „rozwinąć i front żywnościowy, i front przemysłowy, i front naukowy”. Gorbaczow wyjaśnił we Lwowie: „Jestem optymistą na podstawie głębokiej wiedzy”. Wszystko to już wiadomo, bo nie raz było powtarzane. Nowością były konkretne słowa o przeszłości, o wydarzeniach sprzed 50-ciu lat. W bieżącym roku ZSSR obchodzić będzie — oznajmił generalny sekretarz — „50-tą rocznicę zjednoczenia zachodniej części Ukrainy z Ukrainą sowiecką”. Podczas spotkania Gorbaczowa z przedstawicielami inteligencji lwowskiej miejscowy poeta Roman Łubkijewskij powiedział: „W 1939 roku, kiedy wyzuty z praw naród Zachodniej Ukrainy rozpostarł skrzydła, zdobył wolność... zaszło wielkie wydarzenie”. Gorbaczow w pełni się zgodził z przedmówcą i oświadczył, że „tu [tj. na lwowskiej ziemi — A.K.] dokonana się jedna z wielkich lekcji...”. Co więcej, dodał: „Z tym pamiętnym wydarzeniem sprzed pół wieku ludzie wiążą nierozzerwalnie najlepsze pomysły i nadzieje na dzień dzisiejszy i jutrzejszy” (*Komsomolska prawda* z 23 lutego 1989).

W ten sposób cały naród sowiecki będzie świętował owoce paktu między Stalinem i Hitlerem (którego istnienie Gorbaczow poddaje w wątpliwość, bo w sowieckich archiwach nie znaleziono oryginału) jako „rocznicę zjednoczenia”.

Michaił Gorbaczow ma stuprocentową rację, mówiąc, że „te-raz dowolne fakty mogą posłużyć do najbardziej paradoksalnych wywodów, na przykład nawet dla dowiedzenia, że niepotrzebna nam jest *pieriestrojka*, a naród ją wręcz odrzuca”. Ma rację, dużo jest takich faktów. Nie wiem, czy należy do nich zaliczyć aresztowanie ukraińskich nacjonalistów w przeddzień przyjazdu *gensieka* do Lwowa i staranne przygotowania do „spontanicznych rozmów” wodza z narodem — i pytania, i ludzi, którzy je mają zadać, przygotowano z góry. Zaliczę jednak do takich faktów wywiad akademika Abałkina w *Komsomolskiej Prawdzie* z 8 lutego 1989. Leonid Abałkin jest dyrektorem Instytutu ekonomii przy Akademii Nauk ZSSR i z tej racji jednym z głównych sowieckich ekonomistów. Kiedy Gorbaczow objął władzę, głównymi interpretatorami jego programu ekonomicznego byli Tatiana Zaslawska i Abel Aganbegian. Nazwisko Abałkina nabrało rozgłosu w czerwcu ub. roku, po jego przemówieniu na

XIX konferencji partyjnej. Akademik oświadczył, że trzy lata *pieriestrojki* nie dały żadnych rezultatów. Bardzo ostro sprzeciwił mu się wówczas „osobiście” Gorbaczow. Od tego dnia Gorbaczow być może zrozumiał, że akademik ma rację, bo Leonid Ałałkin nieustannie ogłasza artykuły i udziela wywiadów. Waga artykułu, o którym chcę mówić, zatytułowanego „Księżycowy krajobraz”, polega na tym, że akademik pisze w nim nie o liczbach, a o ludziach. Czyli mówi o tym, co jest najważniejsze. I stwierdza: „Bądźmy uczciwi: nic u nas nie jest w porządku”. Nic nie jest w porządku, ale przede wszystkim „oduczylismy się pracować”. Mało tego. Zdaniem Leonida Ałałkina ogromne kataklizmy, które przekształciły Związek Sowiecki w księżycową pustynię, doprowadziły do unicestwienia „humusu społecznego”, tj. nawarstwiającej się przez dziesięciolecia kultury pracy, życia, współzycia, umiejętności przekazywanych z pokolenia na pokolenie. Kiedy brakuje odżywczego humusu, twierdzi akademik, „na jego miejscu nawarstwa się brud”. Na Zachodzie chętnie się dziś mówi o śmierci ideologii w ZSSR, bo „nikt nie wierzy”. Leonid Ałałkin tak nie myśli. Uważa, że system sowiecki to nie tylko aparat, ale „kłębek stosunków, do których przywykły miliony ludzi: robotników, kołchoźników, agronomów, inżynierów, nauczycieli, lekarzy, przywódców”. Ałałkin umyślnie wymienia przywódców na ostatnim miejscu, bo uważa, że „bez szerokiej bazy społecznej, bez głębokich korzeni i przemożnej, glajchszaltującej psychologii mas konserwatyzm nie utrzymałby się długo na powierzchni”. Z tego wyciąga wniosek: „Ideologia stała się psychologią”. W gruncie rzeczy akademik Ałałkin opisał proces kształtowania człowieka sowieckiego, wykucie potrzebnej maszyny śrubki, która czuje się na miejscu w roli śrubki i wcale nie pragnie zmian. Taki jest sens formułki „ideologia stała się psychologią”.

Obliczenia akademika Ałałkina dowodzą, że zabieg się udał: aby zacząć odtwarzać „społeczny humus” i odczuć jakąś poprawę, „potrzeba będzie prawdopodobnie pracy jednego-dwóch pokoleń”. Gorbaczow mówił, że jest optymistą na podstawie głębokiej wiedzy. Być może akademik Ałałkin nie wie tego, co wie generalny sekretarz i dlatego nie jest takim optymistą.

W powodzi informacji, wywiadów, faktów i liczb, artykułów i esejów zwrócić uwagę artykuł Siergieja Andriejewa „Struktura władzy i zadania społeczeństwa”, opublikowany w rubryce dyskusji leningradzkiej gazety *Newa* (nr 1/1989). Biolog Andriejew ogłosił już kilka artykułów na aktualne tematy. W „Strukturze władzy i zadaniach społeczeństwa” próbuje wyłożyć koncepcję, która — jak sądzi — da ludziom „ideologiczną broń”, tzn. pozwoli im zrozumieć obecne położenie społeczeństwa. Duży artykuł zawiera wszystko: analizę sowieckiej ekonomii, stwierdzenie, że reformy niczego nie dały, wręcz przeciwnie, pogłębiły kryzys; definicję „nowej klasy społeczno-politycznej”, jaką jest zdaniem autora „aparat produkcyjno-zarządzający, liczniejszy niż chłopstwo kołchoźniane”. Odkrycie autora, że Związkiem Sowieckim rządzi „nowa klasa” — 18-tomilionowa biurokracja —

nie jest żadnym odkryciem. Nowością natomiast jest gniew, wręcz nienawiść Andriejewa do „ogromnej armii zażartych, złośliwych i sprytnych pasożytów”, żerujących na kraju. Autor nie ukrywa przekonania, że „kierownicze kręgi zarządców przemysłowych, centralnego aparatu partii i najwyższego organu władzy ludowej zrosły się”. Jego zdaniem te trzy organy prowadzą identyczną politykę.

Nowością — jak na publikację w oficjalnym organie — jest analiza miejsca i roli partii w systemie sowieckim. Autor cytuje artykuł 6 konstytucji o „kierowniczej i przywódczej roli partii” i dodaje, że jeśli to prawda, to należy przyznać, że „właśnie kierownictwo partyjne doprowadziło kraj do kryzysu ekonomicznego i upadku moralnego”. Andriejew stwierdza, że „niezbędna jest kontrola bezpartyjnej większości nad działalnością jej kierowniczego odłamu”, tj. partii. W tym celu należy, zdaniem autora, stworzyć demokratyczne fronty, związki, które — „nie przeradzając się w partię — działałyby na zasadach równości z KPZS”.

Czytelnicy — na pewno, a zapewne i komentatorzy zwrócili szczególną uwagę na uwagi Andriejewa o uchwale XIX konferencji o skupieniu w jednym ręku funkcji przewodniczącego Rady Najwyższej ZSSR i generalnego sekretarza. Autor podsumowuje: „Cała historia naszego społeczeństwa uczy, że nadmierna centralizacja władzy prowadzi do naruszania demokracji: Stalin, Chruszczow, Breżniew... Kim jest pierwsza figura nie ma żadnego znaczenia, prowadzi do tego system stosunków społecznych”.

Konferencja partyjna, od której wszyscy zwolennicy *perestrojki* datują „nową erę”, zdaniem Andriejewa „postanowiła iść rebeliozjem, mając na uwadze jeden jedyny cel — wzmocnienie roli partii jako awangardy społeczeństwa”.

Stosowny komentarz do myśli Andriejewa można znaleźć w wywiadzie Kiryła Mazurowa. Wieloletni przywódca sowiecki, członek Biura Politycznego od 1966 roku, Mazurow niespodziewanie podał się do dymisji w 1978 roku. Przedstawiony do wyborów deputowanych ludowych przez weteranów wojny i pracy, opisał swoją pracę z Chruszczowem i Breżniewem na najwyższym szczeblu władzy. O „kuicie jednostki”, który nieźle zna, był członkiem Biura wyraża się ostrożnie. „W pewnym stopniu gwarancję przeciw kultowi stanowią jawność i demokratyzacja. Ale nawet one mogą się przekształcić w swoje przeciwieństwo. Pamiętam, jak jeden ze współczesnych publicystów oświadczył gdzieś: nie pozwolimy, aby zdjęli Gorbaczowa. Człowiek ledwie zaczął pokazywać, co potrafi jako działacz wysokiego szczebla, a już go, choćby i z najbardziej chwalebnych pobudek, zapewniamy o osobistym oddaniu i już judzą na ewentualnych przeciwników” (*Sowietskaja Rossija* z 19 lutego 1989).

Może to nie całkiem na temat, ale od struktury władzy i kultu jednostki chciałbym przejść do notatki z *International Herald Tribune* z 28 lutego 1989. Rumuński ekonomista Pietre Nicolae, który uciekł z Rumunii w 1981 roku przypomina, że ćwierć wieku temu na czele partii i państwa stanął w Rumunii młody (47 lat),

energiczny, pragnący dobra ludu przywódca. Jeździł po kraju i bezustannie rozmawiał z robotnikami w fabrykach, z chłopami w polu, z przechodniami na ulicy, gromił biurokratów i głosił: „Różnorodność stylów jest w sztuce niezbędna. Nikt nie może dyktować, jak należy pisać książki, malować obrazy, komponować muzykę”. Wódz ten zwał się Nicolae Ceausescu. Pietre Nicolae trochę nietaktownie (nikt go nie pyta) wyraża nadzieję, że Gorbaczow oprze się „logice systemu komunistycznego, która pcha go na drogę Ceausescu”. Jak powiedział poeta: Szczęśliwy, kto wierzy, lekko mu na świecie...

Adam KRUCZEK

9 marca 1988

Kronika niemiecka

W 1988 roku wyjechało z Polski do RFN 949 lekarzy. Warszawska telewizja podała, że jest to więcej aniżeli ogół lekarzy wykształconych w tym czasie przez rodzime Akademie Medyczne. ■ Liczba osób ubiegających się o prawo pobytu w Niemczech wzrosła w ub. roku o 80 %. W 1988 roku o azyl zwróciło się w RFN ogółem 103.070 obcokrajowców, w tym 29.023 Polaków. ■ Zachodniobrzezińska Galeria Klubu Inteligencji Katolickiej staje się, po rocznym zaledwie okresie działalności, znanym już miejscem spotkań ludzi zainteresowanych sztuką — nie tylko mieszkających tu Polaków, lecz również krytyków i artystów niemieckich. Mniej więcej co dwa miesiące odbywa się tu otwarcie nowej wystawy — prezentowano dotąd między innymi tkaniny bułgarskiej artystki Lidii Cankowej oraz grafiki kierującej pracami galerii Heleny Bohle-Szackiej, która z Polski wyemigrowała dwadzieścia lat temu i zdobyła sobie w Berlinie spore uznanie krytyki artystycznej. Tym razem w czasie wernisażu zaprezentowano grafiki dwojga warszawskich artystów — Beaty Kruk-Kajl oraz Jacka Sawickiego. Beata Kruk-Kajl ukończyła Akademię Sztuk Pięknych w Warszawie, jej prace prezentowane były między innymi w Japonii, Danii, Holandii, Czechosłowacji, Niemczech Zachodnich, Australii. Jacek Sawicki, również absolwent warszawskiej ASP, wystawiał dotychczas w Holandii, RFN, Jugosławii oraz w USA. Galeria KIK-u, mieszcząca się w pomieszczeniach polskiego kościoła w dzielnicy Tempelhof, staje się coraz bardziej znanym ośrodkiem życia kulturalnego. ■ Bliżej nie określona Polska Partia Narodowo-Demokratyczna została zawiązana w Stuttgarcie. Przewodniczącym został Andrzej Mazur. Gościem na zebraniu założycielskim był „przewodniczący tutejszego oddziału PPS, kol. Tadeusz Leń”. Polscy emigranci ciągle nie mają rozeznanie w sprawach politycznych... ■ Monachijski Klub Niezależnej Myśli im. J. Mieroszewskiego zorganizował spotkanie dyskusyjne z Romualdem Szeremietiewem, b. działaczem PAX-u, współzałożycielem Konfederacji Polscy Niepodległej. Szeremietiew przedstawił w Klubie pogląd, że rozmowy „okrągłego stołu” nie mogą zakończyć się sukcesem, że nie przyjmie ich i nie zaakceptuje społeczeństwo, mimo nacisków Lecha Wałęsy i jego doradców. Jednakże obecni na sali członkowie i sympatycy Klubu nie podzielili poglądów prelegenta. Głównie dlatego, że nie potrafił on zaproponować swartego i przekonującego kompleksu innych możliwych taktyk opozy-

cyjnych. Nie odpowiedział na pytanie: skoro nie zgadza się Pan z taktyką Wałęsy — to co konkretnie Pan proponuje? Jak się wydaje, brak konkretnego programu stanowi problem ugrupowań, z którymi związany jest Szerebietów. ■ 25 stycznia rozpoczął w Berlinie Zachodnim działalność Klub Polsko-Niemiecki. Celem prac klubu jest organizowanie spotkań dyskusyjnych zmierzających do zbliżenia obu kultur narodowych. Spotkania te odbywać się mają dwa razy w miesiącu. Pierwsze poświęcone było tradycji i współczesnej obecności Polaków w Berlinie. Otworzył je Bernd Schimmler, radca dzielnicy Wedding, w której usytuowany jest klub. Wśród spotkań już zaplanowanych przewidziany jest pokaz filmu Andrzeja Wajdy „Człowiek z marmuru”, a także odczyt znanej berlińskiej fotografi Susanne Fels „Witold Gombrowicz w Berlinie”. Przewidziano także wystawy plastyczne oraz — temat w chwili obecnej niezwykle interesujący — polsko-niemiecką dyskusję na temat rynku pracy w tym mieście. Animatorką klubu jest Maria Szewczyk, od kilku lat mieszkająca w Berlinie na stałe. ■ Liczba osób ubiegających się o azyl w RFN znówu rośnie; w lutym bieżącego wnioski o azyl złożyło 12.008 osób (3.003 obywateli PRL). Zaledwie 7,2 % — przeciętna — ma szanse na spełnienie zastrzonych przepisów azylowych. W styczniu i lutym bieżącego roku 1.342 osoby uzyskały status uchodźcy politycznego. Według informacji z *Auswärtiges Amt* w Bonn konsulat RFN w Warszawie wyraźnie zastrzył procedurę wydawania wiz dla Polaków. Zaostrożono także odprawę graniczną i celną Polaków przybywających do Republiki Federalnej. Zaostrożono jednocześnie kryteria przyznawania statusu przesiedleńcy. Warszawie zależy wyraźnie na podtrzymaniu wyjazdów w celach zarobkowych (praca „na czarno” i przywożenie zachodnich walut). *Trybuna Ludu*: „Politycy z Warszawy, podnosząc wskazujący palec, mogą zapytać kogoś nad Renem, co w Bonn myśli się o swobodzie podróżowania i przenoszenia się”. ■ Ostatnio polscy celnicy zatrzymali na przejściach granicznych ponad 3.000 obywateli PRL udających się w podróż do krajów zachodnich. Zakwestionowano towary przewożone w celach handlowych. Tysiące Polaków przyjeżdża do Berlina zachodniego w celu zbytu najprzeróżniejszych towarów na czarnym rynku; są już „polskie place”, na których urzędują szmuglerzy z PRL. ■ Zachodni-niemiecka prasa relacjonowała sprawę jednego z licznych Polaków ubiegającego się o azyl polityczny w RFN. Kiedy miejscowe władze chciały go zawiadomić, iż jego wniosek o azyl został odrzucony, okazało się, że rzekomo przesładowany politycznie w Polsce wyjechał tam właśnie na urlop. ■ Kanclerz Kohl w wywiadzie udzielonym *Trybunie Ludu* mówiąc o szczegółach zbliżenia z Polską wymienił m.in. gotowość strony polskiej do rozwijania nauki języka niemieckiego (chodzi o specjalistyczne gimnazja na Śląsku); „jesteśmy zainteresowani, żeby w Polsce pamiętano i o „innych Niemczech”, np. aby uczczono pamiątkową tablicą tych Niemców, którzy zginęli w Wilczej Jamie pod Kętrzynem, jak płk Claus Schenk hr. von Stauffenberg (1907-1944) dokonali zamachu na Hitlera, czy w Krzyżowej na Śląsku, gdzie spotykali się przeciwnicy hitleryzmu”. Kanclerz RFN mówił także o konieczności współpracy i wymianie młodzieży. ■ W Berlinie wydano dwie interesujące broszury: *Polacy w Berlinie. Informacje dotyczące prawa pobytu* (Wydanie Rzecznika Senatu d/s Obcokrajowców); *Polacy w Berlinie. Historia i dzień dzisiejszy*. Dwujęzyczną broszurę (okładkę zdobi fotografia ze spotkania Güntera Grassa z Marią Kurecką-Wirpszową i Witoldem Wirpszą) opracował Grzegorz Ziętkiewicz na zamówienie zachodniobermberskiego Senatu. Dużo miejsca poświęcono polskim emigrantom. ■ Handel Polska-RFN mimo ciągłych trudności związanych z kolosalnym zadłużeniem zanotował w 1988 roku wzrost obrotów o ponad 20 %, sięgając kwoty 5,85 mld marek, czyli bliskiej największym w historii stosunków wynikiem z 1985 roku.

ODPOWIEDZI CZYTELNIKOM

Pan Jerzy P., Kolonia, RFN. — Pan Krzysztof Hyla (*Kontinent, Bonn*) podpisuje swoje artykuły czy notatki, zamieszczane w polskiej prasie emigracyjnej polskim imieniem. I tak było z „Kroniką niemiecką” (*Kultura* nr 10/1988), której był współautorem. Hyla jest rodowitym Niemcem: zasłużył się wyjątkowo na polu pojednania niemiecko-polskiego. Oczywiście nie można od niego wymagać, ażeby w prasie niemieckiej podpisywał artykuły imieniem „Krzysztof”, artykuły sygnuje więc imieniem „Christof”, które figuruje wyraźnie w jego niemieckim paszporcie. Dziwne, że w tej samej sprawie Hyla wcześniej zaatakowany został przez organ Ziomkostw — *Deutscher Ostdienst*. Również list Jerzego P. jest utrzymany w tym samym tonie. Najbardziej zabawny fragment w liście J.P. do paryskiej *Kultury*: „Myślę, że taka redakcja jak Pańska powinna wymagać od piszących na jej łamach, by się zdecydowali co do swego pochodzenia i pisowni własnego nazwiska”.

A. J. CH.



kontakt

Miesięcznik redagowany przez członków i sympatyków „Solidarności”

42, rue Raymond Marcheron
92170 Vanves, France
tel. (1) 46 45 87 16

Warunki prenumeraty	6 m-cy	rok	1 egz.
Francja (FF)	170,00	330,00	30,00
Australia (dol.AUS)	44,00	83,00	8,00
Austria (Szl.)	400,00	770,00	77,00
Dania (DKr)	220,00	400,00	40,00
Kanada (dol.CAN)	38,00	72,00	6,5
Norwegia (NKr)	170,00	330,00	30,00
Niemcy (DM)	55,00	110,00	11,00
Szwecja (SKr)	170,00	330,00	30,00
Szwajcaria (FRS)	48,00	90,00	9,00
USA (dol.USA)	30,00	57,00	5,50
Wlk. Brytania (£)	17,00	33,00	3,00

Wpłaty prosimy dokonywać na adres redakcji
lub na nasze konto pocztowe:

KONTAKT, CCP PARIS 351140E

Kronika kulturalna

Archipelag New York (III)

Pozazdrościwszy Charłampowi jego przypadków i doświadczeń w rodzinnej Warszawie, udałam się po inspirację w kierunku odwrotnym, do miasta, którego jestem córą adoptowaną, po rocznej z nim rozłące. Oddalenie, jak wiadomo, zaostrza zmysły i jest sprawdzianem uczuć. Co tam widziałam przez trzy tygodnie, uczciwie i wiernie opiszę.

Loty do Ameryki z kontynentu europejskiego, zazwyczaj nudne (obiadek z folii aluminiowej, cienkusz francuski lub kalifornijski, film, na który nigdy bym nie poszła z własnej woli do kina) teraz obfituje w nowe atrakcje, które streścić można w jednym zdaniu: dolecimy czy wybuchniemy? Pasażer czuje się trochę jak baron Münchhausen, który, jak wiadomo, używał między innymi jako środka lokomocji bomby z żarzącym się lontem (patrz nowy film Terry Gilliama osnuty na tle jego sławetnych *Przygód*). Pasażerowie, słuchając komunikatów z kabiny pilota wygłaszanych głębokim barytonem z akcentem środkowo-amerykańskim, „Tu mówi wasz kapitan”, drżą jak listki: Czy może przymusowe lądowanie pośród wzburzonych fal oceanu? Tym razem znowu się udało i wylądowaliśmy na znajomej ziemi amerykańskiej nie w kawałkach, z przeznaczeniem do badań laboratoryjnych, lecz w jako takiej całości.

Jazda z lotniska JFK do centrum Archipelagu kosztuje dziś już tyle, co jedna czwarta zniżkowego lotu przez Atlantyk, to jest 45 \$. Plus napiwek. Po drodze myślący człowiek ma sporo czasu do zastanowienia się, czy aby na pewno przyleciał do właściwego eldorado, bo oczy, książęta zmysłów, wedle definicji Z. Herberta umieszczonej w „Potędze smaku”, nasuwają sporo wątpliwości. Kontemplując krajobraz miejski Brooklynu przesur-

wający się za szybą dychawicznej taksówki dostrzec można: a) porzucone na poboczu wraki samochodów w różnym stadium rozkładu; b) drewniane budy-szeregówki, zwane tu nie wiedzieć czemu domkami jednorodzinnymi; c) góry odpadków, począwszy od starych opon, a skończywszy na znacznej kolekcji butelek i toreb plastikowych nadzianych na gałęzie bezlistnych krzewów. Jednakże bywałam w świetle nie, muszę wyjaśniać, że siłą Nowego Jorku są skrajne kontrasty. Miasto coraz bardziej się polaryzuje, a przynajmniej tak się na pozór przedstawia (osobiście w to wątpię, bo w moim przekonaniu najbardziej neurotyczni są tu bogacze, ale niech będą kontrasty dla dramatycznego obrazu). Wystarczy bowiem wjechać do środka Manhattanu, by zobaczyć cuda: architektura falliczna rośnie w oczach, drapacze chmur robią to dokładnie, co mają w nazwie, to jest łaskoczą chmury, a dołem, wzdłuż filii paryskich i florenckich butików, suną panie, panowie i dziatwa w futrach nurkowych niedbale zarzuconych na dżinsy. Tu nawet żebracy opływają w dostatki i plują na kocyki z dów Opiekuna Wszystkich Uciśnionych, wielbnego J. Urbana.

Podśluchane/podpatrzone:

Przechodzień wysupłuje z kieszeni garść monet. Żebrak zwraca mu uwagę karcącym tonem: „Centów nie przyjmuję”. Przechodzień odchodzi ze wstydem, kuląc się przed mocą wzroku. Inny żebrak, mężczyzna słusznej postury, w sile wieku, przechadza się po swojej części chodnika przed moim ulubionym kościołem prezbiterianów na Madison Avenue, pokrzykując: „Przyjmę sto dolarów, sto dolarów”. I tym, którzy stopieni przystają, szepcze konfidencjonalnie: „No dobrze, może być pięćdziesiąt”.

Córka Józefa Wittlina powiedziała mi o wspaniałym pomysśle: wystawić *Operę za trzy grosze* z udziałem nowojorskich bezdomnych i żebraków. Aż mnie dreszcz przeszedł. Każdy nowojorzczanin ma głębokie poczucie winy wobec tych ludzi, z których część po prostu wróciła do obyczajów nomadów. Ale nie o tym chciałam. Jak już kiedyś zauważyłam na tych łamach, po Nowym Jorku nie chodzi się krokiem spacerowym, lecz biega się rączym kłusem. Wszystko tu odbywa się w przyspieszeniu i mieszkańcy Archipelagu tym się odznaczają, że z konieczności lub potrzeby żyją w ciągłym stanie ekscytacji. Ci, którym nie wystarczy już energii, popadają w depresję. Jednostki słabo przystosowane muszą zażywać narkotyków, by nadażyć za tempem, które jakby stale przyspiesza. Jednakże mitem jest twierdzenie, że Nowy Jork jest najniebezpieczniejszym miastem w Stanach Zjednoczonych. Wcale nie. Znajduje się na dalekim miejscu listy dziesięciu. Ten tytuł należy do stolicy USA, Waszyngtonu (ojciec-Założyciel przewraca się nadaremno w grobie), który ze wszystkich miast amerykańskich ma najwyższy wskaźnik morderstw na głowę mieszkańca. Ten zgrabny *bon-mot* jest celową

zabawą słowną, a nie potknięciem stylistycznym. Nowy Jork jest całkiem bezpieczny, jeśli zna się podstawowe techniki przetrwania, a mianowicie jeździ się po mieście limuzyną z uzbrojonym kierowcą, omija dużym łukiem niektóre połacie i w razie pieszej eskapady przestrzega czegoś w rodzaju godziny antypolicyjnej. Chodzi mi o tę porę doby, gdy ulice przejmują we władanie przestępcy, a z pewnością ludzie spragnieni cudzej sakiewki, ponieważ zmusza ich do tych czynów ssący głód narkotyczny. Jest to skłonność kosztowna, a nadto zmieniająca łagodnego, pokój miłującego człowieka w drapieżnika miejskiego. Ale i pod tym względem nie należy przesadzać, bo w Nowym Jorku moda ma ogromne znaczenie, a ostatnio należy do dobrego tonu przyjmować życie takim, jakie ono jest, bez żadnych środków znieczulających. Więc mnożą się komitety samopomocy, gdzie grupowo walczy się z nałogiem pod patronatem jednego z licznych Kościołów lub organizacji obywatelskich. Nowojorcianie mają to do siebie, że wszystko co można już przeżyli.

Imperatyw moralny na dzień dzisiejszy brzmi zatem: żadnych używek, nawet papierosów, które bądź co bądź zostały wynalezione na ziemi amerykańskiej i w pierwotnej wersji służyły za fajkę pokoju. Przypuszczalnie można bez protestu przechodniów wprowadzić sobie do krwiobiegu dawkę heroiny, lecz zapalenie papierosa w miejscu publicznym grozi natychmiastowymi przesładowaniami. Oczywiście, dużo bezpieczniej jest nawracać na poczekaniu palacza niż heroinistę, o czym wie każde dziecko nowojorskie, niemniej takie stężenie dydaktyki stosowanej działa na nerwy. Praktycznie nigdzie nie dadzą człowiekowi zapalić: ani w restauracji, ani w biurze czy uchwaj Boże urządzie, ani w pociągu, ani w samolocie na krótszych trasach, ani w poczekalni u dentysty, co jest szczególnie bolesne. Pudełka papierosów straszą ostrzeżeniami: „Palenie papierosów powoduje raka, choroby krążenia, zmiany patologiczne płodu u kobiet ciężarnych”. Ponieważ osobiście wyznaję pogląd, że wszystkie choroby mają tło psychosomatyczne, sądzę, że takie straszenie z pewnością nie wyjdzie palaczom na zdrowie. Z samych nerwów i zaszczucia popadną w ciężkie schorzenia.

Podpatrzone/podsłuchane:

Onkolog do znajomej kobiety przed przedstawieniem C. Taylora *Good*, jednej z najbardziej dramatycznych sztuk, odelaniających cwana naturę intelektualisty, który zawsze sobie wszystko zracjonalizuje: „Pal, pal, to dostaniesz raka płuc”. Znajoma kobieta, zaciągając się: „Jeśli mnie zapewnisz, że rzucając palenie będę miała zagwarantowaną łagodną i przyjemną śmierć, w tej chwili rzucę palenie”. Onkolog (po chwili brzemiennej milczenia): „Twoja opinia dowodzi, że choć jesteś w średnim wieku, ciągle jesteś młoda i niedoświadczona. Przyjdź do mojego gabinetu, żeby zobaczyć ludzi duszących się żywcem”.

Drugim wielkim tematem zdrowotnym Nowego Jorku jest AIDS. W przeliczeniu na głowę mieszkańca najwyższą zapadalnością na ten syndrom odznacza się Zurych, ale w liczbach bezwzględnych nad wszelkimi innymi skupiskami w świecie góruje Nowy Jork. Ogromny szpital miejski Bellevue (cóż za ironiczna nazwa) nieubłaganie przekształca się w hospicjum dla pacjentów w ostatnich stadiach AIDS. Choroba czyni spustoszenie w środowisku artystów, intelektualistów, projektantów mody, architektów wewnątrz i anonimowych ludzi. Praktycznie nie ma dnia, by za spokojój duszy ofiar AIDS nie odbywało się nabożeństwo żałobne w jednej z największych katedr świata, pod wezwaniem Świętego Jana. Jest to znajdująca się ciągle w budowie neogotycka świątynia anglikańska, której pastor jest zarazem architektem teje i wielkim mecenasem artystów. St. John the Divine jest w dużo większym stopniu ostoją Nowego Jorku niż — powiedzmy — Wall Street. Trzecia Płeć, do niedawna w ofensywie, agresywna i wicująca, domagająca się równych praw, ale też i ekstra przywilejów, flirtująca ze sobą w osobnych klubach i lokalach, spotykająca się w łaźniach publicznych i — co tu ukrywać — w szaletach, nastawiona na gwałtowne użycie do granic wytrzymałości fizjologicznej, całkowicie zmieniła się dotknięta tragedią. Ale też nastąpiła zmiana podejścia do niej ze strony ciągle heteroseksualnej większości. Lęk przed zarażeniem się, co w końcu zdarza się nadzwyczaj rzadko w zwykłych sytuacjach życiowych, ustąpił autentycznemu współczuciu w Nowym Jorku, i niekiedy aktom nadzwyczajnego poświęcenia, pomocy konkretnej i moralnej. W moim pojęciu ten potencjalny konflikt został zażegnany. Nowojorcianie może wcześniej od innych nacji (bo uważam ich za autonomiczną grupę) pojęli, że razem tworzymy organizm zbiorowy i że wykluczenie z tej zbiorowości pewnej grupy z jakichkolwiek powodów może skończyć się katastrofą nie tylko dla wykluczonych. W każdym razie do mitów zaliczam przekonanie, że mieszkańcy Archipelagu są ludźmi wypranymi z wszelkich uczuć do bliźniego, nawet jeśli nie dzielą jego wyborów lub skłonności. Nowy Jork, jak rzadko inne miejsce w świecie, uczy tolerancji rasowej, etnicznej i obyczajowej, i byłoby dobrze, by nowi osadnicy przybywający tam ze wszystkich stron świata pojęli tę zasadę w miarę szybko. Bo oczywiście przybysze mają tendencję do zasklepiania się w swoim języku, w swoich zwyczajach i w swoich poglądach, być może ze względu na przyrodzoną człowiekowi niechęć do nowego i nieznanego.

I tu dosiadę na jakiś czas polskiego konia. Otóż gen. Jaruzelski i spółka uczynili setkom tysięcy Polaków wspaniały prezent w postaci stanu wojennego. Wyrzucili poza nawias polski jedynostki rzutkie i wytrzymałe. Współczująca Ameryka otworzyła

przed uchodźcami swoje granice, pomogła im stanąć na nogi i rozwinąć naturalne zdolności do czegoś, co w Polsce, z pogardliwym skrzywieniem ust, nazywa się prywatną inicjatywą. Z jakiegoś niepojętego powodu zwrot ten, który w Ameryce jest jakby symbolem aktywności, *private enterprise*, w mowie Mickiewicza i Miłosza nabrał, być może wskutek wieloletniej propagandy, pejoratywnego zabarwienia. Przy szklance whisky usłyszałam od Bolesława Wierzbiańskiego, prezesa Bicentennial Publishing Co. i redaktora naczelnego oraz głównego udziałowca *Nowego Dziennika*: „W Nowym Jorku pieniądze płyną rzeką”. Rzeczywiście, ci Polacy i nie tylko Polacy, którym zależy na majątku doczesnym, nie mają tu zasadniczych trudności, gdy raz pojmą zasady. Na czym robi się tu pieniądze? Na czym kto chce, ale najprościej jest kupić nie za swoje, lecz pożyczone z banku pieniądze nieruchomości i natychmiast zasadić w niej lokatorów, którzy wspólnym wysiłkiem spłacą zaciągnięty w banku dług. Można też dorobić się na usługach. Można uruchomić sklep lub warsztat, założyć firmę budowlaną, remontowo-malarską, reperować automatyczne przekładnie w samochodach. Co kto woli. Można nawet niezłe zarobić handlując książkami na ulicznym straganie. Co do tego ostatniego mam pewne wątpliwości. Nie wiem, może Polacy w Nowym Jorku nie kupują zbyt wiele książek, skoro pewien artysta-malarz, który założył swego czasu księgarnię na Dolnym Wschodnim Manhattanie, splajtował i, jak mnie słuchy doszły, nie rozliczył się następnie z książek, które wziął na kredyt od wydawnictw emigracyjnych, na przykład od londyńskiego Apeksu. Podaję co usłyszałam. Ale w czasie licznych pieszych wędrowek po Manhattanie w ciągu tych trzech tygodni natknęłam się na Broadwayu na młodego murzyńskiego sprzedawcę, który otwarcie mi powiedział, ile zarabia tygodniowo na sprzedaży książek po cenach konkurencyjnych do księgarni: średnio 400 \$ tygodniowo na czysto, pracując po pięć-sześć godzin dziennie, w słońcu czy mrozie. Zapytałam go, czy nigdy nie został okradziony. „Nie — odparł. — Nikt by nie dał za mnie złamanego grosza”. I dalej zaczął mi zachwalać wybór szkiców Primo Levi o przetrwaniu zagłady Żydów. Młody człowiek był na dodatek oczytany i znał psychologię klienta.

Wróćmy jednak do ulubionego tematu, to jest świadomości Polaków w Nowym Jorku. Otóż na własne oczy przekonałam się, że jest to grupa etniczna również wpływająca w dostatek. Okolicznością, która mi tego dowiodła były ostatki, hucznie obchodzone pod patronatem Międzynarodowej Fundacji Dziennikarskiej *Nowego Dziennika* w głośniejszej (w obu znaczeniach tego słowa) dyskotecie nowojorskiej pn. *Limelight*, czyli Światła rampy. Najpierw należałoby opisać sam lokal, jedyny w swoim rodzaju. Jest to bowiem kościół, a dokładniej — zbór ewangelicki, zali-

czany do zabytków nowojorskich i wzniesiony przez znanego architekta z połowy ubiegłego wieku, Littlejohna. Świątynia anglikańska powstała dzięki funduszom niejakiej pani Rodgers, której brat był pierwszym rektorem zboru, a zarazem organizatorem przytułku dla sierot pod wezwaniem Świętego Łukasza (dziś szpital, znów niemal całkowicie przeznaczony dla ofiar AIDS). Przyznam, że nie wiem w jakich okolicznościach nastąpiła zmiana funkcji tego szacownego neogotyckiego budynku ze zboru na dyskotekę. Pozostawiono w nim wiele elementów sztuki sakralnej, między innymi witraże ze scenami z Nowego Testamentu.

Dość na tym, że w ostatki Polacy wzięli *Limelight* w posiadanie i tam zaczęli o północy Wielki Post. Nigdy przedtem nie spotkałam poza Ojczyzną takiej ich liczby sfoczonej w jednym miejscu. Fakt ten wymagał dodatkowej kontroli; na przykład trzeba się było powstrzymywać od uwag na temat bliźnich wypowiedzianych donośnym głosem i dbać o poprawność języka. W miejscu, gdzie przedtem znajdował się główny ołtarz i prezbiterium, szalała grupa artystów sprowadzona na tę okazję samolotem z Warszawy, na czele z Ewą Dańkowską. W przerwach między występami grzmiąły szafy dźwiękowe. Była to próba serca, bo jak mi powiedział znajomy kardiolog, serce czasem może się pomylić i zatłuc samo siebie, wpadając w inny rytm. Tam, gdzie kiedyś znajdowała się zakrystia, roztawiono stół z bigosem i z faworkami, śledzik czekał na północ. Na wielkich ekranach telewizyjnych ukazywały się duchy Elvisa Presleya i Johna Lennona. Tańczący w nawie głównej tłum — a wrażenie drgawek potęgowały lampy stroboskopowe — najlepiej obserwowało się z góry, z licznych obęsk dawnego zboru. Bar, jak się dowiedziałam, tej nocy przekroczył równowartość trzymiesięcznych obrotów.

Tłum rozstał się w podziwiew, gdy do *Limelight* wkroczyły dwa ubrane na biało zjawiska, dwie niedawne Miss Polski, Katarzyna Zawidzka i Joanna Karska, w toaletach od wielkich projektantów mody, w chwale modelek i aktorek zarazem. Szczególnie w tym otoczeniu można je było wziąć za anioły.

Zebrani w liczbie ponad dwóch tysięcy wysłuchali też tekstu depechy okolicznościowej, którą wystosował burmistrz Nowego Jorku Edward Koch, ubiegający się o kolejną kadencję. W telegramie padło dużo ciepłych słów, także po polsku, pod adresem *Polaków, ostatków i śledzika*. Koch przyjaźni się z arcybiskupem O'Connorem i podejrzewam, że trochę mu zazdrości funkcji, która nie jest obieralna, lecz z mianowania.

Nie był to bynajmniej jedyny bal polski w ostatnich dniach karnawału. Nowy Jork stał się dla uczestników zabawy karnawałowej w innej dyskotecie (tym razem przerobionej z fabryki i na

co dzień będącej klubem homoseksualnym, o czym informowała stosowna tablica) czymś w rodzaju osiemnastowiecznej Wenecji. W każdym razie dekadencja była prawie taka sama. Ten bal — maskowy, tajemniczy i uwodzicielski — odbywał się w Wielką Sobotę pod auspicjami jednej z dwu polskich stacji telewizyjnych, działających w obrębie Wielkiego Nowego Jorku. „Stacja” to może za dużo powiedziane — chodzi o programy głoszące w określonych godzinach w czasie *weekend*'u słowo polskie i pokazujące polską gebę. To aluzja do gęby gombrowiczowskiej, więc obrażać się nie należy. W moim mniemaniu królami tego balu była grupa skupiona wokół grafika Andrzeja Dudzińskiego i jego żony Magdaleny. Za maskami, dziełem Mistrza Andrzeja, wzorowanymi na *commedia dell'arte*, jeszcze mokrymi od farby, uzbrojonymi w groźne dzioby, ukrywały się twarze ludzi szalonych i nad wyraz sympatycznych. Nie mogę jednak pisać o tym bez zazdrości, bo przyszedłam za późno, maski dla mnie nie starczyło i musiałam świecić głową twarzą.

Te dwa wydarzenia w polskim życiu nowojorskim świadczą, jak prężna jest to grupa, jeśli tylko postawi sobie jakiś cel. Nieco gorzej przedstawia się działalność na niwie polskiej na co dzień. Odnoszę niekiedy wrażenie, że Polska z perspektywy wchodniego, a cóż dopiero mówić o zachodnim brzegu amerykańskim, wydaje się odległą wyspą, z którą związek jest przypadkowy i urywany.

Podpatrzone/podsłuchane:

Kierowca taksówki mówi do pasażerki: „Ja jestem Chińczyk, z Chin kontynentalnych, siedem lat w Ameryce. Ja obywatel amerykański teraz. Dobry kraj do życia.”. Pasażerka: „To mamy ze sobą coś wspólnego — wspólne doświadczenie wzrastania w kraju komunistycznym”. Kierowca: „A pani skąd?” Pasażerka: „Z Polski, wie pan gdzie to jest?” Kierowca (po długim namyśle): „Polska, Polska, jest taki mały kraj gdzieś. Ale komunistyczny? Pierwsze słyszę. Na pewno komunistyczny?”

No, może na krętej drodze do komunizmu. Oto i przywołanie do porządku tych, co sądzą, że Polacy są Najwięksi. Co jednak zastanawia w Nowym Jorku, to nie tylko geograficzna, ale i psychologiczna odległość od Polski. Obserwacje porównawcze z obu kontynentów każą mi zaryzykować następujące stwierdzenie: na stosunek emigrantów (czy raczej imigrantów, zauważmy istotną różnicę znaczeniową) do pojęcia polskości wpływa ocean, a także pragmatyczny sposób myślenia, charakterystyczny dla umysłowości amerykańskiej. Gdybyż jeszcze Polacy wyzbyli się sentymentalnych ochów i achów, górnolotnych deklaracji, a w razie potrzeby wzięli się do konkretnego działania! Mówię tu o średniej zachowań, bo od takiego sposobu postrzegania polskości istnieją odstępstwa zarówno w jedną jak i w drugą stronę. I to

bardzo poważne odstępstwa. Zdaniem jednego z licznych moich rozmówców, których w ciągu trzech tygodni nowojorskich przepytalam, świadomość związków z Polską może być wzrosła, gdyby nasz własny rząd amerykański nie uniemożliwiał nam słuchania na terytorium USA programów radiowych Radia Wolna Europa i Głosu Ameryki. Obie te radiostacje, w myśl odpowiedniego ustawodawstwa Stanów Zjednoczonych, mają charakter propagandowy, a propaganda nie może być dostarczana przez media mieszkańcom tego wielkiego kraju. W rezultacie Polacy czy też Amerykanie polskiego pochodzenia są pozbawieni nie tylko ważnego źródła informacji, ale i elementu scalającego. Wydawałoby się, że i dla polskich, i dla amerykańskich Polaków byłoby lepiej, gdyby wspomniane radiostacje funkcjonowały na zasadzie BBC, radiostacji też finansowanej z pieniędzy podatnika, lecz całkowicie autonomicznej wobec administracji państwowej, ale to już osobna sprawa. Rolę spoiwa pełni zatem w USA *Nowy Dziennik*. Jest to przywilej, łączący się z ogromnymi obowiązkami. Bo wymaga to od całego zespołu dojrzałości wypowiedzi, niezawisłości i bezstronności, w myśl podstawowych zasad dziennikarstwa amerykańskiego. Na ogół nie spełniają tej funkcji scalającej liczne lokalne godziny radiowe w języku polskim prowadzone przez przypadkowe osoby, z dziennikarstwem mające niewiele wspólnego i nadające w obfitości dawne i nowe szlagiery. Sporą rolę do odegrania mają natomiast lokalne programy telewizyjne, ale dużo jeszcze ich założyciele i prowadzący muszą się nauczyć. Nie chodzi nawet o to, jak sprawnie posługiwać się kamerą video lub zrobić montaż elektroniczny. Może najważniejsze jest to, jaki ton nadać tym programom. Wyświetlany w odcinkach „Pan Wołodyjowski” nie wystarcza. Podstawowa szkoła wywiadu przydałaby się na przykład młodej osobie płci żeńskiej, która zapowiedziała doskonałego skądinąd pianistę jazzowego Adama Makowicza jako — cytuję dosłownie — „największego polskiego pianistę wszechświata”, po czym dodała, że „cechuje go prostota”.

Pisząc o polskim życiu w Nowym Jorku powinnam wspomnieć choćby o życiu innych instytucji, na przykład Polskiego Instytutu Naukowego, który dziwnie wędnie pod nowym adresem przy 31 Ulicy. Może należałoby wspomnieć, jakie są dalsze losy planowanego kompleksu polskiego przy Irving Place na Manhattanie, ale na razie przynajmniej zamilczę, bo podobno moje poprzednie uwagi, sprzed roku, rozsierdziły kilku Działaczy. Zatem wygłoszę w tym miejscu pochwałę pod adresem Instytutu Piłsudskiego, i to z kilku powodów: bo ma wspaniałego (dziś już honorowego) prezesa w osobie Wacława Jędrzejewicza, bo ma rzutkiego i nadzwyczaj sympatycznego prezesa wykonawczego w osobie Stanisława Jordanowskiego, bo nie ma długów lecz dodatnie konto,

bo wychował następców — młodych historyków i archiwistów, którzy posługują się komputerem jak długopisem i można mieć do ich sądów zaufanie.

Na tym kończyć intermezzo polskie. Bowiem najsłynniejszą postacią wszechświata, by skorzystał ze stylu prezenterki polskiego programu telewizyjnego — jest teraz Salman Rushdie, autor *Wersetów szatańskich*, a jego książka jest najgłośniejszym nie czytany dziełem ostatnich dni, a przynajmniej słabo czytany. Bo też nie tyle o książkę chodzi, lecz o świętą w Stanach Zjednoczonych wolność wypowiedzi, przed czym niechaj drżą cenzorzy wszelkiego autoramentu. Autor jest ikonoklastą? Ależ oczywiście. Dysydem? W dużo większym stopniu, niż okreśłani tym mianem opozycjoniści z Europy wschodniej. Błuzniercą? I to niewykluczone, jeśli go oceniać w kategoriach odstępstw od wiary. Nie znaczy to jednak, że jego adwersarze mają prawo zabronić mu w kraju zachodniej demokracji publicznego głoszenia poglądów. Nie wspominając już o skrytobójstwie i zamachach terrorystycznych jako formie kary. W granice rzeczy jesteśmy świadkami, a niekiedy i ofiarami, wojny *per procura*, toczącej się między koncepcją świata wedle norm wyrosłych z tradycji judeo-chrześcijańskiej, ale norm zeświecczonych, a ultratotalitarnym reżymem, które zakłada swoim i nie tylko swoim obywatelom stryczek na szyję, i to rzekomo w imię Boga, który jak czytamy w pierwszych wersetach Koranu jest *Miłosierny, Litościwy*. W całej sprawie Rushdiego i reakcji na nią Ameryki jest tylko jeden smutny paradoks: otóż w obronie autora uruchamia się wszelkie możliwe formy protestu. Gdy w Iranie, wedle słów Chomeiniego, została wymordowana prawie cała opozycja, takiego zbiorowego protestu obywatelskiego nie było. Oto dowód na potęgę literatury, nawet gdy rzadko kto ją czyta.

Dobrze więc, co czyta Nowy Jork? Otóż ostatnio między innymi dwie książki, ledwo co wydane: Ewy Hoffman *Lost in Translation*, dosłownie *Zgubione w przekładzie*, i Susan Sontag *AIDS and Its Metaphors*, dosłownie *Metafory AIDS*. Obie książki, każda na swój sposób, są próbą demitologizacji, przeciw myśleniu w kategoriach utopii i mitów społecznych. Świadczą też o niezawisłości umysłów autorek, co nazwałabym może najważniejszą cechą światłych Amerykanów.

Mitologizacja i demitologizacja Ameryki. Czasem przybiera to formę obsesji narodowej: bronić własnej indywidualności, traktować siebie jak niezdobytą twierdzę. Jeśli ktoś to lubi, poczuje się tu jak u siebie w domu.

I wtedy właśnie nastaje czas wyjazdu. Pozostawiając za sobą obrazy renesansowej Sieny oglądane w Metropolitan Museum of Art, żegnając nowojorskie futra, rzęsy i obrączki, jadę na zna-

jome lotnisko. W samolocie do Europy pokazują gładki film o ludziach i delfinach i podają lekkostrawny kotlecik z kurczęcia. Wiatry pchają naszą maszynę przez Atlantyk i dodają jej nadzwyczajnej szybkości. Choć to nie Concorde, doleciała do Paryża w pięć godzin i czterdzieści pięć minut. Samolot jest pełen agentów biur podróży, więc rozmowa dotyczy (zaprzeczonych) przyjemności zwiedzania świata.

Podpatrzone/podsłuchane:

Człowiek-góra siedzi w ostatnim rzędzie samolotu. Oczami ze stali omiata wnętrze, sącząc whisky. Pasażerka z sąsiedniego rzędu: „I pomyśleć, że bombę można teraz wmontować do magnetofonu kasetowego”. Człowiek-góra (milczy przeciągle).

Zegnam w myślach miasto, które jest euforyczne, maniakałno-depresyjne, w którym energia jest żywiołem, gdzie czuje się jej fizyczną obecność jak wodę, ogień i powietrze.

Renata GORCZYŃSKA

Pina nie ma

Lubię pamflety, z zainteresowaniem więc przeczytałem tekst Rafała Grupińskiego „Ci wspaniali mężczyźni od podstawowych wartości...” (*Kultura* nr 9/1988).

Pozwalam sobie na jego marginesie zabrać głos.

Zacznę od tego, co Grupiński zarzuca Pinom, a co mnie wydaje się zwykłą zasłoną dymną, „sztuczką” z powieści sensacyjnej. Grupiński ma za złe Pinom „wirowanie w delikatnych i odurzających zapachach wielkich słów” (a przecież to nie jest słowotok, ale walka o treści w tych słowach zawarte), i „niechęć do innych” (tak ogólnikowo można zarzucić wszystko i każdemu; człowiek z natury szuka nie tylko zbliżenia z innymi, ale i musi zachowywać dystans), i to, że „sądzą, że wartości, o które walczą da się ocalić przez rozpamiętywanie ich w niezależnej publicystyce i licznych dyskusjach” (częściowo ma rację, ale przecież po 13 grudnia Pin nie ograniczał się tylko do słów), i to, że drogą niezależną utworowaną niegdyś przez grupę śmiałków „dziś, z ożywieniem i zadowoleniem, paradują w tę i z powrotem tłumy” (a co mają robić, nie chodzić?), i to, że przejawiają „zachowania stadne” (ale, niejako drugą ręką, zarzuca Grupiński Pinom, że dzielą się, że prowadzą spory; jak jest więc z tymi Pinami naprawdę i czy mają udawać jedność? Ja tam wolę, żeby się dzielili i ewentualnie współdziałali). Ba, nawet jak Piny docie-

kają „zakulisowych przyczyn” lub gdy „nastaje moda krytykowania przez Pinów wszystkich i wszystkiego”, to autor też ma im to za złe.

Ale na tym nie koniec. Zarzut koronny brzmi: „(...) nic się nie zmieni w kondycji polskiej myśli niezależnej dopóty, dopóki nie stanie się ona rzeczywiście niezależna, albowiem nic się nie zmieni, dopóki Polska nie stanie się wolnym krajem”. A zatem i Pin się nie zmieni. Skąd jednak ten fatalizm? I po cóż wtykać biednym Pinom ich wady? Z obowiązku kronikarskiego? Zapomniał Grupiński choćby o tym, co sam przed chwilą mówił, stawiając Pinom za wzór „grupę śmiałków, którzy stali się niezależni” w Polsce takiej, jaka jest?!

Uważam, że nie ma co ulegać defetyzmowi. Można polskich Pinów zmienić, nie czekając na cudownie spadną na kraj wolność. Dlatego warto Pinów krytykować, zmuszać ich do pracy nad samymi sobą, podobnie jak i inne grupy niezależne. Trzeba jednak mówić o sprawach istotnych, nie zadowalać się atakiem błyskotliwym acz pozornym.

Pin okazuje, a i zapewne czuje, lęk przed czynem stanowczym. Z „realizmu” uczynił sobie bożka, któremu na ołtarzu ofiarnym poświęci niejedną myśl i niejednego człowieka. Lęk ten powoduje kardynalne wady Pina: zachowawczość w działaniu i ograniczoność w myśleniu. Zwłaszcza ta druga wada, jak na intelektualistę, wydaje się istotna. Ale i pierwsza wyrządza dużo szkód, ponieważ w polskim życiu politycznym intelektualści dominują nad działaczami. Bierze się to, o czym doskonale wiadomo, z patologicznych warunków, w jakich to życie polityczne się rozwija, z przewagi — mówiąc w skrócie — „kanapy” nad organizacją i działaniem. Ale przewaga ta ma nie tylko towarzyskie skutki. Zmienia się optyka polityczna, postrzeganie tego, co ważne w procesie społecznym. „Abstrakty” dominują nad praktyką, wymyślne koncepcje nad rozeznaniem nastrojów, aspiracji i dążeń ludzi. Nadto głos decydujący nie należy do działaczy, ale do teoretyków, którzy ponoć lepiej wiedzą, o co chodzi masom. A zresztą, co ja mówię? Gdybyż to jeszcze były wymyślne koncepcje! Niestety, są tylko wydumane. Dopóki w Polsce nie można było prowadzić czynnej polityki, nie miało to specjalnego znaczenia. Ale od ładnych paru lat sytuacja uległa radykalnej zmianie. Rad bym więc np. poznać kulisy blamażu konspiracyjnego kierownictwa „Solidarności” jesienią 1982 roku, kiedy to zamiast poprzeć wybuchające strajki po rozwiązaniu związku, „przeniesiono” strajk na mityczną datę rocznicy restrykcji „Solidarności” (10 listopada) — ze skutkiem wiadomym. Albo, z wydarzeń nowszych, ciekaw jestem, dlaczego związek nie wyszedł z żadną inicjatywą polityczną jesienią 1988 roku, po falli strajków i po rządowej propozycji rozmów „okrągłego stołu”? Czy Piny miały w tej sprawie coś do powiedzenia? Jestem pewien, że nie miały.

Czynna polityka wymaga wyraźnego odgraniczenia między tymi, którzy firmują różne działania i ponoszą za nie polityczną

odpowiedzialność, a sztabami doradców czy ekspertów. W Polsce ten układ nie jest jasny. Gdy słucham jakiegoś Pina, nigdy nie wiem, czy mówi doradca „Solidarności”, intelektualista czy działacz polityczny. W tych warunkach Pin nigdy nie odpowiada za swoje słowa. Pogłębia to patologię uprawiania polityki w Polsce.

Przyczyny tej patologii leżą jednak gdzie indziej. Nawet nie w totalizmie panującego systemu. W totalizmie samych Pinów. Oni wiedzą, jak trzeba urządzić świat. Pin wie, że „nie-realistyczne” jest dążenie do odzyskania niepodległości i do przejęcia władzy. Większość polskich nurtów opozycyjnych głosi, że nie dąży do obalenia systemu komunistycznego. Nawet jeżeli założyciel, że w tych słowach jest wiele taktyki, to przecież i tak robi się śmiesznie. „Żeby opozycja była opozycją”, chciałoby się sparafrazować niedzisiejszego wieszczka. Ciągła obawa, „czy aby nie za wcześnie?”, „czy to nie prowokacja?”, „czy to nie nacjonalizm?” — powoduje, że większą estymą cieszy się bierność niż działanie. Utwierdza to panowanie Pinów i „kanapy”.

Największy grzech Pina jest, jak wspominałem, tożsamy z grzechem komuny: totalizm w traktowaniu ludzi i społeczeństwa, w myśleniu i ocenach. Dla Pina społeczeństwo jest czymś w rodzaju pudełka z klockami, które są najwyraźniej źle poukładane, skoro dzieje się tak, jak się dzieje. Ale przecież wystarczy je uporządkować, wystarczy, aby władza funkcjonowała racjonalnie, żeby poszczególne grupy także zachowywały się racjonalnie, żeby... — a wszystko dobrze się ułoży. Pinowi trudno zrozumieć, że ludzie może błędzą, ale chcą mieć prawo do błędzenia, chcą sami walczyć o wolność, choćby to było nieracjonalne. Ludzie nie chcą, żeby za nich decydowano, co i kiedy mają robić i o co im naprawdę chodzi.

Pin nie może tego zrozumieć, ponieważ jest Wielkim Konstrukctorem, kimś, kto ma wreszcie zrobić porządek w tym bałaganie. Dlatego tak wytrwale doradza, wskazuje jak powinno być, przestrzega — tak władzę, jak i grupy niezależne od niej — i wypisuje moralne drogowskazy. Tak naprawdę, to Pin stale się boi, że ludzie nie dorosli do wolności, że bez jego porad stracą kolejną szansę.

Może dziwić, że ta przemożna chęć urządzania świata nie popycha Pina do działania. Ale przecież swoisty letarg Pina okazuje się skutecznym. Po co więc zmieniać metodę? Kiedy wszystko jest jasne i ustalone, kiedy wiadomo, że czerwony jest „be”, a my jesteśmy „cacy”, to np. nie trzeba jechać na strajk do śląskich kopalni, gdyż i tak i tak — czy siedząc w domu, czy śpiąc w hali fabrycznej — wszyscy jesteśmy bojownikami za świętą sprawę. Zresztą, z Warszawy lepiej widać, co piszczy w Pałacu, a zatem czy np. nie pora zrezygnować z żądań na rzecz kompromisu i porozumienia? Chciałbym być złym prorokiem, ale chyba niedaleki jest już dzień, kiedy Pin odwróci się od młodych robotników i powie: oni są nieodpowiedzialni, to ja, tylko ja, jestem polską „Solidarnością”.

Teraz akurat — w pierwszej połowie grudnia — wyraźnie

możemy zobaczyć, jak Pin, w wyścigu do „okrągłego stołu”, przemilcza represje policyjne wobec strajkujących i aktywnych, udaje, że nie widzi matactw i świństw władzy. Dobra władza poluowała cenzurą, to może nie pora dopominać się o wolność prasy? Świetny to okres, żeby zobaczyć, kto i w jaki sposób wytycza politykę „Solidarności”. Jak w gruncie rzeczy nieważna dla Pina jest walka szarych pracowników o ich własny, niezależny związek zawodowy, jak mało go interesuje obrona interesów pracowniczych. O, Polska, to co innego!

Gdyby Pin był rzetelny, musiałby analizować powstałą sytuację i wyciągać logiczne wnioski niezależnie od tego, czy są wygodne dla niego i jego towarzyszy, czy nie. Nadto musiałby zająć jasne stanowisko. Czy np. jest socjalistą, czy narodowcem, a może chadakiem albo jeszcze kimś innym, czy też jest indyferentny politycznie. I on jako intelektualista, to uważa, że..., albo — jako socjalista sądzi, że... A tak, to zbyt łatwo i często Pin mówi „w imieniu narodu”. I teraz spróbuj zrozumieć czyje interesy kryją się za tym zwrotem!

Nie chcę przez to powiedzieć, że nikt nie ma prawa przemawiać w imieniu narodu. Pin także może mówić: „Ja sądzę, że Polacy...”, może a właściwie nawet musi upominać się o wartości zasadnicze dla życia narodu. Nie potrzeba mu do tego żadnych „upoważnień”, żadnych mandatów uzyskanych w wolnych wyborach. „Ci wspaniali mężczyźni od podstawowych wartości” muszą być właśnie tacy: to jeden z sensów ich istnienia.

Ale Pin chce więcej, mówi tak, jakby sam był całym narodem. I mówi nie poczuwając się do żadnej odpowiedzialności. Raz powie jedno, raz — drugie. Raz życie da jego twierdzeniu od razu prztyczka w nos, drugi raz nie — on i tak powie cokolwiek z równą co poprzednio autorytatywnością. Poza tym Pin sądzi, że skoro ma rację co do podstawowych wartości, to ma rację we wszystkim. Z równą swobodą wypowiada się o wolności związkowej co o gospodarce, prawie czy jeszcze czym innym. Budzi to nie tyle — jak zdaje się sądzić — podziw, ile wątpliwości. Pin mógłby być skromniejszy, mógłby np. mówić raczej coś takiego: z takich to a takich powodów uważam, że projekt ustawy o... jest zły, albo — działania władzy mają na celu osiągnięcie tego i tego, a zatem są niekorzystne dla... (tu wstaw odpowiednie dopełnienie). Ba, ale gdyby Pin był skromniejszy, to nie musiałbym pisać tego tekstu! Choć być może skłonił go do zadumy fakt, że gdy miano siadać do „okrągłego stołu”, strona społeczna poczuła się nieprzygotowana do rozmów o konkretnych sprawach? Nie tylko o pluralizmie, ale np. o reformie gospodarczej, o systemie samorządowym itp. Jak słusznie zauważył Rafał Grupański, dokonania intelektualne Pinów, jeśli chodzi o polskie wydarzenia ostatnich dziesięciu lat, są mizerne. Tym bardziej irytuje nieskrywana niechęć Pinów do innych niż ich poglądów, zwłaszcza, gdy są one radykalne. Nikt nie może być radykalniejszy od Pina, choć Pin wcale nie chce być radykalny.

Wszystko to nie burzy dobrego samopoczucia Pinów. Pomaga mu w tym liczne przywileje, jakimi w międzyczasie obróśł.

Przykro mi (gdyż Pin działa w dobrej sprawie i niemniej dobrej wierze), ale te przywileje przypominają nomenklaturę. Przywilej mówienia „w imieniu narodu”, przywilej nieponoszenia odpowiedzialności publicznej, ba, nawet przywilej materialny, wynikający z możliwości zarobkowania za granicą (co w patologicznych polskich warunkach świetnie „ustawia”). A ma Pin te przywileje dlatego, że jest przedstawicielem polskich aspiracji niepodległościowych. A więc nie zawsze warto odcinać się od niepodległości!

Ale skoro już zeszedłem na tak śliski grunt jak przywileje, to może lepiej byłoby zakończyć ten tekst? Może skorzystać z życiowej mądrości Pina i nie „szargać świętości”? Nim już zrobię się pinopodobny, jeszcze kilka słów. Oto najkrótsze podsumowanie Pina:

- 1) Pin ma zawsze rację,
- 2) Pin jest depozytariuszem wartości najwyższych,
- 3) Pina — nie ma.

Nie ma, gdyż ktoś, kto odpowiada powyższej charakterystyce nie może być intelektualistą. A raczej, przepraszam, może być — w rozumieniu współczesnym, „nowoczesnym”. Nie może jednak być mędrcom. W rozumieniu klasycznym.

Krzysztof CZABANSKI

**POLNISCHE BUCHHANDLUNG
KSIĘGARNIA POLSKA**

1070 Wien, Burggasse 22

Tel.: 0222/93 87 222

GODZINY OTWARCIA / ÖFFNUNGSZEITEN:

CODZIENNIE / TÄGLICH 10.00 - 18.00

SOBOTA / SAMSTAG 9.00 - 12.00

SPRZEDAŻ WYSYŁKOWA / BUCHVERSAND

KONTO POCZTOWE PSK 7227.556

Ci, co odeszli

Teodor Parnicki, 1908-1988

Piątego grudnia ub. roku zmarł w Warszawie Teodor Parnicki, niecodzienny człowiek i pisarz. Jego dzieło, składające się z około 30-tu utworów, zaliczane jest tradycyjnie do działu „powieść historyczna”, choć ani rzeczownik ani przymiotnik w tym określeniu nie tłumaczą się same przez się. Parnicki pisał i publikował przez ponad pół wieku — za jego debiut oficjalny uważa się powieść z dziejów Rzymu pt. „Aecjusz ostatni Rzymianin” (1937) — i w ciągu tego czasu zarówno forma jak i treść jego utworów uległy znacznej ewolucji.

Wcześniejsze powieści, takie jak wspomniany „Aecjusz”, druga — najpopularniejsza — jego powieść „Srebrne orły” (1944) i pierwsze powieści powojenne są jeszcze tradycyjne w tym sensie, że dzieją się w ustalonym miejscu i czasie, postaci w nich aspirują do autentyczności, zaś akcja zbudowana jest z konfliktów politycznych, ludzkich namiętności i innych zrozumiałych spraw. Jednak i w nich widać już zaczątek sił, które z czasem sprawiły, iż dzieło Parnickiego stało się synonimem ciemności i chaosu dla jednych, a dla innych — niepowtarzalnej, fascynującej przygody umysłowej. Czytelnik, powiedzmy, „Końca 'Zgody Narodów'” (1955) zamykał już książkę z zaszczepionym mu przez autora poczuciem nieufności wobec przedstawionej tam rzeczywistości. Chociaż bowiem sprawa zabójstwa legata rzymskiego w Syrii w II wieku przed Chr. zostaje w powieści niby to wyjaśniona, towarzyszący temu wątkowi gąszcz motywacji, intryg i sprzecznych danych nieuchronnie sugeruje, że jest to tylko jedna z możliwych rekonstrukcji, zaś „prawdziwa” prawda historyczna jest właściwie niepoznawalna. Tego poczucia zagadkowości zaszłych zdarzeń nie mąci nawet wątek fantastyczny (parowiec jakoby znany już w starożytności!) może nawet je pogłębia jako ironiczne podkreślenie, że wszelka rekonstrukcja jest ostatecznie tylko hipotezą.

W późniejszych utworach Parnickiego ta podejrzliwość wobec

rzeczywistości rozwinęła się w swoisty relatywizm, który sprawia, iż głównym punktem zainteresowania autora staje się odzwierciedlanie nie samych zdarzeń, a raczej ich subiektywnej wizji w świadomości bohaterów. Czytelnik „Tylko Beatrycze” (1962) kończąc powieść nadal nie wie, czy opisane w niej sprawy dzieją się naprawdę (choćby tylko w sensie literackim), czy też stanowią jedynie urojenie głównego protagonisty.

Ostatnia faza twórczości tego pisarza zasługuje na miano niemal solipsyzmu: granice czasowe, przestrzenne i modalne pomiędzy zdarzeniami zacierają się, wśród postaci historycznych i fikcyjnych pojawiają się personifikacje pojęć abstrakcyjnych oraz zdarzenia należące do zewnętrznej i wewnętrznej biografii autora, a głównym przedmiotem opisu i refleksji okazuje się świat dzieła samego Parnickiego.

Rozpatrywany jako całość świat ten składa się z ogromnej ilości faktów historii powszechnej — powieści są usytuowane w czasie od starożytności aż do czasów obecnych, dzieją się zaś na obszarze od Azji Środkowej po Amerykę — gęsto przetkanych fantazją, którą Parnicki nazywał „domysłem i dotworzeniem”. Dołączyć do tego należy potężny zasób aluzji i cytat z literatury światowej i polskiej (*ſy compris* dzieła samego autora), a także rozliczne ekskursy autobiograficzne. Uczestnictwo w grze intelektualnej proponowanej przez autora „Muzy dalekich podróży” (1970) — książki złożonej z trzech wątków: hipotetycznych dziejów Polski po wygranym powstaniu 1830 roku, mglistej rekonstrukcji mgliście historycznego księstwa Słowian na Bałkanach w VII wieku po Chr. i fragmentów wspomnień autora z jego rosyjskiego dzieciństwa — wymaga erudycji, cierpliwości, znajomości wszytkich uprzednich powieści Parnickiego i dobrego rozeznania w jego życiorysie. Nic dziwnego, że nie są to lektury łatwe.

Życiorys Parnickiego jest tak osobliwy, że mógłby uchodzić za jeszcze jeden wytwór jego zakochanej w przekornych komplikacjach muzy. Teodor Parnicki urodził się w Berlinie, gdzie jego ojciec Bronisław studiował inżynierię. Rodzina ojca pisarza pochodziła z Wielkopolski, ale była najpierw mocno ziemczona, a później zruszczona. Bronisław Parnicki zaczął studia w Kijowie i tylko z powodów politycznych musiał kontynuować je za granicą. Matka również pochodziła z Kijowa. Po dyplomie rodzina wróciła do Rosji, gdzie Teodor i jego młodszy brat zostali rychło osieroceni przez matkę. Ich ojciec ożenił się ponownie i to z osobą, która nie lubiła pasierbów, tak że 11-letni Teodor został oddany do szkoły kadetów w Omsku. Był to okres wojny domowej i szkołę przeniesiono do Władywostoku, skąd Teodor zbiegł i poszukując nieco mitycznego przyjaciela ojca trafił do Charbina w Mandżurii. Tam zaopiekowała się nim liczna nowożytna kolonia polska i chłopiec zaczął uczęszczać do polskiego gimnazjum. Był tak zdolny, że po maturze wystarano się dlań o polskie stypendium uniwersyteckie. Parnicki przyjechał do Polski w 1928 roku i rozpoczął studia we Lwowie — równocześnie polonistykę, anglistykę i orientalistykę — których nigdy formal-

nie nie ukończył. W międzyczasie zaczął karierę literacką, której kulminacją stał się wspomniany już poważny debiut powieściopisarski w 1937. Wprawdzie „Aecjusz” nie uzyskał Nagrody Młodych PAL, do której został przedstawiony, ale przyniósł autorowi uznanie i stypendium na podróż po krajach śródziemnomorskich. Z podróży tej, odbytej latem 1939 Parnicki wrócił do Lwowa tuż przed wybuchem wojny. Na początku 1940 roku został aresztowany i spędził prawie dwa lata w łagrach sowieckich. Po „amnestii” w 1941 został *attaché* prasowym w ambasadzie w Kujbyszewie. Jego znajomość Rosji, jej języka i literatury predysponowały go do tej funkcji. W 1943 roku jego przełożeni, wiedząc, że pracuje równocześnie nad dużą powieścią z historii polskiej (były to „Srebrne orły”), udzielili mu swego stypendium. Został skierowany „drogą perską” do Jerozolimy, gdzie rezydował w charakterze półurzędowym i mógł swobodnie pisać. Po ukończeniu powieści Parnicki został skierowany przez rząd londyński do Meksyku jako *attaché* kulturalny przy tamtejszej ambasadzie polskiej. Stanowisko to było krótkotrwałe, bo w 1945 roku ambasada przestała istnieć i Parnicki znów znalazł się sam na końcu świata. Szczęśliwie i chwalebnie miejscowi Polacy zajęli się zapewnieniem mu minimum egzystencji i umożliwili dalszą pracę pisarską.

Mimo wszystko pisanie w tych warunkach musiało wymagać cnoty heroizmu. W Polsce stalinowskiej Parnicki jako emigrant stał się był *actor non gratus*, wydawnictwa emigracyjne nie nadawały się na mecenasa tak hermetycznego pisarstwa — choć Instytut Literacki wydał w 1955 roku „Zgodę Narodów” — i perspektywy były ponure. Polepszyły się nagle w 1956 roku, bo Parnicki znów stał się „publikowalny” w Polsce i sprawą tą żywo zajęł się *Pax*, zawsze połączony na „swoich” autorów — ale za ten mecenat niechaj mu opinia przyszłych pokoleń lżejszą będzie! Parnicki został podopiecznym tej dwuznaczonej instytucji, która zaaranżowała mu dwa dłuższe pobyty w Polsce i ułatwiła powrót na stałe. W 1967 Parnicki przyjechał do Warszawy i mieszkał w niej aż do swego spotkania z żoną najdalszej podróży. Mimo nękającej go w ostatnich latach choroby oczu i innych przypadłości wieku jego drugi pobyt polski był chyba szczęśliwy, a na pewno owocny; pisał dużo, tak jak chciał i bez serwitutów. Opcja za polskością dokonana prawie z przypadkiem w dalekim Charbinie okazała się dlań łaskawą. Okazała się też szczęśliwą dla polskiej literatury.

O dziele Parnickiego napisano już wiele książek i rozpraw, na pewno z czasem przyjdą przekłady (nie miał do nich szczęścia za życia), ale rozmiar i niezwykłość tego *mirabilium* — jak sam je żartobliwie nazywał — zapewnią mu na zawsze status specjalny: czegoś z pogranicza literatury pięknej, historiozofii, eseju psychologicznego i kto wie, czy nie ezoterycznej medytacji. To co stworzył Parnicki można przyrównać do wynalazku szachów. Wielu tej gry nie uprawia, wielu uważa ją za jałową, bo nie informuje o niczym, co znajduje się poza szachownicą, nikt jednak nie może odmówić jej wielkości. Są czytelnicy, dla któ-

rych dziwny, trudny i wymagający całkowitego zaangażowania umysłu świat Parnickiego — misterna konstrukcja, w której przeplatają się historia, psychologia, fantazja, czas, przestrzeń i abstrakcje pojęciowe — stanowi wyzwanie równie nieodparte, jak dla innych ludzi nieznanne kraje, niezrozumiałe zjawiska przyrodnicze czy nowe dziedziny matematyki. Trudno powiedzieć, ilu jest takich czytelników dzisiaj i ilu ich będzie jutro, ale na pewno są i na pewno będą, bo Parnicki stworzył dzieło w swoim rodzaju jedyne, niepowtarzalne i niezwykle. Odszedł jeden z wielkich we współczesnej literaturze — i to nie tylko polskiej.

M. BRONSKI

OTWARCIE KANCELARII

JAN DENY

adwokat

Rechtsbeistand für Polnisches Recht

LANGE STR. 58, D-7570 BADEN-BADEN

Tel.: 07221/33051-2, 33315

W A W E L
PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA
w Niemczech Zachodnich

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Również sprzedaż wysyłkowa.
Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30.

Rozsypał mi się świat...

Tak mogłaby zanotować w swoim dzienniku Zofia Nałkowska, ale na pewno nie Maria Dąbrowska, mimo że i jej świat z biegiem nocy i dni znacznie się skurczył. Czy można jednak w ogóle porównywać dwa tak różne — pod względem edytorskim szczególnie — dzienniki?

Dzienniki Zofii Nałkowskiej, niebywale pedantycznie opracowane przez Hannę Kirchner, ukazują się od kilku lat i niedawno otrzymaliśmy ich tom IV w dwóch częściach, obejmujący lata 1930-1939¹. Najwcześniej opracowane zostały *Dzienniki czasu wojny*, pozostały więc jeszcze do wydania dzienniki z naszego punktu widzenia najciekawsze, z lat powojennych, czyli do roku 1954², bo pisarka prowadziła je do końca. Podobnie najciekawsze okazują się powojenne dzienniki Dąbrowskiej, zmarłej jedenaście lat później. Niestety Dąbrowska zastrzegła w testamencie, że pełne ich wydanie może nastąpić dopiero pięćdziesiąt lat po jej śmierci. Pytanie zatem, czy warto było już obecnie oddać w ręce czytelników obszerny co prawda, ale pokiereszowany (nie tylko z woli Autorki) wybór spisywanych przez pół wieku notatek? Lektura tych mimo okaleczenia pasjonujących tekstów² wątpliwości nie rozwiewa, przynosi jednak tyle czytelnicznych i intelektualnych satysfakcji, że skłonni jesteśmy wybaczyć Tadeuszowi Drewnowskiemu zarówno zbyt schematycznie ujęty wstęp, jak i jego własne oraz urzędu cenzury ingerencje polityczne. Pamiętajmy jednak o jednym: nad wyborem praco-

1. Zofia Nałkowska, *Dzienniki 1930-1939*, tom IV, część 1 i 2, opracowanie, wstęp i komentarz Hanna Kirchner, „Czytelnik”, Warszawa 1988.

2. Maria Dąbrowska, *Dzienniki 1914-1965*, tom I-V, wybór, wstęp i przypisy Tadeusz Drewnowski, „Czytelnik”, Warszawa 1988.

wał Drewnowski w drugiej połowie lat siedemdziesiątych i na początku osiemdziesiątych, całość oddana została do wydawnictwa w roku stanu wojennego i pewnie za jakieś dwa, trzy lata (?) znalazła się pod cenzorską lupą, czyli w okresie fatalnym dla kultury, w którym grasowali na dobre Wasilewski z Nawrockim i ich człowiek do specjalnych poruczeń, Molek. Czy zatem decydując się na publikację wyboru, nie należało jednak poczekać, by więcej wynegocjować z cenzurą? I czy wobec tego nie należy w którymś z pism podziemnych opublikować tekstów ingerencjami objętych, tak jak uczyniono w przypadku *Dziennika Gombrowicza*? Sądzę, że powinien to zrobić sam Drewnowski.

Ingerencji zaznaczonych tylko nawiasami kwadratowymi z pauzami jest dużo, a w ostatnim tomie nawet bardzo dużo. W sumie naliczyłem ich 20 i jak wynika z kontekstu, są to na ogół poważne okaleczenia myśli pisarki. A przecież przywiązywała ona do nich ogromną wagę, jako do jedynego wiarygodnego „świadka” epoki i drżała o swe gęsto zapisane zeszyty jak o najdroższy skarb. Znamienne, że bała się o dzienniki nie podczas okupacji, lecz w Polsce „wyzwolonej”, kiedy można było utracić wszystko z honorem włącznie. Dąbrowska utraciła mniej niż inni pisarze, zwłaszcza ze średniego pokolenia, nie mówiąc o najmłodszych, chyba też mniej od Nałkowskiej. *Dzienniki* stanowiły dla niej — przede wszystkim — moralne alibi, odkrywały jej twarz „prywatną”, którą miała tylko dla swych najbliższych i dla potomnych.

Sprawa posiada wymiar szerszy, wykraczający poza sferę politycznych uwarunkowań, wymiar psychologiczny, a nawet egzystencjalny. Dąbrowska nazywa to wprost „noszeniem drugiej twarzy”, czyli twarzy „publicznej”, co wiąże z panującym w stosunkach międzyludzkich konwenansem, korygowanym dopiero i odrzucanym w życiu prywatnym. Ale te dwie twarze autorki *Nocy i dni* nie różnią się tak dalece jak w przypadku Nałkowskiej, której portret złożony z odłamków roztrzaskanej osobowości, wydobytych z dzienników, jest zupełnie inny niż portret ukazwany na zewnątrz, nawet bliskim przyjaciółom. U autorki *Granicy* stopień duchowej schizofrenii bliski jest patologii, co szczególnie widać w IV tomie *Dzienników*. W tej przepętnionej „garderobie duszy”, jaką są zwykle dzienniki, Nałkowska w autoanalizie, w drążeniu podświadomości, w intymnych zwierzeniach bywa bardziej szczerą niż powściągliwszą, dyskretniejszą Dąbrowska. Dzienniki obu pisarek lepiej nawet niż artystyczne utwory podkreślają różnice ich osobowości. „Druga twarz” nie została przez Dąbrowską świadomą świadelowana, nie jest historycznym wyzwaniem rzuconym światu, stanowi raczej dowód, że jej nosicielka pogodziła się z normami konwensu, choć nie zawsze bywało to łatwe, czasem urastało do conradowskich dylematów.

Wielka szkoda, że nie możemy na razie porównać stopnia politycznego zakłamania, jakie cechowało obie pisarki, występujące na arenie życia kulturalnego PRL-u. Co kłębiło się pod tragifarsową maską, jaką Zofia Nałkowska nakładała przy oficjalnych okazjach i publicznych ceremoniach, w których grała damę komunistycznego *establishment'u*, uczestnicząc w różnych formach udawanego życia? Kwintesencją tego bycia *in publicis* i konsekwencją był jej pogrzeb, który Dąbrowska opisuje z właściwą sobie powściągliwością:

„Na pogrzebie (świeckim i w Alei Zasłużonych) było zatręśnienie aut luksusowych, ale osób może ze sto, nie więcej”.

Smutne, choć chyba mniej tragifarsowe — a może tak się tylko wydaje w świetle osobistych notatek — było też oficjalne życie Dąbrowskiej. Z początku, usiłując przeciwstawić się czynnie fali ideologicznego fanatyzmu i politycznego bandytyzmu, którym sprzyjał ustrój w PRL, publikowała na łamach w miarę niezależnych jeszcze wtedy periodyków. Z czasem zaszła się w ustronie wewnętrznej emigracji, aby stopniowo dawać się wciągać w życie oficjalne, biorąc udział w różnych kongresach, zebraniach ZLP oraz zjazdach i znosząc na ogół milcząco horrendalne wypowiedzi młodszych kolegów po piórze lub partyjnych funkcjonariuszy kultury — aż do uczestnictwa we własnym jubileuszu, na którym główny referent Andrzejewski zemdlął z wrażenia. Dąbrowska w dziennikach stara się poniekąd zrehabilitować, a przede wszystkim ulżyć milczeniu. Ale nawet sama przed sobą nie jest całkiem szczerą, z czego czasem zdaje sobie sprawę, czasem natomiast ukrywa to w zakamarkach świadomości. Bo przecież sprawa nie polegała tylko na biernym uczestnictwie w życiu publicznym. Bardziej brzemienne w skutki były jej wypowiedzi, np. „słowo” na śmierć Stalina, które, jak sama wyznawała, zabrzmiało jak „dźwięk spiżowy”, a także niektóre opowiadania, bliskie poetyce socrealizmu i lansowane potem jako lektury szkolne. Skutki tej działalności Dąbrowska wyraźnie bagatelizuje, czy też raczej stara się bagatelizować. Ale w trudnej i ryzykownej grze o własną godność jest na tyle uczciwa, że tolerując własną słabość i tłumacząc ją często w kategoriach psychologicznych, ma też wiele tolerancji dla innych:

„Nikt nie nosi już własnej twarzy. Z żadnej oficjalnej wypowiedzi nic nie można sądzić o ludziach. Zazwyczaj każda jest wypadkową jakichś strategicznych manewrów ukrycia czegoś bezcennego za cenę nawet osobistych upokorzeń. [...]”

Dlatego, mimo subiektywnych oburzeń, jestem ostatnią, która by rzuciła kamień potępienia na kogokolwiek (wyjąwszy notorycznych zbirów) za jego oficjalne wystąpienia, choćby nie wiem jak zdawały się słuźalcze”.

Zarówno Nałkowska jak i Dąbrowska były przed wojną związane z tzw. lewicą intelektualną i ich stosunek do rzeczywistości politycznej i społecznej, zwłaszcza w latach trzydziestych, był zdecydowanie krytyczny. „Strasliwe to są czasy; a jeszcze straszliwsze idą” — notowała w roku 1935 autorka *Ludzi stamtąd*, Nałkowska natomiast podkreślała w tym samym czasie, że nie ma większej katastrofy niż dojście głupoty do władzy — głupota „z niewinnej staje się groźna, niebezpieczna, demoniczna, jest nakazem, jest czymś ogólnie obowiązującym”. Niepokoił je, a w miarę rozwoju wydarzeń przerażał wzrost tendencji nacjonalistycznych i związanych z tym ekscesów antysemickich. Dąbrowska nie ukrywała, że komunizm i nacjonalizm militarny uważa za dwie postaci zła, podobnie zresztą jak Nałkowska, która na scenę polityczną patrzyła bardziej od strony kulis, miała więc perspektywę skróconą, ale ostrzej widziała panujący na tej scenie chaos.

Odcięcie się od ustroju Polski sanacyjnej stwarzało — teoretycznie — szansę na przezwycięzenie nastrojów totalitarnych. W świadomości Dąbrowskiej kołatała się nadzieja na możliwość wykorzystania takiej szansy. Zgnębiona ponurą rzeczywistością powojenną starała się wyszukiwać również pozytywne strony przemian, jakich była świadkiem. Zauważyła np., „że nigdy nie było tak naprawdę intensywnej walki idei jak teraz, tak gwałtownej i namiętnej próby myślenia, mimo kagańców myśli. I to *en dernière analyse* („koniec końców”) wyjdzie — powinno wyjść — na dobre Polsce”.

Niewiele jednak takich pozytywnych przykładów mogła znaleźć. Od 1945 roku nie opuszczało jej przygnębiające wrażenie „rozpostartej nocy”. Uważała, że bez przerwy obraża się naród i gwałci jego osobowość. Z dużą przenikliwością dowodziła też bezsensu uprzemysłowienia jako naczelnego hasła „socjalizmu”:

„Świat — pisała w roku 1955 — uprzemysłowił się bez socjalizmu i przed socjalizmem. [...] Nawet Murzyny w koloniach się uprzemysławiają. [...] Uprzemysłowienie nie jest i nie może być centralnym zagadnieniem socjalizmu. Centralnym zagadnieniem socjalizmu może być tylko sprawa człowieka”.

Długo musieliśmy czekać żeby desygnowani przez władzę komunistyczną w Polsce naukowcy potwierdzili to. Dla wyniszczonego moralnie, psychicznie i fizycznie społeczeństwa nic z tego na razie nie wynika.

Nowego ustroju w Polsce nie traktowała Dąbrowska jako sprawy nieoczekiwanej i narzuconej wyłącznie z zewnątrz. Elementy zła, które rozwinęły się w pełni po wojnie, tkwiły już w rzeczywistości politycznej lat trzydziestych. Między innymi dlatego miała zdecydowanie negatywny stosunek do emigracji, która nie potrafiła, jej zdaniem, przezwyciężyć negatywnych cech Polski

przedwrześniowej. Sprawa wydaje się jednak bardziej skomplikowana i wymaga chwili zastanowienia. Niebagatelnym powodem niechęci pisarki był zapewne fakt, że ludzie za granicą mogli się pod każdym względem lepiej urządzić od ludzi pozostających w kraju i że nie wykorzystali tych lepszych warunków do obrony interesów Polski na forum międzynarodowym, również w dziedzinie kultury.

„Czy w ogóle zrobili cośkolwiek przez te dziesięć lat dla propagandy wartości polskich w świecie? Pokazać popis wyścigu śmierci w bitwie o Londyn czy pod Monte Cassino — to grubo za mało. Nie śmiercią wkupują się narody w skarbiec światowych wartości”.

Krytycznie ocenia też literaturę emigracyjną: „W świetle ostrego i płodnego wrzenia umysłów, jakie jest u nas — notuje w dniu 21. VI. 1956 — cała ta literatura 'wolnego świata' wydaje się mdła, staroświecka, zaściankowa i nawet zakłamana (w drugą stronę). Świetnie scharakteryzował emigrację pan Jerzy [Stempowski — przyp. M.R.] w jednym z swych listów, że jest oderwana zarówno od kraju, jak od Zachodu. W pewnym sensie dużo podobieństw do najgorszego okresu naszych tu w kraju dziejów. Jak prawa rękawiczka do lewej. Posługują się tymi samymi metodami, które u nas zwalczają jako przeciwne wolności. Ta sama skłonność do dyskryminacji, ta sama dogmatyczna (choć bez żadnego dogmatu) pewność siebie, swej racji, swej nieomylności, ta sama skłonność do upolitycznienia wszystkiego”.

Trudno o dobitniejszy wyraz niechęci do działalności ludzi reprezentujących wolną Polskę za granicą. Tylko do pewnego stopnia można to tłumaczyć niedostateczną znajomością dorobku kulturalnego emigracji. Wydaje się, że postawę emigrantów oceniała Dąbrowska również w płaszczyźnie moralnej, w kategoriach wierności i zdrady, uważając, że swój wybór powinna potwierdzić wzmożoną aktywnością — jak już wspomnieliśmy — na rzecz ojczyzny, wymagała więc od nich więcej niż od rodaków w kraju, borykających się z komunistyczną codziennością. Taki, dość powszechny zresztą, stosunek do problemu emigracji wynikał z potrzeby usprawiedliwienia postawy intelektualistów w kraju, dla których miała zbyt wiele tolerancji. Poza tym — i to chyba najistotniejsze — sądziła, że wpływ na przemiany w Polsce ma tylko to, co się dzieje w kraju i państwach ościennych, że punktem wyjścia i dojścia pozytywnych przemian jest wyłącznie społeczeństwo w kraju i dlatego działalność emigracji może być dla tych przemian nawet niebezpieczna. Takie stanowisko Dąbrowskiej tłumaczyłoby dziwnie niekonsekwentne jej zachowanie w sprawie podpisanego przez siebie „Listu 34”.

Przypomnijmy, że treść listu, wyrażona zresztą w formie uładzonej, dotyczyła potrzeby zmiany polityki kulturalnej w kierunku większej liberalizacji cenzury i zwiększenia przydziału papieru na wydawanie książek i czasopism. Zaczynał się już wtedy, w roku 1964, wyraźny odwrót od „zdobyczy Października”. Było to pierwsze na taką skalę wystąpienie intelektualistów, zresztą prawie wyłącznie warszawskich. Wywołało ono reperkusje na Zachodzie i bardzo gwałtowną reakcję ekipy Gomułki. Dąbrowska przestraszyła się lansowania listu za granicą i odcięła się od komentarzy Wolnej Europy, zgodnie z wyznawaną nie tylko przez siebie zasadą, żeby własne sprawy załatwiać we własnym kraju, rozmawiać, ale nie denerwować władzy, choćby się nie miało o niej dobrego zdania. Bo „my — podkreślała Dąbrowska — chcemy ustroj ożywić, uzdrowić, uwielkodusić, unowocześnić...”. Podobne złudzenia żywiło wielu z nas do niedawna i trudno się Dąbrowskiej dziwić, że w tamtych czasach myślała podobnie jak wielu polskich intelektualistów. Tymczasem właśnie emigracja uparcie to złudzenie rozbijała, narażając się na zarzut myślenia anachronicznego.

Wiele więc przyczyn subiektywnej natury złożyło się na tę wyraźnie krzywdzącą, wyjątkowo jak na Dąbrowską nieobiektywną ocenę powojennej emigracji polskiej.

Hanna Kirchner zauważyła we wstępie do IV tomu *Dzienników* Nałkowskiej, że obecne są w nich dwa porządki rzeczywistości: doraźność historii i „osobny porządek życia”, dzięki czemu tekst dzienników staje się wielofunkcyjny. W jeszcze silniejszym stopniu dotyczy to *Dzienników* Dąbrowskiej. Lejtmotywnym notatek Nałkowskiej jest niewątpliwie erotyka, pogłębiona psychologicznie i wzbogacona o problematykę egzystencjalną. Wątek ten niczym w dobrej, przejmującej powieści nabiera coraz silniejszych akcentów dramatycznych i tylko wielkość pisarstwa Nałkowskiej chroni go od melodramatycznego zakończenia. Taką bowiem formę mogłoby mieć rozstanie starszej kobiety z młodym, niecierpliwym, zbyt wymagającym kochankiem. Nałkowska unika generalizowania własnego dramatu, nadając mu cechy jednostkowe, ale kapitalne sformułowanie uczucia rozczarowania Bogusławem („rozsypał mi się w rękach”) dotyka już problemu egzystencjalnego.

Autorka *Romansu Teresy Hennert* cała była zanurzona w terażniejszości, żyła chwilą, choć żyć tak nie chciała, broniła się przed przemijaniem uczuć i nie potrafiła przezwyciężyć obezwładniającego poczucia starości, któremu przeciwstawić mogła tylko tęsknotę za młodością, realizującą się w kolejnych, coraz bardziej nerwowych romansach.

Taki świat, zbudowany na ulotnych piaskach terażniejszości, podszyty instynktownym strachem przed życiem, potęgowanym

jeszcze grożą wiejącą od strony rzeczywistości politycznej, musiały sprawiać wrażenie rozsypanych się budowli. Nałkowska, niechętna wspomnieniom, odwrócona od przyszłości jako widma ostatecznego rozpadu, trzymała się jednak kurczowo życia, które jest co prawda tylko kapryśnym darem natury, ale którego wyrzec się jeszcze trudniej niż je zaakceptować. Bowiem: „Życie jest straszliwe, ale najgorsze, że się kończy”.

W *Dziennikach* Dąbrowskiej staranniej został wypełniony kontekst polityczny. Zainteresowanie światem zewnętrznym, ciekawość dla wydarzeń wpłynęły na postawę pisarki, która często myślała o świecie kategoriami ogólnymi, wznosząc się ponad jednostkowe doznania. Myliłby się jednak ten, kto podobny stosunek do rzeczywistości uznałby za zasadę panującą w *dziennikach* autorki *Nocy i dni*. Od początku do końca głównym ich tematem jest jednostkowy los pisarki, uwikłany w wątki polityczne, społeczne i przeniknięty refleksją egzystencjalną. Takie podejście do własnego życia zgodne było z filozofią, której naczelną tezę sformułowała niemal na progu (luty 1939) wojny: „Życia osobistego nie potrzeba składać w ofiarę niczemu i nikomu. Ono samo i tak wykrusza się, nicestwieje, a sam bieg nocy i dni oddaje nas w końcu całkowicie we władzę spraw trzecich, nieosobistych”.

Wydawać by się mogło, że Dąbrowska, tak opanowana w swych reakcjach na świat zewnętrzny, tak mężnie znosząca cierpienie, znalazła jakieś *consensus omnium*, jakąś wartość nadrzędną, dzięki którym mogła z dystansem traktować życie przynoszące najrozmaitsze doświadczenia, wzruszenia i rozczarowania, fascynacje i rozpacz. Na jej życiu kładł się od wczesnych lat cień śmierci, co w pewnym momencie skomentuje wprost, że „żyje się coraz bardziej na cmentarzu”. Zdania, które zapisała po poznaniu Stanisława Stempowskiego, w rok po stracie ukochanego męża, Mariana Dąbrowskiego, nie powtórzy już nigdy więcej:

„W najzupełniejszym szczęściu dnie i noce. Zupełne oglupienie ze szczęścia. Stoję znowu jakby u progu życia, tak olbrzymiego i cudownego, aż dech zapiera”.

Szczęście w wymiarze indywidualnym i wymiarze społecznym stawało się coraz bardziej iluzoryczne, coraz mniej pozostawało nadziei na przyszłość, rysującą się w ponurych barwach. Osiem lat po wyśpiewaniu tego wspaniałego zdania napisze:

„Miałam do wyboru zabić Stacha lub ocalić go za cenę mojej godności i wewnętrznej prawości. Ocaliłam go. Podeptałam samą siebie. Mniejsza o mnie — życie, spokój i szczęście Stacha warte jest wszelkiej ceny. Bardzo go kocham — jego jednego jedyne go i ani na chwilę nie przestawałam go kochać. Ale tego by dziś nie pojął. — A może nigdy nie pojmie”.

Ofiara z własnego życia złożona drugiemu człowiekowi — tak, to się mieści w filozofii Dąbrowskiej, w jej etyce, to — rzecz można — nawet zasada jej etyki: być nachylnym ku innym, wsłuchiwać się w rytm ich woli, pragnień i niepokojów. Nałkowska ujmowała to całkiem inaczej: nie mając odwagi własnych uczuć, poddawała się cudzej woli. Tę swoją właściwość uważała wręcz za przekleństwo swego losu. Trochę podobna była do niej Barbara z *Nocy i dni*, którą Dąbrowska uważała za prefigurację kobiety nowoczesnej i może w głębi ducha chciała taką właśnie być, bardziej egocentryczną w stosunkach międzyludzkich.

Prawdę o osobowości autorki — o ile to w ogóle możliwe — łatwiej więc odczytać z *Dzienników* Nałkowskiej niż Dąbrowskiej. Ale Dąbrowskiej udawało się czasem oswoić świat intelektualnie, umiała bowiem wyzwolić się z nastrojów emocjonalnych. Nałkowska poszukiwała na próżno sposobu na istnienie, nie musnęło jej bowiem chyba nigdy skrzydło metafizyki, którą psychoanaliza zastąpić może tylko na krótko. Dąbrowska natomiast doceniała siłę metafizyki. Cytując fragment artykułu Stefana Jarcocińskiego o filozofii Huizingi, mówiący o potrzebie oparcia prawdy absolutnej na metafizycznej koncepcji życia, stwierdziła: „To samo i ja wciąż mówię, że kto chce operować absolutną prawdą czy słusnością, musi przyjąć nadprzyrodzoność. Wszelka laicka i materialistyczna koncepcja bytu może być tylko sceptyczna”.

W tym samym tomie można też znaleźć refleksję na temat katolicyzmu — który „wchłonał w siebie całą mądrość cywilizacji starożytnej” i wytworzył postawę kontemplacyjną, nastawioną na doskonałość raczej niż na ludzką potęgę — a w tomie następnym, czwartym, taką oto supozycję:

„Katolicyzm wydał w ciągu wieków największych pisarzy świata i dotąd ich wydaje. To daje do myślenia. Jeśli materializm ma stworzyć wielką literaturę, musi nawiązać do innego, równie wielkiego przedkatolickiego wzoru, do starożytności”.

Istotnie, to daje do myślenia, zwłaszcza w świetle powtarzanych skarg Dąbrowskiej na niemoc twórczą. Może powodem tej niemocy była trudność w scaleniu rozsypującego się świata, którego okrucy w postaci dramatycznych notatek poświadczają koniec epoki? Definitywnie zamknęła się ona dla Dąbrowskiej wraz z pogrzebem Winstona Churchilla, który — czy nie dziwny zbieg okoliczności? — zmarł w tym samym roku co Dąbrowska.

Autorka nieudanych *Przygód człowieka myślącego* marzyła o wielkiej epice, bo w przeciwieństwie do Nałkowskiej cała zanurzona była w przeszłości. Teraźniejszość, twierdziła, to tylko przygotowanie do przeszłości, która wyznacza nam właściwe mia-

ry. A epika to spojrzenie na przeszłość z terażniejszości, której nie da się wyminąć ani osłonić czasem przeszłym. Najlepszym tego dowodem są dzienniki, które świadczą o mocowaniu się z terażniejszością, przechodzącą w przeszłość i stale jednak skierowaną ku przyszłości. Zastąpiły one obu pisarkom, nie umiejącym poradzić sobie z rozsypującym się obrazem świata, epikę. Pisały z dnia na dzień, ale z myślą o przyszłych pokoleniach.

Mikołaj RUSZKOWSKI

Nowe opracowanie Instytutu w Darmstadt

Nakładem Deutsches Polen-Institut w Darmstadt kierowanego przez niestrudzonego Karla Dedeciusa ukazało się kolejne opracowanie dotyczące polsko-niemieckich związków literackich. Po recenzowanej przeze mnie niedawno na tych łamach kompetentnej bibliografii niemieckich przekładów naszego piarstwa opracowanej przez Krzysztofa A. Kuczyńskiego opublikowano obecnie obszerny tom szkiców, przygotowany przez Heinza Kneipa oraz Huberta Orłowskiego i zatytułowany „Recepcja literatury polskiej w obszarze języka niemieckiego i literatury niemieckiej w Polsce w latach 1945-1985*”. Mamy zatem do czynienia — gdy weźmiemy pod uwagę także tom „Pięć lat Deutsches Polen-Institut” — z ważną i coraz dynamiczniej rozwijającą się serią wydawniczą, której nie będzie mógł pominąć żaden germanista lub naukowiec zajmujący się problemami kulturalnych stosunków polsko-niemieckich. W jego omawianej serii publikowanej własnym nakładem, efektem prac tej placówki jest także drukowana przez Suhrkamp Verlag „Biblioteka polska”, w której ukazał się właśnie kolejny tom — tym razem niestety nie najlepiej skomponowany przez warszawskiego polonistę Krzysztofa Dybciaka — „Polen im Exil” zawierający wybór polskiej publicystyki emigracyjnej. Lecz ten niewypał jest jedynym dotychczas potknięciem — pozostałe tomy Biblioteki to iście pomnikowa praca.

Książka Kneipa i Orłowskiego — kolejny dowód aktywnej współpracy naukowców polskich i niemieckich organizowanej

* „Die Rezeption der polnischen Literatur im deutschsprachigen Raum und die der deutschsprachigen in Polen 1945-1985”, herausgegeben von Heinz Kneip und Hubert Orłowski. Deutsches Polen-Institut, Darmstadt 1988, str. 640.

przez Dedeciusa — zawiera 32 szkice omawiające różne aspekty recepcji literatury polskiej w niemieckim obszarze językowym oraz literatury niemieckiej w Polsce. Obok autorów zachodnioniemieckich w pierwszej części, opracowanej przez Kneipa, głos zabierają także poloniści z NRD, Austrii oraz Szwajcarii. Obecność autorów z NRD — znanego polonisty i tłumacza Heinricha Olschowsky'ego, który omawia obecność polskiej literatury w tym kraju oraz Dietricha Scholze, zajmującego się recepcją polskiej dramaturgii — jest istotnym novum w pracach Instytutu, zaś lektura obu tekstów jest z wielu względów interesująca, zwłaszcza, gdy się je porówna z opracowaniami odbioru literatury polskiej w niemieckojęzycznych krajach zachodnich: uderza przede wszystkim podyktowany na ogół względami ideologicznymi dobór tłumaczonych pisarzy oraz stosunkowo duże opóźnienie przekładów w stosunku do polskich pierwodruków (oczywiście mowy nie ma o przekładach literatury „drugiego obiegu” lub emigracyjnej, z czym mamy do czynienia na Zachodzie: charakterystyczny przykład — w RFN Witold Gombrowicz należy do autorów najczęściej tłumaczonych, a w NRD jest nieobecny). Obok esejów o recepcji piśmiennictwa polskiego w krajach niemieckojęzycznych (RFN — H. Kneip, NRD — H. Olschowsky i D. Scholze, Austria — O. J. Tauschinski, Szwajcaria — J. Büsler i S. Bauer) odnajdujemy tu również omówienie problemów szczegółowych: o polskiej literaturze dziecięcej i młodzieżowej w RFN pisze H. E. Giehl, na temat „Literatura polska w prasie RFN” pisze B. Hoffmann-Kanngiesser, obecność naszego piarstwa w zachodnioniemieckich rozgłoszeniach omawia G. Mrugalla, wreszcie K. Götz w interesującym i nie pozbawionym krytycyzmu szkicu prezentuje problem obecności literatury polskiej w szkołach RFN, o polonistyce w tym kraju mówi A. Mestan, zaś o polonistyce w NRD J. Rohoziński. Bardzo interesujące, również dla polonistów, są eseje poświęcone recepcji wybranych polskich autorów: K. Dedecius pisze o „Myślach nieuczestnych” Stanisława Jerzego Leca, Z. Wilkiewicz — jeden z utalentowanych młodych tłumaczy polskiej poezji i autor wnikliwej monografii o prozie Witolda Gombrowicza — omawia odbiór tego autora w prasie niemieckojęzycznej. W. Schlott w szkicu „Litewski Tristan czy zapoznany katastrofista” relacjonuje recepcję dzieła Tadeusza Konwickiego, w końcu G. Wilbert omawia twórczość Stanisława Lema (najczęściej tłumaczonego pisarza polskiego, zarówno na Zachodzie, jak w NRD).

Druga część książki, opracowana przez Orłowskiego, poświęcona jest recepcji literatury niemieckojęzycznej w Polsce. Szkic wprowadzający autora opracowania — niestety, nie opatrzone, jak to się dzieje w wypadku autorów niemieckojęzycznych, odpowiednimi danymi statystycznymi — zwraca słusznie uwagę na fakt, że rok 1945 otworzył nową sytuację w recepcji literatury niemieckojęzycznej w Polsce. Niemniej brak tutaj jasnego i przejrzystego wyłożenia przyczyn opóźnień (nawet w wypadku tak znanych autorów jak Grass, Lenz czy Bienek, nie mówiąc już o innych) publikacji literatury niemieckojęzycznej w Polsce: po-

równanie szybkości przekładów i publikacji między Polską i RFN wypada wyraźnie na naszą niekorzyść. Ten sam autor pisze o „Polskim” Tomaszu Mannie — ten szkic wydaje się szczególnie interesujący, zwłaszcza, że mamy tu m.in. do czynienia z bardzo wnikliwą i kompetentną analizą dyskusji wywołanej publikacją szkicu Barańczaka „Zmieniony głos Settembriniego”, która kończyła okres „burzy i naporu” Nowej Fali. Poza ramami czasowymi wyznaczonymi w tytule opracowania mieści się interesujący szkic T. Namowicza omawiający komplementarne funkcje literatury niemieckiej wobec doświadczeń literatury polskiej: mowa tu o okresie między Średniowieczem a powstaniem niemieckiej literatury mieszczańskiej. Odnajdujemy tu również szkice poświęcone recepcji literatury poszczególnych krajów niemieckojęzycznych (RFN — S. H. Kaszyński, NRD — E. Połczyńska, Austria — M. Krzysztofiak, Szwajcaria — M. Przybecki). K. Lipiński omawia recepcję i przygody przekładowe Rainera Marii Rilkego, który doczekał się ostatnio kolejnego, w zgodnej opinii krytyków skandalicznego tłumaczenia A. Sandauera. E. Rosner analizuje zawartość podręczników literatury pod kątem prezentacji w niej literatury niemieckojęzycznej, S. H. Kaszyński omawia rolę prasy jako środka wymiany literackiej, H. Orłowski referuje stan polskiej germanistyki. Cztery ostatnie szkice to refleksje o bardziej osobistym charakterze — E. Bielicka omawia swe doświadczenia lektorki prezentującej wydawcom literaturę niemieckojęzyczną, S. Bułat — autor przekładu m.in. „Błaszane go bębenka” Grassa — dzieli się swymi doświadczeniami tłumacza, A. Krzeźmiński — jeden z nielicznych polskich publicystów, którzy kompetentnie piszą o sprawach niemieckich — opisuje, co skłoniło go do zainteresowania się tą właśnie problematyką, wreszcie E. Bałcerzan w eseju „O kulturze niemieckiej” mówi o literaturze polskiej w świetle przeżyć wojennych. Interesujący szkic na temat niemieckiej literatury chrześcijańskiej w przestrzeni polskiego katolicyzmu prezentuje M. Sander.

Książkę uzupełniają trzy opracowania: noty o polskich tłumaczach literatury niemieckiej przygotowała E. Kaiser, biogramy niemieckojęzycznych tłumaczy literatury polskiej — J. Kałężny, wreszcie wśród zaprezentowanych tłumaczy polskich zabrakło m.in. nazwiska Ryszarda Krynickiego, który od lat już przekłada poezję niemieckich ekspresjonistów i w którego przekładach ukazały się w obiegu niezależnym tomy B. Brechta i R. Kunze — trudno jednak, by autorzy opracowania mogli uwzględnić wszystkich, zaś przeoczenia w takich opracowaniach są niemal nieuniknione, zwłaszcza jeśli tłumacz nie ma w dorobku „grubych” dzieł. Nie ulega jednak wątpliwości, że właśnie ta część — biograficzno-dokumentalna — wymagać będzie w przyszłości sporych uzupełnień, co nie znaczy, że w obecnym kształcie zrobiona jest niefachowo.

Monumentalna, licząca ponad 600 stron praca stanowi dobry początek do opracowania bardziej wnikliwych i rozbudowanych monografii tematycznych i z tego względu okaże się zapewne

niezbędna dla posiadających takie ambicje germanistów i polonistów. W tym krótkim z konieczności omówieniu nie sposób dokonać oceny poszczególnych opracowań. Nie to jednak było moim zamiarem. Chciałem po prostu zaprezentować czytelnikowi polskiemu książkę, która w moim przekonaniu wymaga jak najszybszego przekładu na język polski.

Leszek SZARUGA

Nadesłane nowości wydawnicze

- SZEJNERT** (Małgorzata). *Sława i infamia. Rozmowa z Bohdanem Korzeniewskim*. Str. 186 i 4 nlb. (Wyd. Aneks, Londyn 1989, cena \$ 11, £ 5).
- SOLSKI** (Wacław). *Żółta trójka. Opowiadania*. Str. 179 i 3 nlb. (Wyd. Aneks, Londyn 1989, cena \$ 11, £ 5).
- OBERTYŃSKA** (Beata). *W domu niewoli*. Wyd. III. Str. 486 i 2 nlb. Wyd. Veritas, Londyn 1988).
- KULAKOWSKI** (Miroslaw). *Marynarka Wojenna Polski Odrodzonej*. T. I-II. Str. 334 i 734. (Wyd. nie podane, Toronto 1988).
- CISZEK** (Walter, ks.). *Z Bogiem w Rosji (1939-1963)*. Przeł. M. Wierzbicka. Str. 358 i 2 nlb. (Wyd. Veritas, Londyn 1988).
- WALIS** (Marek). *Bajki, nie bajki*. Str. 54 i 2 nlb. (Wyd. Veritas, Londyn 1988).
- DRZYŻGA** (Bernard). *KEDYW Olegu AK Łódź i 60 Pułk AK. Wspomnienia zastępcy dowódcy „Kedywu” Olegu Łódź „Kazimierza 60”, późniejszego dowódcy 60 p.p. AK w Tomaszowie Mazowieckim*. Str. 140 i 4 nlb. (Wyd. Veritas, Londyn 1988).
- OSMAŃCZYK** (Edmund Jan). *Polska i Izrael*. Str. 85 i 3 nlb. (Wyd. Kontakt, Paryż 1988).
- FEDOROWICZ** (Jacek). *Felietony i dialogi*. Str. 135 i 1 nlb. (Wyd. Kontakt, Paryż 1988).
- CZAPOROWSKI** (L. W.). *Śmiech też zabija. Sztuka w 3-eh aktach*. Str. 48. Wyd. nakładem własnym, Londyn 1984.
- BATEROWICZ** (Marek). *Dama z jamnikiem*. Wiersze. Str. 29 i 3 nlb. (Wyd. Wydawnictwo Akapit, Sydney 1988).
- BRZEZIŃSKI** (Zbigniew). *Mysł i działanie w polityce międzynarodowej*. Str. 69 i 3 nlb. (Wyd. Aneks, Londyn 1989, cena £ 3, \$ US 7,50).
- ZANIEWICKI** (Zbigniew). *Na bojowisku. 1945-1950*. Str. 166 i 2 nlb. (Wyd. PFK, Londyn 1988).
- PANKOWSKI** (Marian). *Teatrowanie nad świętym barszczem*. Str. 322 i 2 nlb. (Wyd. OPiM, Londyn 1989).
- GRYNBERG** (Henryk). *Pomnik nad Potomakiem*. Wiersze. Str. 66 i 2 nlb. (Wyd. OPiM, Londyn 1989).
- MAKOWIECKA** (Jadwiga). *Mała antologia arcydzieł literatury indyjskiej*. Str. 159 i 1 nlb. (Wyd. Veritas, Londyn 1988).
- NIEWIAROWSKA-SOWA** (Anita). *Mój kraj wspominam*. Wiersze. Str. 22 i 2 nlb. (Wyd. Veritas, Londyn 1988).
- MAŁACHOWSKA** (Mira). *Nasze dzieci. Opowiadania. harcerskie 1940-1944 w Polsce*. Str. 24. (Wyd. Veritas, Londyn 1987).
- WITEK** (Anna). *Żyjesz pomiędzy*. Wiersze. Str. 39 i 1 nlb. (Wyd. Sowula, Londyn 1988).
- RESZCZYŃSKA - STYPIŃSKA** (Marta). *Bajeczki, fraszki i nne faramuszkki*. Wiersze. Str. 68 i 4 nlb. (Wyd. Veritas, Londyn 1988).

- IWANIUK (Wacław).** *Trzy spotkania: Więź - Arka - Tygodnik Powszechny.* Str. 48. (Wyd. Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie, Toronto 1988).
- LEGUTKO (Ryszard).** *Bez gniewu i uprzedzenia. Szkice o książkach, ludziach i ideach.* Str. 180. (Wyd. AKTIS, Paryż 1989).
- USTABOROWICZ (Bogusław S.).** *Nie bójmy się zmian.* Str. 181 i 3 nlb. (Wyd. nie podane, Chicago 1988).
- Roman Dmowski 1864-1939. W pięćdziesięciolecie śmierci.** Str. 80. (Wyd. Instytut Romana Dmowskiego, Londyn 1989).
- LIPSKA (Ewa).** *Utwory wybrane.* Str. 169 i 3 nlb. (Wyd. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1986, cena zł 160).
- TABORSKI (Bolesław).** *Życie i śmierć.* Wiersze. Str. 197 i 3 nlb. (Wyd. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1988, cena zł 340).
- WIELOWIEYSKI (Andrzej).** *Przed nami małżeństwo.* Str. 261 i 3 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1988, cena zł 750).
- STEIN (Edyta).** *O zagadnieniu wozucia i INGARDEN (Roman).* *O badaniach filozoficznych Edith Stein.* Str. 182 i 2 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1988, cena zł 580).
- WOROSZYLSKI (Wiktor).** *W poszukiwaniu utraconego ciepła i inne wiersze.* Str. 161 i 3 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1988, cena zł 400).
- PASIERB (Janusz St.).** *Doświadczenie Ziemi.* Wiersze. Str. 74 i 2 nlb. 2 (Wyd. Znak, Kraków 1989, cena zł 450).
- CZUBIŃSKI (Antoni).** *Spory o II Rzeczpospolitą.* Str. 84 i 12 nlb. fotografii. (Wyd. Instytut Zachodni, Poznań 1988, cena zł 360).
- KOTŁOWSKI (Tadeusz).** *Kryzys 1923 roku w Niemczech.* Str. 225 i 3 nlb. (Wyd. Instytut Zachodni, Poznań 1988, cena zł 550).
- SOBCZAK (Janusz).** *Polsko w propagandzie i polityce III Rzeczy 1939-1945.* Str. 493 i 3 nlb. (Wyd. Instytut Zachodni, Poznań 1988, cena zł 1.000).
- CZIOMER (Erhard).** *Miejsce ZSRR w polityce zagranicznej PFRN.* Str. 254 i 2 nlb. (Wyd. Instytut Zachodni, Poznań 1988, cena zł 520).
- JAN PAWEŁ II.** *Nauczanie papieskie I. Rok 1978 (październik-grudzień).* Do druku przygotowali ks. E. Weron, SAC, i ks. A. Jaroch, SAC. Str. 219 i 5 nlb. (Wyd. Pallotinum, Poznań-Warszawa 1987, cena zł 500).
- KOWALCZYK (Andrzej St.).** *Stanisław Vincenz jako eseista (1945-1971).* (Nadbitka z „Pamiętnika Literackiego” LXXIX, 1988, zes. 2, str. 107-142).
- The Red Pencil. Artists, Scholars, and Censors in the USSR.* Edited by Marianna Tax Choldin and Maurice Friedberg. Str. 234 i 7 nlb. (Wyd. UNWIN Hyman, Boston - London - Sydney - Wellington, 1989).
- SASKI (Witold).** *Crossing Many Bridges. Memoirs of a Pharmacist in Poland, the Soviet Union, the Middle East, Italy, the United Kingdom, and Nebraska.* Str. 256. (Wyd. Sunflower University Press, Manhattan, KS, USA, 1988).
- SUBTELNY (Orest).** *Ukraine, a History.* Str. 666. (Wyd. University of Toronto Press i Canadian Institute of Ukrainian Studies, Toronto - Buffalo - London, 1989).
- MACIOCHA (Wacław, rev.).** *Top Moral Norms. A Response to the Errors of Ultramodern Moralists.* Str. 167 i 1 nlb. (Wyd. Veritas, London 1988).
- MACIOCHA (Wacław, rev.).** *Why I am a Catholic.* Str. 235 i 3 nlb. (Wyd. Veritas, London 1988).
- Who's Who in the Socialist Countries of Europe. A biographical encyclopedia of more than 12.600 leading personalities in Albania — Bulgaria — Czechoslovakia — German Democratic Republic — Hungary — Poland — Romania — Yugoslavia.* Opr. Juliusz Stronkowski. Tomy I-III. Stronkowne 1367 i 1 nlb. (Wyd. K. G. Saur Verlag, München - New York - London - Paris, 1989).

- SADYKIEWICZ (Michael). *The Warsaw Pact Command Structure in Peace and War*. Str. 42 i 2 nłb. (Wyd. Rand Corporation, Santa Monica, USA, 1988).
- SASKA-LAMPARSKA (Rena A.). *Stanisław Brzozowski, a Polish Victim*. Str. 191 i 1 nłb. (Wyd. Le Letere, Florencia 1987).
- KRZYŻANOWSKI (Jerzy R.). *Everything is but a Trifle*. (Nadbitka z „The Polish Renaissance in its European Context”, wyd. Samuel Fiszman, przedmowa C. Miłosz, wyd. Polish Institute of Arts and Sciences, Indiana University Press, USA. Str. 383-388).
- SZCZEPAŃSKI (Jan Józef). *Japanische Blumen. Erzählungen und Betrachtungen*. Str. 329 i 9 nłb. (Wyd. Suhrkamp Verlag, Frankfurt/M 1988).
- FANN (Hans-Henning), MÜLLER (Michael G.), opr. *Gesellschaft und Staat in Polen. Historische Aspekte der polnischen Krise*. Str. 222 i 2 nłb. (Wyd. Deutsche Gesellschaft für Osteuropakunde, Berlin Verlag, 1988).
- Studien zu Nationalitätenfragen* nr 3/1987. Str. 150 i 2 nłb. (Wyd. Institut zur Erforschung der nationalen Probleme, Ukrainische Freie Universität, Monachium 1988).
- Polen im Exil — eine Anthologie*. Opr. Krzysztof DYBCIAK. Str. 383 i 9 nłb. (Wyd. Suhrkamp Verlag, Frankfurt/M 1988).
- BRANDYS (Kazimierz). *Variationen in Briefen*. Z polskiego przeł. Roswitha Buschmann. Str. 293 i 11 nłb. (Wyd. Luchterhand Verlag, Darmstadt 1988).
- RAPOPORT (Witalij). *Pieriestrojka*. Str. 112. (Wyd. OPI, Londyn 1989).
- HELLER (Michail). *Aleksandr Sołżenicyn (k 70-letju dnia roźdenija)*. Str. 117 i 3 nłb. (Wyd. OPI, Londyn 1989).
- HERLING-GRUDZIŃSKI (Gustaw). *Inoj mir*. Przeł. z polskiego Natalia Gorbaniewska. Str. 259 i 1 nłb. (Wyd. OPI, Londyn 1989).
- CONQUEST (Robert). *Zatwa skorbi. Sowietskaja kollektivizacija i terror golodom*. Przeł. Israel Cohen i Neli May. Str. 620 i 4 nłb. (Wyd. OPI, Londyn 1988).
- ZIEMCOW (Ilja). *Czernienko: Sowietskij Sojuz w kamun pieriestrojki*. Str. 379 i 5 nłb. (Wyd. OPI, Londyn 1989).
- HOŁOD (Maria). *Strimka moja wulycja. Poeziji*. Str. 144. (Wyd. Objednanije Ukrajinśkich Pysmennykiw „Słowo”, Toronto 1988).
- IWANUSIW (Ołeh Wołodymyr). *Cerkwa w rujini. Zahybel ukrajinśkich cerkow peremyśkojji eparchiji*. Str. 351 i 3 nłb. (Wyd. Św. Sofija, religijne towarystwo Ukrajincoiw katołykiw Kanady, 1987).
- Encyklopedia of Ukraine*, vol. II, G.K. Opr. Volodymyr Kubijovyc. Str. 737 i 3 nłb. (Wyd. University of Toronto Press, Toronto-Buffalo-London 1988).
- Blahowisnyk blažennoho Myroslawc-Iwana kardynała Lubaczwiśkoho*. Str. 318 i 2 nłb. (Wyd. Litterae-Nuntiae, Rzym 1987-1988).
- Bohosłovia*. Tom L, vol. Str. 209 i 3 nłb. (Wyd. Ukrajinśke Bohosłowske Naukowe Towarystwo, Rzym 1986).
- Janiw (Wołodymyr). *Studiji ta materiaty do nowiszoji ukrajinśkojji istoriji. II*. Str. 343 i 3 nłb. (Wyd. Ukrajinśkyj Wilnyj Uniwersytet, Monachium 1983).

KRAJ — BLOK WSCHODN.

31-12-88

Zmarł w Warszawie w wieku 62 lat dr Piotr Stachiewicz, autor książki „Parasol” i szeregu publikacji dotyczących A.K.

1-3-89

Na Białorusi ma zostać utworzona katedra języka polskiego na uniwersytetach w Grodnie i w Mińsku. Wykładowcami mają być polscy uczeni. Ponadto język polski ma być wykładany w 20 wytypowanych szkołach Republiki Białoruskiej. Lepiej by zacząć od dołu: Polacy uskarżają się na brak książek i czasopism polskich, a przede wszystkim elementarzy. ■ W ub. roku na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu otwarto wydział lituanistyki. Obecnie studiuje tam 18 studentów. Prof. Jerzy Ochmański wykłada historię Litwy, dr Michał Hasiuk — wstęp do językoznawstwa oraz gramatykę opisową języka litewskiego. Ćwiczenia z języka litewskiego prowadzi Józef Marcinkiewicz.

ZACHÓD — EMIGRACJA

15-2-89

Andrzej Szczypiorski został laureatem austriackiej nagrody państwowej w zakresie literatury europejskiej za rok 1988. Nagroda wynosi 200 tys. szillingów. ■ Minister Wileczek z PRL w czasie pobytu w Wiedniu zapowiedział, że Polska zamierza zrezygnować z eksportu węgla. ■ W styczniu bież. roku przebywała w Wiedniu prof. Ewa Łętowska, rzecznik praw człowieka i obywatela w PRL. W wywiadzie dla dziennika *Die Presse* podała, że w 1988 roku wpłynęło do niej 50 tys. skarg i zażaleń. (amp).

28-2-89

W Londynie powstał Komitet obchodów „Roku polskiego” dla upamiętnienia 70-tej rocznicy odzyskania niepodległości, 50-lecia współdziałania Sowieców z Niemcami w agresji na Polskę oraz rocznic walk żołnierza polskiego na Zachodzie i w Kraju. W bież. roku mają się odbyć m.in. następujące imprezy: światowy zjazd żołnierzy Drugiego Korpusu, światowy zjazd I Dywizji Pancerniej w Londynie i w Normandii, uroczystości rocznicowe Armii Krajowej, światowy zjazd lotników polskich w Londynie, światowy zjazd związków polskich spadochroniarzy w Londynie i w Holandii, zebranie Rady Polonii Wolnego Świata w Londynie oraz światowy zjazd Wolnych Polaków w Londynie.

1-3-89

W Centre du Dialogue w Paryżu odbyły się w marcu odczyty: ks. prof. Janusza Pasierba na temat „Bóg i Kościół poetów (polska liryka religijna XX wieku)”, prof. Jerzego Kłoczowskiego o „Millenium chrześcijaństwa rńskiego w oczach historyka”.

10-3-89

Polski Instytut Katolicki w Paryżu organizuje w bież. roku serię wykładów na temat problematyki polskiej i jej powiązań z Francją i światem zachodnim. Do tej pory miały miejsce wykłady: prof. Wojciechowskiego z Uniwersytetu w Ottawie o idei „Solidarności” i jej zasięgu światowym; Piotra Chruszczyńskiego, przedstawiciela „Solidarności” w Paryżu, o „Solidarności” w 1988 i 1989 roku; Leszka Talko, przewodniczącego Wspólnoty Polsko-Francuskiej, o stosunku związkowców francuskich do „Solidarności”. 16 maja bież. roku prof. Józef Tischner z Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie wygłosi odczyt pt. „Solidarność — polski dramat”.

11-3-89

W Polskim Uniwersytecie na Obczyźnie miało miejsce sympozjum, na którym wygłoszono następujące wykłady: Michał Heller „Procesy żywiołowe a ustroje totalitarne”, Stanisław Andreski „Słabość ideologii jako element rozkładu systemu”, Waldemar Kuczyński „Skumulowane skutki kryzysów gospodarczych, a procesy samorzutnego rozkładu systemu”, Paweł Dembiński „Pieniądz jako czynnik rozkładu w gospodarkach typu sowieckiego”, Jacek Rostowski „Krótko- i długoterminowe czynniki procesu prywatyzacji gospodarki polskiej”. PUNO zamierza wydać te referaty drukiem.

14-3-89

Zmarła w Szwajcarii w wieku 97 lat Zita de Bourbon Parme, wdowa po ostatnim cesarzu Austrii, Karolu. 1 kwietnia bież. rok została pochowana ze wszystkimi honorami w Wiedniu, w krypcie kapucynów, gdzie od setek lat są chowani cesarze Austrii.

1-4-89

W ciągu marca bież. roku na Uniwersytecie Michigan odbył się szereg odczytów na tematy polskie, a mianowicie: Zb. Brzeziński: „Communism: Terminal Crisis”, Piotr Wandycz: „What's in Name? East Central Europe”, „The Rise and the Fall” oraz „The Last Two Hundred Years”, Murray Rosman: „A Marriage of Convenience: Jews and Magnates in the Polish-Lithuanian Commonwealth” i Antoni Mączak: „The Old Polish Commonwealth in the 20-th Century”.

5-4-89

W Bibliotece Polskiej w Paryżu odbył się, zorganizowany przez Towarzystwo Historyczno-Literackie, odczyt p. Janusza Morkowskiego, kustosa Muzeum w Rapperswilu, o powiązaniach Rapperswilu z tradycją kościuszkowską i Biblioteką Polską w Paryżu.

KRONIKA KANADYJSKA

Sztuki polskie w przekładzie angielskim na scenach Toronto: „Tango” Sł. Mrożka w przekładzie Ralpa Manheima i Teresy Dzieduszyckiej zostało wystawione przez teatr studencki, a „Polowanie na karaluchy” Janusza Głowackiego przez Canadian Stage Co. Na premierze tej sztuki był obecny autor, który 23 stycznia br. spotkał się z publicznością na wieczorze autorskim zorganizowanym przez Klub Kultury Polskiej wspólnie z Canadian Stage Co. Natomiast „Tango” Mrożka było już wystawiane kilkakrotnie tak w Toronto, jak i w innych miastach. ■ W Kanadzie gościli polskie zespoły teatralne: wystawiono „Skiz” Gabrieli Zapolskiej z Gustawem Holoubkiem, a teatr „Ateneum” przyjechał z „Policjantami” Sławomira Mrożka. Przedstawienia odbyły się w Toronto, Montrealu, Ottawie i Hamiltonie. ■ W Montrealu, od 23 stycznia do 13 lutego br., na scenie Théâtre de la Veillée, grano „Emigrantów” Sł. Mrożka (w przekładzie francuskim) w reżyserii Jacka Gąsiorowskiego z Yves-Robert Viala i Maxem Morel w rolach głównych. ■ Akcja Zarządu Głównego KPK, zmierzająca do powołania wykładowcy historii Polski na University of Toronto, koncentruje się na zebraniu odpowiedniej sumy pieniędzy w celu częściowego pokrycia kosztów. Wymagana jest kwota 2 mln. dolarów. Ofiarodawcy polonijni zadeklarowali dotąd \$ c. 106.800, a wpłacili — \$ c. 10.000. Najwyższe kwoty zadeklarowali: Fundusz Millenijny — \$ c. 75.000 i Fundusz im. Adama Mickiewicza — \$ c. 15.000. ■ Institute of Central European Studies wraz z Polskim Instytutem Naukowym zorganizował 16 lutego br. prelekcję prof. Andrzej

Kawczaka na temat „zmiany w stosunkach między mocarstwami w latach 80-tych i możliwości dla państw wschodnio-centralnej Europy”. ■ Kanadyjsko-Polski Instytut Badawczy opublikował monografię-album o rzeźbiarzu Edwardzie Koniuszym, w opracowaniu Andrzeja Pawłowskiego. Kilkadziesiąt fotografii prac Koniuszego znakomicie uzupełnia tekst Pawłowskiego.

B. H.

Z ostatniej chwili

POTRZEBA JASNOŚCI

W warszawskim *Przeglądzie Tygodniowym* z 12 marca br. (nr 11) ukazał się wywiad, przeprowadzony przez Włodzimierza Krzyżanowskiego z Edwardem Raczyńskim pt.: „Sercem jestem w ojczyźnie”.

13 marca w londyńskim *Dzienniku Polskim* ukazało się „Ostrzeżenie” Edwarda Raczyńskiego następującej treści:

OSTRZEŻENIE

Komunistyczny reżym warszawski „ulepszył” od pewnego czasu swoją infiltrację społeczeństwa emigracyjnego.

Jego agenci występują teraz jako gorliwi patrioci i wyraziciele woli narodu.

Ogłaszają wywiady, które zmieniają, względnie „uzupełniają” po swojemu.

Padłem sam ofiarą takiej machinacji i wypowiedzi moje zostały przekręcone i zniekształcone.

Daleko idąca ostrożność wobec tego typu agentów i takich metod jest w tej chwili szczególnie potrzebna.

Edward RACZYŃSKI

Po ukazaniu się tego Ostrzeżenia Włodzimierz Krzyżanowski zatelefował do Andrzeja Czyżewskiego, redaktora *Dziennika Polskiego*, zapewniając, że w wypowiedziach Edwarda Raczyńskiego nie zmienił nawet przecinka, że wywiad był nagrany i że taśma jest do dyspozycji.

W związku z powyższym apelujemy do Edwarda Raczyńskiego, aby ogłosił ustępy ze swego wywiadu, które zostały „przekręcone i zniekształcone”. Naszym zdaniem wywiad jest całkowicie sprzeczny z linią niepodległościową emigracji i musi się spotkać z katgoryczną reakcją. Ze względu na rolę i autorytet Edwarda Raczyńskiego konieczne jest całkowite wyjaśnienie tego pożałowania godnego incydentu, który wywołał już ogromne zamieszanie i może być powodem kryzysu w kołach niepodległościowych na emigracji i w kraju.

REDAKTOR

Listy do Redakcji

Luty 1989.

Szanowny i Drogi Panie Redaktorze,

Proszę o łaskawe wydrukowanie w *Kulturze* mojego następującego oświadczenia:

W Antologii „Od Staffa do Wojaczka”, zredagowanej przez panów Drozdowskiego i Urbankowskiego, znajduje się kilkanaście moich wierszy. Znalazły się tam bez mojej wiedzy i zgody.

Z wyrazami szacunku

Ryszard KRYNICKI

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Czytelników nadsyłających nam swoje artykuły i utwory prosimy o pamiętanie, że Redakcja nie zwraca rękopisów nie zamówionych. Wobec natwału pracy odpowiadać będziemy tylko w niniejszej rubryce.

A.L., USA; M.N., Francja; Autor wierszy Nadzieja, Bracia z Katynia i innych, USA; J.D., Hiszpania; M.B., RFN; T.N., Szwajcaria; J.C.-G., Szwecja; K.K., Kanada; K.W.T., RFN; R.A. w Kraju; K.K., RFN; M.S., RFN; A.S., Kanada; Janusz w Kraju; Mak w Kraju; M.K., Dania; H.D., USA; H.C. w Kraju; Kami, Szwecja.
— Z wierszy nie skorzystamy.

M.B., Australia. — Skoro Pan jest zaprzyjaźniony z Adamem Macedońskim, lepiej chyba skierować wprost do niego wymówkę za przeoczenie Pana wiersza *Praga 1968* w artykule o 20-tej rocznicy najazdu na Czechosłowację.

W.C., USA. — W Pana *Rodzinkach literatury polskiej w USA* mowa o książkach dobrze znanych czytelnikom *Kultury* (niektóre zostały przez nas wydane). Można by ewentualnie odnotować krótko, że uważały się po angielsku w Ameryce, ale mało sensowne wydaje nam się przypominanie ich z tytułu wejścia na amerykański rynek wydawniczy.

M.W., Francja. — Dość powierzchowna i pobieżna jest Pana recenzja z książki Henryka Grynberga *Kadisz*. Grynberg zasługuje na głębsze i wnikliwsze spojrzenie.

J.M.K., Belgia. — W tekście o Jarlutach zdumiewa doskonała pamięć autorki, ma on jednak — jako drobiazgowy opis życia w dworku ziemiańskim — wartość wyłącznie dokumentarną.

J.Z., Kanada. — Opowiadanie o milicji jest blade i banalne. Nawiasem mówiąc, czy nie przesadza Pan w ostrożności, posługując się pseudonimem?

I.S., Peru. — Wzruszające, że próbuje Pani pisać po polsku, mimo że w ojczyźnie matki spędziła Pani zaledwie cztery lata życia. Niestety polszczyzna przysłanej nam nowelki jest nieporadna. Wierszy pisanych po hiszpańsku nie potrafilibyśmy ocenić.

M.W., Francja. — Jak na opowiadanie, za dużo sentymentalizmu, za mało treści.

I.W. w Kraju. — *Mała proza* wydaje nam się nieudana, nieprzemysłana, jest dość przypadkowym zlepkiem różnych motywów. Z tych motywów najlepiej może wypadła bajkowa opowieść o Marcinku, najgorzej część końcowa (dziennik *Marciaz*).

- Anonimowy autor z *Warszawy*. — Pana artykułu „Państwo socjalistyczne — fundamentalne oszustwo komunistów” nie zamieścimy.
- J.S., *Arlington, VA (USA)*. — Pana listu do Redakcji nie zamieścimy. Nie byliśmy organizatorami dyskusji „Trzy wolności, czyli o progach kompromisu” i dlatego uczestnikom tej dyskusji niczego nie mogliśmy sugerować.
- Artur Stalski z *Chicago, IL (USA)*. — Pana felietonu „Pierestrojka” nie zamieścimy — bardzo słaby.

WYJAŚNIENIA

Artykuł Tomasza Janowskiego pt. „Ostatni moment na powrót”, zamieszczony w nrze 1/496-2/497 *Kultury* oraz w nrze 24 krakowskiej *Arki*, był — jak się dowiadujemy — przeznaczony dla *Arki*. Wydrukowaliśmy go w *Kulturze* na skutek mylnej informacji, za co Autora i redakcję *Arki* przepraszamy. (*Redakcja*).

Dowiadujemy się, że wiele osób, po przeczytaniu w marcowej *Kulturze* oświadczenia Czesława Miłosza, zarzuca nam, że w styczniowej *Kulturze* podaliśmy nieprawdzą wiadomość o nagrodzie im. Ignacego Silone, przyznanej Kazimierzowi Brandysowi przez Międzynarodowe Jury z udziałem Czesława Miłosza. (Czesław Miłosz nie brał udziału w tym jury i wiadomość tę sprostował).

W związku z tym zmuszeni jesteśmy stwierdzić, że notę o nagrodzie zakomunikował nam Kazimierz Brandys w takim brzmieniu, w jakim ją ogłosiliśmy. Jeżeli nastąpiło jakieś nieporozumienie, to nie z naszej winy. Zresztą w wywiadzie z Kazimierzem Brandysem, zamieszczonym w londyńskim *Dzienniku Polskim* 25 stycznia br., ta wiadomość również jest wydrukowana. (*Redakcja*).

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Commission Paritaire N° 60789.

Dépôt légal: 2^e trimestre 1989.

Imprimé en France.
N° imprimeur 9620.

PRZEDSTAWICIELSTWA

AFRYKA POLUDNIOWA: Dr F. Kalca, 214 Giovanetti Str.
 New Muckleneuk, Pretoria 0181

ARGENTYNA: « Libreria Polaca », Serrano 2078, 1425
 Buenos Aires

AUSTRALIA: Księgarnia Polska VISTULA, King York
 House, 32 York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000.
 Tel.: 29 1248

AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22.
 Tel.: 0222/93 87 222.

BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenume-
 rate do administracji « Kultury »

BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie czeków do admini-
 stracji « Kultury »

DANIA: O. T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd ..

FRANCJA: do nabywców w redakcji « Kultury » i w księ-
 garniach polskich w Paryżu

HOLANDIA: Mrs. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6,
 4382 B I Vliessingen. Tel.: (01 184) 14073. Postgiro 1379176.

IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 84, Allenby
 Rd., Tel-Aviv, P.O.B. 29443. Tel.: 621311

KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville
 Brossard, P.O. J4W 1S5. Tel.: (514) 465-2362; Baltazar
 Krasuski, 8, Nellor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4;
 Very rev. D. M. Mallinowski, P.O. Box 68, Royston, B.C.;
 VOR ZVO. Tel.: (604)338-80-40; Z. Michardzinski, 285-287
 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel.: 545-2115;
 J. Korwin-Lopozanski, 90 Hilliard Ave., Ottawa K2E 6C2;
 « Polish Voice Publishing » Co., 390 Roncesvalles Ave.,
 Toronto, Ont. M6R 2M9; Polish Alliance Press, Ltd. (« Zaria-
 kowiec »), 1638 Bloor St. West, Toronto, Ont. M6P 4A8 ..

NIEMCY: Renata Rosenbusch, Ludwig-Thoma-Str. 36,
 9025 Unterhaching. Tel.: (089) 111 36 57. Księgarnia
 wsi, Stephanstr. 11, 5000 Köln, 1. Tel.: 0221/24-61-60 ..

NORWEGIA: Zb. Tyszk, Toppenhaugberget 14, 1353
 Bruma Verk. Tel.: 51 20 55.

ZWAJCZARZA: Maria Wszung, 6, rue de Lilas, C.P. 74,
 Genève 7. Tel.: 44-32-51. Nr konta pocztow. 12.14431.

WECIA: Norbert Zaba, Kalskärsgatan 3/IV, 115 33
 Cholm. Tel.: (08) 660-15-70. Postgirokonto Nr 48 82 34 6.

U.S.A.: S. Dobczyński, Alma Shipping Co., 119 St. Marks
 St., New York, N.Y. 10009. Tel.: 475 8896; Ada Dziel-
 nowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211;
 St. Kwiśkiewicz 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109.
 Tel.: (216) 351-8219; Irene Kretowicz, 4254 - 34th St., San
 Diego, Cal. 92104; Halina Kosciuch, 41983 Utica Road,
 Sterling HTS, MI 48078; POLONIA Bookstore, 2886 Mil-
 waukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel.: (312) 480-2554;
 Jan Wejch, 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn.
 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347,
 Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwed's Slavic Books,
 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel.: (415)
 327-5590 & 851-0748; Księgarnia « Nowego Dziennika »
 21, West 38th Street, New York, N.Y., 10018. Tel.:
 (212) 354-0482

WIELKA BRITANIA: Orbis Books (London) Ltd., 96 Ken-
 way Rd., London SW5. ORD. Tel.: (01) 370 2210

WŁOCHY: Edizeta Zaborska, 00183 Roma, via Galilei 86
 Int. 27. Tel.: 75-67-241

Egz. pol.	Prenumerata	
	1/2-roczna	roczna
Ceny na rok 1988		
F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
§ A. 10,00	§ A. 80,00	§ A. 110,00
F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
Fl h 20,00	Fl h 95,00	Fl h 175,00
F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
§ can. 10,00	§ can. 50,00	§ can. 95,00
DM 14,00	DM 80,00	DM 150,00
F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
F.S. 13,00	F.S. 70,00	F.S. 130,00
K.S. 45,00	K.S. 280,00	K.S. 500,00
§ US 7,50	§ US 40,00	§ US 75,00
F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
F. 45,00	F 250,00	F. 480,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 480; półroczna — F. 250.
 Przyniesienie pojedynczego numeru — F. 6,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.

**INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Monnil-le-Roi,
 par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 (s Francji)**

lub **C.C.P. PARIS 18-228-38 (s zagranicy).**

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 443 —

WITOLD DOWOYNA SYLWESTROWICZ

LISTY NIEWYŚLANE

Dziennik z okresu wojny: wrzesień 1939 - kwiecień 1945, napisany przez oficera lotnictwa, który brał udział w kampanii wrześniowej oraz w działaniach bojowych na terenie Francji i Anglii. Od wybuchu wojny do jej zakończenia prowadził *Dziennik* w formie nigdy nie wysłanych listów do żony.

Str. 160.

Cena F. 70,00.

TOM 444 — MAREK NOWAKOWSKI

KARNAWAŁ I POST

Nowy zbiór utworów Marka Nowakowskiego zawiera opowiadania: Karnawał i post; Elegia o umarłym świecie; Pan Julian Wołoszynowski; Folwark zwierzęcy Gogola; O „Wyroku na Franciszka Kłosa”; Pod gwiazdami; Żydowski hrabia; Historia pewnej przyjaciółni; Imperatyw; Przestroga; „Jubileuszowa”; „Kamieniolomy”; Sierota Europy; Śmierć; Fabuła.

Str. 192.

Cena F. 85,00.

TOM 446 — ZYGMUNT HAUPT

SZPICA

Opowiadania, warianty, szkice

Materiały zebrane po śmierci Autora, które nigdy nie ukazały się w wydaniu książkowym. Wstęp Renaty Górczyńskiej. Szkic biograficzny opracował syn Autora, Arthur Haupt.

Str. 280.

Cena F. 120,00.

TOM 447 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT OSIEMDZIESIĄTY SIÓDMY

zawiera opracowania: Piotr Skrzynecki: *Gdy umierał prezydent Raczkiewicz*; T. Wyrwa: *Prymas Hlond we Francji 1940-1941*; T. Górski: *Błogosławiony Jerzy Matulewicz, biskup wileński*; E. de Lafrené: *Syberyjski raport; Wywiad z Adamem Bieniem*; H. Tramsen: *Wrażenia z podróży do Katynia w 1943 roku; Ostatnia misja Hopkinsa w Moskwie* oraz bogate działy: **POLEMIKI, RECENZJE, OKRUCHY HISTORII i LISTY DO REDAKCJI.**

Str. 240.

Cena F. 80,00.